



Kwartalnik polski

Nr 83

Rok (2014) 21

KRYNICA

Pismo mniejszości polskiej na Ukrainie

ISSN 1233-5452





Książdz profesor Edward Staniek powiedział kiedyś w czasie rozmowy ze mną, że żyjemy w epoce złych wiadomości. Telewizja, radio, prasa wręcz zasypują nas sensacjami, w których mowa jest o przemoc, agresji, pogwałcaniu praw człowieka. A nasza ukraińska codzienność, pełna niepewności o losy Kraju i nas samych – dopisuje wciąż nowe wersy, w których także brak nadziei. Rozmowy ze znajomymi, przyjaciółmi, z bliskimi nam ludźmi dotyczą głównie kwestii trudnych i niezwykle bolesnych, których sens sprowadza się do pytania o to, jak wyżyć w tych warunkach? I nawet słońce, świeża zieleń i bujnie

kwitnące kwiaty nie cieszą tej wiosny.

Czy rzeczywiście jest aż tak źle? Przecież to właśnie teraz dowiedzieliśmy się, czym jest ludzka solidarność. Poczuliśmy wsparcie ze strony innych narodów. Poznaliśmy uczucie przynależności do demokratycznego świata. A i świat, cały świat dowiedział się, że jest taki kraj – Ukraina, w którym mieszkają bardzo dzielni ludzie, dla których największym dobrem jest wolność ich Ojczyzny. Świat dowiedział się, że ten Kraj ma swój herb, swoją flagę i hymn. I swoją historię.

Ale i my także dowiedzieliśmy się czegoś bardzo ważnego o sobie: że potrafimy sobie nawzajem pomagać, potrafimy się z innymi dzielić, współczuć innym. I choć tak bardzo się między sobą różnimy – umiemy zapomnieć o dzielących nas różnicach i jednym murem stanąć w obronie najwyższych ludzkich wartości...

Nie byłoby tego wszystkiego, gdyby nie tragedia, która nas dotknęła. Bo wszystko jest po coś. Ta trudna lekcja współczesnej historii także. Najważniejsze, by z niej wyciągnąć właściwe wnioski. I nie poddać się rozpacz. Wszak dobra w tym świecie jest znacznie więcej niż zła...

W imieniu Redakcji
Dorota Jaworska

KRYNICA

*kwartalnik mniejszości
polskiej na Ukrainie*

Zespół redakcyjny:

Dorota Jaworska (*red. naczelny*)
Mariusz Woźniak OP
Stanisław Panteluk
Ołeksij Brasławiec

Stali korespondenci:

Bożena Rafalska (Lwów);
Teresa Dutkiewicz (Lwów);
Stanisław Stepień (Przemyśl);
Jan Ciechanowicz (Wilno);
Wiktoria Wachowska (Żytomierz);
Michał Micel (Nowy Jork);

Skład i łamanie:

Wydawniczy Oddział Instytutu Nauk
Religijnych Św. Tomasza z Akwinu
Red. tech. Włodzimierz Baranowski
Zdjęcie na 1-4 str. okładki:
Andrzej Kandecki



Projekt jest współfinansowany ze środków finansowych otrzymanych z Ministerstwa Spraw Zagranicznych w ramach konkursu na realizację zadania "Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Koordinator projektu:
Fundacja Wolność
i Demokracja.



Adres redakcji:
Ukraina, Kijów, 04119,
ul. Jakira, 13
tel/fax: (044) 570 19 45
e-mail: dorota57@ukr.net
www.krynica.in.ua

SPIS TREŚCI:

WYDARZENIA	
Solidarni (<i>Redakcja</i>)	2
Kanonizacja Jana XXIII i Jana Pawła II (<i>Internet</i>)	3
Zostanie nasza pamięć (<i>Dorota Jaworska</i>)	4
W KRAJU	
Ławeczka księdza Jana (<i>Krystyna Konecka</i>)	5
Śląskość i polskość w parze (<i>Eugeniusz Jabłoński</i>)	8
POLACY UKRAINY	
Moja droga do Polski wiodła przez Jego serce (<i>Walenty Grabowski</i>)	12
Liczebność i rozmieszczenie ludności polskiej na Ziemi Czernihowskiej (<i>Barbara Januszkiewicz</i>)	18
GOSPODARKA	
Informacja o Konferencji „Eksport – przyszłe kierunki rozwoju” (<i>Lubelski Rynek Hurtowy S.A., ESP</i>)	24
HYMNIKA POLSKA	
U źródeł hymniki polskiej (I) (<i>Wojciech Jerzy Podgórski</i>)	26
CZŁOWIEK I ŚWIAT	
Człowiek i świat w znakach krzyża, trójzębu i gwiazdy (<i>Ludmiła Pietruszka, Andrzej Pietruszka</i>)	34
ROK 2014	
Rok Oskara Kolberga (<i>Internet</i>)	40
POSTACIE	
Aleksander Bohomolec: Życiodajna krew (<i>Jan Ciechanowicz</i>)	42
PROZA	
„Byliśmy Polakami” (<i>Weronika Wejszle</i>)	50
POEZJA	
„Wszystko mija...” Wiersze Barbary Zajdel	58
NOWOŚCI WYDAWNICZE	
Niezwykły album z zakresu heraldyki i genealogii	64
DLA NAJMŁODSZYCH	
„Kropelka” (<i>Janina Wań</i>)	66
ŚWIAT UTRACONY	
Kraina zamków (<i>Anton Baranowski</i>)	70

SOLIDARNI

W tych tak bardzo trudnych i bolesnych dla Ukrainy miesiącach jej mieszkańcy, jak chyba nigdy w historii, odczuli pomoc, współczucie i zrozumienie ze strony Polaków. Poczuli solidarność z ich walką o demokrację i sprawiedliwość społeczną.

Polskie media rzetelnie informowały i nadal informują o sytuacji na Ukrainie. Prezydent Polski i Rząd wspierają Ukrainę na forum międzynarodowym. Wspierają Ukraińców także polscy twórcy.

Kilka dni temu redakcja „Krynicy” otrzymała od Grzegorza WALCZAKA* z Warszawy e-mail o następującej treści:

Życzę dużo szczęścia, zwłaszcza w tych trudnych dla Was czasach.

Dołączam mój tekst, który śpiewam w naszym Kabarecie Autorów.

NIEPOKORNY DNEPR

(do muz. „Wołga, Wołga mat’ radnaja”)

*Janukowycz, Janukowycz,
miał być z ciebie wielki pan,
a zostałeś marionetką,
i już zawsze będziesz sam.*

*Dziś cię dręczą nocne zmory,
i cię straszy Julii los.
Schowałbyś się ty do nory,
gdy Majdanu słyszysz głos.*

*I uciekłeś tak jak złodziej.
Zostawiłeś krwawy ślad.
Trwożne łuny nad Kijowem,
czarne dymy rozwiął wiatr.*

*Z głów rozgrzanych bucha para.
Rewolucji wrócił czas.
Powstał z kolan wielki Majdan.
Już się ruszył cały kraj.*

*Ukraino, Ukraino,
dumna ziemio, prostuj kark
i nie czekaj, aż cię przyjmą
dwory co łaskawych państw.*

*Bądź jak wolny wiatr na stepie,
bądź jak starej dumki śpiew,
który się nad rzeką niesie,
sławiąc niepokorny Dniepr.*

Nadszedł także wiersz od krośnieńskiego poety Marka PETRYKOWSKIEGO** pt. „Plac”. Ten wiersz także opowiada o kijowskim Majdanie.

PLAC

*są w was drapieżne kły
giętkie kości
włókna światła zapalone od promieni świec
nad bólem pokonanym w przejrzystej hali placu*

*jest tęsknota cieńsza od najcieńszego lasera
w czujnym snajperskim oku
i nastawnik kamieni coraz bardziej muskularny
gdy gra blaszaną arię*

*tylko oddech tężeje jak siwa brew
nad łukiem zatawionej szyby*

*może podniosła go nadzieja
gdy bruk wyrósł bujniejszy
od falującego zboża*

Serdecznie dziękujemy obu Autorom! Redakcja

* **Grzegorz WALCZAK** (ur. 1941), poeta, prozaik, autor tekstów piosenek, dramaturg. Debiutował w latach 60. w warszawskich kabaretach studenckich. W latach 70. osiągnął popularność jako autor tekstów piosenek – pisał dla Ali Babek, E. Bem, Stana Borysa, Niebiesko-Czarnych, No To Co, Skaldów i innych. Twórca libretta pierwszej polskiej rock-opery „Naga” (1972).

Najpopularniejsze piosenki z jego tekstami to: „Dziewczynny marzą o miłości”, „Słońce w chmurach łazi”, „Wrzasy”.

Wydął m.in. zbiór opowiadań „Anioł ze Starego Miasta” (1998), powieść „Nim zaśnie Ziemia” (1998). Jest autorem sztuk teatralnych, a także wielu słuchowisk radiowych emitowanych przez Polskie Radio i radiostacje zagraniczne.

W roku 2002 Teatr Rampa wystawił jego „Big Popiela – Mysią Operę” z muzyką Katarzyny Gartner.

Grzegorz Walczak jest laureatem wielu konkursów poetyckich, prozatorskich, dramaturgicznych, wieloletnim członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, ZAIKS-u, a także Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC).

G. Walczak zajmuje się też twórczością satyryczną i kabaretową. Występuje stale jako autor-wykonawca w kabarecie satyrycznym prowadzonym przez Marka Majewskiego w słynnym Domu na Smolnej w Warszawie. Założył też Kabaret Autorów „Pod Dobrą Datą” wraz z M. Majewskim i Tomaszem Szwedem.

** **Marek PETRYKOWSKI** – urodzony w 1965 roku w Krośnie. Tam mieszka i pracuje. Zawodowo związany z budownictwem.

Pisze od kilku lat. Debiutował w antologii „Las w karpackim śnie” wierszem „na Smereku”.

Laureat ogólnopolskiego XI Otwartego Konkursu Literackiego „Gniewińskie Pióro” 2012 oraz wielu innych konkursów ogólnokrajowych i międzynarodowych.

Debiutancki tomik pt. „Cytrynowo” (2012) został nagrodzony Złotym Piórem za najlepszy debiut Podkarpacia 2012 przez Związek Literatów Polskich O/Rzeszów.

Jest członkiem Klubu Literackiego przy Regionalnym Centrum Kultur Pogranicza w Krośnie.

KANONIZACJA JANA XXIII I JANA PAWŁA II

Kanonizacja Jana XXIII i Jana Pawła II odbyła się 27 kwietnia 2014 r. w Watykanie, na Placu Świętego Piotra. Podczas tej uroczystości dwaj błogosławieni Papieże: Jan XXIII oraz Jan Paweł II zostali ogłoszonymi świętymi Kościoła katolickiego.

5 lipca 2013 wydano dekret w sprawie cudu za wstawiennictwem bł. Jana Pawła II. Cudem tym, jak poinformował ks. Federico Lombardi, jest zatwierdzone przez lekarzy i teologów z Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych i niewytłumaczalne z punktu widzenia medycznego, uzdrowienie Floribeth Mory Diaz – Korykanki cierpiącej na nieoperacyjnego tętniaka mózgu. Kobieta, oglądając beatyfikację Jana Pawła II, zaczęła do niego się modlić, po czym doznała nagłego uzdrowienia. Papież Franciszek poinformował, że razem z Janem Pawłem II kanonizowany zostanie również bł. Jan XXIII.

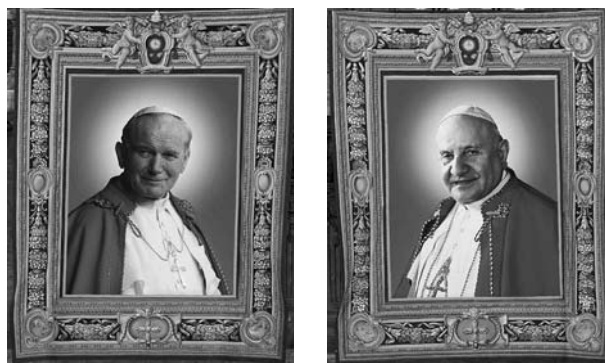
Papież Franciszek, podczas konsystorza w dniu 30 września 2013, wyznaczył na dzień 27 kwietnia 2014 (tj. Niedziela Bożego Miłosierdzia) kanonizację dwóch Papieży Jana Pawła II i Jana XXIII.

Jan Paweł II został kanonizowany dziewięć lat po śmierci i trzy lata po beatyfikacji, zaś Jan XXIII pół wieku po śmierci i trzynaście lat po beatyfikacji. W przypadku Jana XXIII Papież zdecydował o odstąpieniu od stwierdzenia cudu za wstawiennictwem błogosławionego.

Była to pierwsza podwójna kanonizacja Papieży w XXI wieku i zarazem pierwsza kanonizacja głowy Kościoła od czasu kanonizacji Piusa X w 1954 oraz pierwszy raz, kiedy Papież kanonizował dwóch swoich poprzedników i kiedy to jednej uroczystości przewodniczyło dwóch Papieży – emerytowany i obecny. Na uroczystość został bowiem zaproszony emerytowany Papież Benedykt XVI. Papież-senior, który był w gronie koncelebransów podczas Mszy św. kanonizacyjnej Jana XXIII i Jana Pawła II.

Według danych szacunkowych, w kanonizacji Jana XXIII i Jana Pawła II na Placu Świętego Piotra uczestniczyło 800 tys. wiernych.

17 kwietnia 2014 włoskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych poinformowało, że na uroczystościach kanonizacyjnych oczekiwanych jest 61 delegacji państwowych z 54 krajów, w tym 19 głów państw, 24 premierów i 23 ministrów.



Święci Jan Paweł II i Jan XXIII

Uroczysta kanonizacja bł. Jana Pawła II i Jana XXIII rozpoczęła się o godz. 10.00 na Placu Św. Piotra i rozpoczęła ją Litania do Wszystkich Świętych. Na fasadzie Bazyliki Świętego Piotra wisiały te same portrety dwóch Papieży, co podczas ich beatyfikacji.

Na tej uroczystości obecne były dwie kobiety uzdrowione za wstawiennictwem Jana Pawła II: s. Marie Simon-Pierre Normand oraz Floribeth Mora Diaz, która niosła do ołtarza relikwiarz zawierający ampulkę z krwią św. Jana Pawła II. Po uroczystości pielgrzymi mogli modlić się przy grobach obu świętych Papieży w Bazylice św. Piotra.

Wykorzystano materiały z Internetu

Redakcja „Krynicy” otrzymała od stałej Czytelniczki i poetki p. Marii Rutowicz piękny wiersz poświęcony kanonizacji Wielkiego Polaka – Jana Pawła II, który z radością publikujemy.

Świętemu Janowi Pawłowi II

Bożego Miłosierdzia przyszedł Dzień!
Trwający na modlitwie czeka lud...
Miłości światło dziś odsunie cień
By spełnił się w tym czasie Boski cud.

Drzewa ubrane w piękny biały strój,
W zielone szaty przyodziana łąka,
W błękicie nieba pośród białych chmur
Słysząc tak radosny śpiew skowronka.

W tym dniu wspaniałym Świętym zostałeś,
Twa wiara w sprawiedliwość zwyciężyła.
Miłość Twoja ku niebiosom wzięta,
Anielskim śpiewem będzie Cię chwaliła.

Świadku Chrystusa! Misjonarzu całej ziemi!
„Bóg zapłać!” – głosi solidarny świat.
Chwali Cię, kiedyś przygnębiony lud Twój,
Który na Ciebie czekał tyle lat.

Narzędziem Twoim był różaniec święty,
W rękach Twych Ojciec on wypełniał cud.
U stóp Twych klęczy dziś „Różaniec żywy”
Z całego świata pobłogosław lud!

Skalat, 27.04.2014 r.

ZOSTANIE NASZA PAMIĘĆ

...Najtrudniej jest pisać, kiedy czasownik „być” trzeba używać w czasie przeszłym. I kiedy taka jego forma dotyczy Bardzo Bliskiego Człowieka...

Do Anatola zadzwoniłam na początku kwietnia. Chciałam się z Nim podzielić radosną wiadomością, że będą pieniądze na wydawanie „Krynicy” w 2014 roku, i poprosić jak zwykle o napisanie kolejnego fragmentu „Podróży z Bogusiem”. Po prostu nie wyobrażałam sobie kwartalnika bez materiałów autorstwa Anatola Franciszka SULIKA. Wszak współpracowaliśmy od wielu, wielu lat.

Uwielbiałam Jego pełne humoru i niepowtarzalnego kresowego kolorytu opowiadania. Takie szczere i proste, jak On sam. I tak jak On przepełnione poetyckim, wrażliwym spojrzeniem na piękno Wołynia, jego przyrody, jego historii. Przepełnione miłością do ludzi, których Bóg postawił na Jego drodze.

Anatol był smutny. Mówił, że stara się uporządkować swoje ogromne archiwum i że przed Nim jeszcze bardzo wiele pracy. Nadal nie udało Mu się otrzymać Karty Polaka. Skarżył się na brak zrozumienia i brak pomocy. A ja, jak zawsze, próbowałam Go rozweselić. Powiedziałam, że jest moim Ulubionym Autorem i że wprost przepadam za Jego opowiadaniem; że po każdym odcinku Jego „Podróży...” – z niecierpliwością czekam na kolejny. Że teraz też czekam... Uspokojona obietnicą, że „oczywiście napisze” – spakowałam walizkę i wyjechałam na święta do Polski. Przecież Anatol zawsze dotrzymywał słowa.

Po powrocie zaglądnęłam do poczty. Nie było w niej żadnych wiadomości od Anatola. Nawet życzeń świątecznych.

Zadzwoniłam. Telefon odebrała Małżonka Anatola. I chyba już wtedy wiedziałam, że stało się najgorsze...

Anatol Franciszek Sulik odszedł do Wieczności w dniu 11 kwietnia br. Pożegnało Go wielkie grono przyjaciół, z których wielu przyjechało w Polski. I nie ma w tym nic dziwnego. Anatol umiał się przyjaźnić, kochał ludzi i chętnie



21.09. 2012 r. Ambasada RP w Kijowie.
Anatol Sulik z autorką wspomnień o Nim

im pomagał. Ileż to referatów na tematy kresowe wygłosił w Polsce, w ilu uroczystościach patriotycznych uczestniczył, iloma orderami RP został odznaczony... Ale nade wszystko dbał o to, by na Wołyniu nie zaginęła pamięć po Polakach, którzy tam mieszkali. Dbął o ich mogiły, które częstokroć remontował za własne pieniądze i własnymi rękami. Zachęcał i włączał do tych prac także innych, w tym młodzież z Polski i Ukrainy. Pisał wspaniałe artykuły do polskich pism na Ukrainie.

Anatol Sulik był przy tym niezwykle skromnym człowiekiem. Dobrym, życzliwym i gościnnym...

... Nie będzie kolejnego opowiadania o podróżach z Bogusiem. Nie będzie pełnych humoru wołyńskich gawęd na łamach „Krynicy”. Ale wiem na pewno, że w sercach Czytelników, w moim sercu, na zawsze pozostanie wdzięczna pamięć o Dobrym Człowieku, Wiernym Polaku z Wołynia – Anatolu Franciszku Suliku...

Wieczne odpoczywanie racz Mu dać Panie...

Dorota JAWORSKA

ŁAWECZKA KSIĘDZA JANA

Odejść w zaświaty, a pozostać wśród ukochanych miejsc... Nie każdemu może się to przydarzyć... Zmarły 18 stycznia 2006 r. ksiądz poeta Jan Twardowski, który chciał spocząć na warszawskich Powązkach, został – zgodnie z życzeniem Prymasa Polski, kardynała Józefa Glempa – pochowany (3 lutego) w Panteonie Wielkich Polaków w wilanowskim Sanktuarium Opatrzności Bożej. Ale powrócił w bliskie sąsiedztwo kościoła i klasztoru Wizytek przy Krakowskim Przedmieściu, gdzie przez ponad czterdzieści lat był rektorem. 10 października ub. r. tu właśnie została odsłonięta Ławeczka ks. Jana Twardowskiego.

...Widziałam to zaproszenie od władz miasta stołecznego Warszawy dla prezesa Związku Literatów Polskich na uroczystości. Właśnie rozpoczęła się 41. Warszawska Jesień Poezji, międzynarodowa impreza literacka, w której uczestniczę i którą dokumentuję fotograficznie od kilkunastu lat... Zaproszenie trafiło do mnie.

...Zimny październikowy dzień zgromadził na Skwerze im. Ks. Jana Twardowskiego tysiące ludzi. Zadrzewiona przestrzeń pomiędzy klasztorem Wizytek a hotelem Bristol przy ul. Karowej to, niezależnie od pory roku, ulubione miejsce spacerujących wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia. Przylegający do Pałacu Prezydenckiego hotel Bristol to swoistego rodzaju „pomnik” – wciąż przypomina jego pierwszego właściciela, światowej sławy kompozytora i Premiera II RP, Ignacego Paderewskiego. Od 15 stycznia 1977 r. poprzez ulicę Karową spogląda na hotel i cały malowniczy fragment Traktu Królewskiego Bolesław Prus, autor „Lalki”. Zaprojektowana przez Annę Kamieńską-Łapińską statua pisarza z lasczką, który jakby się zatrzymał w trakcie spaceru, nie pojawiła się tu przypadkowo. Na pocztówkach przedwojennej stolicy widać w tym miejscu XVIII-wieczny budynek. Pod jego dachem była ulokowana redakcja „Kurier Warszawski” wraz drukarnią. Pisarz Aleksander Głowacki, używający pseudonimu Bolesław Prus, tu właśnie przynosił swoje „kroniki tygodniowe”, od których wielu warszawiaków rozpoczynało lekturę gazety. Paradoksalnie, postawiono pomnik pisarzowi, który zwalczał wznoszenie wszelkich monumentów komukolwiek, niezależnie od okoliczności...

Dwadzieścia lat później z drugiej strony skweru, przed fasadą kościoła Wizytek, wzniesiony został monument, u stóp którego zwykle leżą kwiaty i płoną znicze. Tak, jak w jeszcze niegdyś pustym miejscu, gdzie modlili się warszawiacy podczas stanu wojennego. To odsłonięty 27 maja 1987 r. pomnik kardynała Stefana Wyszyńskiego, autorstwa Andrzeja Renesa. Postać Prymasa Tysiąclecia, siedzącego w szatach liturgicznych

na cokole, dobrze widać także z przeciwnej strony ulicy Krakowskie Przedmieście, kiedy patrząc na podświetlany wizerunek świątyni pędzla Canaletta, porównujemy jej fasadę z tą, odrestaurowaną po wojnie. Niedawno, dla lepszego oglądu tej przestrzeni, wycięto kilka drzew.

Tu właśnie rozpoczyna się sam skwer. Imię Ks. Jana Twardowskiego nadano tej wysepce zieleni stosunkowo niedawno, 2 czerwca 2011 roku. Ot, taki piękny prezent urodzinowy dla Autora „Znaków ufności” i „Biedroneczko leć do nieba” w piątą rocznicę śmierci. Wszakże urodził się w dniu 1 czerwca, kiedy dzieci, adresaci Jego niezliczonych wierszy, obchodzą swoje święto. Wtedy w uroczystości otwarcia skweru wzięli udział m.in. Prezydent miasta stołecznego Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz, kardynał Kazimierz Nycz i znana aktorka Anna Nehrebecka.

...Tak, pani Anna Nehrebecka jest tu znowu – wśród tłumu tych, którzy zostali zaproszeni na uroczystość odsłonięcia Ławeczki Księdza Jana. Widzę też inną znakomitą aktorkę – Maję Komorowską, znaną m.in. z filmów Krzysztofa Zanussiego. I wiele innych znamienitych postaci. I niezliczone poczty sztandarowe ze szkół, których patronem został ksiądz-poeta: z Kraśnika i Sierpca, z Wołomina i Warszawy... A w gronie tych, którzy celebrytują samą uroczystość i przemawiają do tysięcy zgromadzonych są m.in.: metropolita warszawski kardynał Kazimierz Nycz, wiceprezydent m. st. Warszawy Jacek Wojciechowicz i następca ks. Jana Twardowskiego – ks. Aleksander Seniuk, obecny rektor kościoła Wizytek, inicjator postawienia Ławeczki. I szef kancelarii Prezydenta RP minister Jacek Michałowski. I wojewoda mazowiecki Jacek Kozłowski, i reprezentujący Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych minister Jan Stanisław Ciechanowski. I drobniutka, starsza pani – Anna Hozakowska ze Związku Powstańców Warszawskich. Związek wraz z Instytutem Jana Pawła II to fundatorzy Ławeczki.

Jan Jakub TWARDOWSKI (ur. 1 czerwca 1915 w Warszawie, zm. 18 stycznia 2006 w Warszawie) – ksiądz rzymskokatolicki, prałat honorowy Jego Świątobliwości, polski poeta, przedstawiciel współczesnej liryki religijnej.

To z jego wiersza dedykowanego Annie Kamieńskiej pochodzi zdanie:

„Śpieszmy się kochać ludzi – tak szybko odchodzą”.

Skromny podest z mikrofonami został usytuowany na tle klasztornych murów. Kto tędy spaceruje, może zapoznać się z treścią umieszczonej na ścianie tablicy informacyjnej, poświęconej dwójce księży: Janowi Twardowskiemu i Bronisławowi Bzowskiemu „Bronkowi”. W pobliżu, na tle jesiennej, zgaszonej zieleni krzewów stała od lat zwykła parkowa ławka, na której często odpoczywał spacerujący autor „Niebieskich okularów”. Nie tylko On. Jak w swoim wystąpieniu podkreślał ks. rektor Aleksander Seniuk, siadywali tu zwykli przechodnie, i zakochani, i bezdomni. Dzisiaj w tym miejscu stanęła Ławeczka – pomnik, gdzie zasiadł, już na stałe, Ksiądz Jan Twardowski.

Z pozycji gromady dzieci, wśród których znalazłam znakomite miejsce, doskonale widać było siedzącą na ławce postać otuloną białą tkaniną, spod której wystawała para butów z brązu. Oraz inskrypcję – fragment wiersza księdza Jana Twardowskiego na metalowych listwach oparcia: *„Można odejść na zawsze, by stale być blisko”*. Taką właśnie wizję pomnika zrealizował, obecny również na uroczystości, łódzki artysta-rzeźbiarz Wojciech Hryniewicz, autor m.in. tak popularnych w kraju dzieł, jak stojąca w jego mieście Ławeczka Juliana Tuwima czy Ławeczka Jana Nowaka-Jeziorańskiego na Powiślu w stolicy.

To do młodzieży ze sztandarami i do stojących z różami w dłoniach dzieci zwrócił się metropolita Kazimierz Nycz ze słowami:

– Sięgając po myśl, poezję, poznajecie jego życie i na tym pięknym oryginalnym życiu uczycie się waszej młodości i dorosłości... Chcemy, żeby nadal było to miejsce spotkań.

Zatrzymajmy uroczystość na chwilę.

Dzieci, wraz z rodzicami lub nauczycielami, często odwiedzają kościół Wizytek. To tutaj dowiadują się, że świątynia pod Wezwaniem Opieki św. Józefa Oblubieńca Niepokalanej Bogurodzicy Maryi, należąca do parafii pod wezwaniem św. Krzyża, jest późno-barokowym kościołem, wzniesionym w latach 1728 – 1761. Że klasztor Sióstr Wizytek to najstarszy dom zakonny w Polsce, w którym o wiek wcześniej, w 1654 r. została zamknięta klauzura. Że pełna nazwa zgromadzenia wizytek brzmi: Zakon Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny, a Wizytki wzorują się na skromności Maryi, która powędrowała przez góry w stanie błogosławionym, żeby złożyć wizytę św. Elżbiecie.

Niestety, nie ma dostępu do pięknych ogrodów za tyłach klasztoru, gdzie ksiądz rektor przez lata chętnie przesiadywał, czerpiąc inspirację do swoich wierszy. Do skromnego mieszkanka księdza Jana Twardowskiego w klasztorze też mało kto ma dostęp. Ale fotografie pełnego pamiątek od gości małych i dużych – aniołków,



Ławeczka ks. Jana Twardowskiego. Pierwsi goście



Wiersz księdza Jana czyta Anna Seniuk

obrazków, biedronek, dedykacji na kaflach pieca – wnętrza, które wspomniała podczas uroczystości aktorka Anna Seniuk (*„domeczek na kurzej łapce, do którego wchodziło się po schodkach”*) można oglądać na stronach książek i i w Internecie. Do zbiorów przybyła gipsowa maska pośmiertna i odlew ręki autora ponad 50 książek z wierszami, które przetłumaczono na wiele języków. Mała biedronka, „bohaterka” wielu liryków, sfrunęła też na ustawiony w kościele kremowy pomnik – epitafium w postaci klęcznika, przy którym każdy może stanąć, by przeczytać ostatni wiersz ks. Jana, napisany w dniu Jego śmierci w szpitalu przy ul. Banacha: *Jezu ufam Tobie!// zamiast śmierci/ racz z uśmiechem/ przyjąć Pani!// pod Twe stopy/ życie moje/ jak różaniec*. Wiele innych, w książkach, można kupić w zakrystii.

...Ławeczkę odsłaniają Anna Hozakowska, wiceprezydent Jacek Wojciechowicz, kardynał Kazimierz Nycz. Spod białej zasłony wyłania się odlana w brązie, naturalnej wielkości postać siedzącego księdza Jana w sutannie, z rozwartą książką. I tutaj jest biedronka. Okulary, nieodstępna treska na głowie. Wizerunek taki, jaki poznali czytelnicy wszystkich pokoleń w całym

kraju. Pojawiają się wiązanki kwiatów. Aktorzy czytają wiersze księdza Jana. Agnieszka Grochowska, Anna Seniuk, Cezary Żak:

*„Żal, że się za mało kochało,
Że się myślało o sobie.
Że się już nie zdążyło.
Że było za późno.”*

*„...z buzią otwartą
Dorosły głuptasie
Gdzie się teraz podziewasz...”*

*„Za oknem wiatr czerwcowy z pannami ładnymi
A tobie kto daruje choć uśmiech malutki”.*

No, kto...

*Tekst i fotografie:
Krystyna KONECKA*

ŚLĄSKOŚĆ I POLSKOŚĆ W PARZE

Czym dla Ukrainy jest Donbas z jego ogromnym potencjałem wydobywania węgla i mocą zakładów przemysłowych, tym dla Polski jest Śląsk, także z licznymi kopalniami węgla kamiennego, rud żelaza, cynku i ołowiu, z hutami, walcowniami, elektrowniami, fabrykami samochodów, maszyn i urządzeń przemysłowych, produktów spożywczych i wyrobów rynkowych.

Po bogactwa Ziemi Śląskiej ludzie sięgają od wieków. Szczególny rozwój tutejszego regionu nastąpił zwłaszcza w okresie Polski Ludowej. To stąd pochodziła największa ilość polskiej produkcji przemysłowej, a dewizy za eksport węgla obficie zasilaly skarb państwa i umożliwiały zakup potrzebnych towarów w krajach zachodnich i na innych rynkach. Podjęto też wówczas szeroko zakrojone prace – kontynuowane po dzień dzisiejszy – w zakresie ochrony naturalnego środowiska przyrodniczego, a więc rekultywację zniszczonych gruntów, połączoną z likwidacją wyrobisk, zwałów, zapadlisk górniczych. Zbudowano instalacje do oczyszczania atmosfery z pyłów i gazów, do neutralizacji ścieków przemysłowych i komunalnych. Towarzyszyło temu także zazielenianie i zalesianie miejsc w pobliżu zakładów pracy, zamieszkania i rekreacji. Symbolem tych inwestycji jest Park Kultury i Wypoczynku w Chorzowie, zajmujący około 600 hektarów. Na wielką skalę rozwinięto również budownictwo mieszkań i obiektów użytku publicznego – szkół, uczelni, teatrów, sal koncertowych itp. Wyburzono wiele wysłużonych fami-bloków i starych domków, do innych doprowadzono wodę bieżącą, gaz, zainstalowano w nich urządzenia kanalizacyjno-sanitarne. Mój przyjaciel, rodem z Zabrze, w młodości górnik, mówi, że skala tych robót i zmiana oblicza tej ziemi, były po wojnie wprost nie do wyobrażenia, bo przekraczały wszelkie pojęcia i zakorzenione przekonania, że na Śląsku zawsze musi być czarno, brudno i biednie.

Śląsk – ten Górny i Dolny – przed tysiącem lat był we władaniu królów i książąt z rodu Piastów. W średniowieczu jednak różne obszary – mniejsze i większe – przechodziły na długie lata pod panowanie władców z Czech. Zaznaczał się także coraz silniejszy napływ ludności pochodzenia niemieckiego. Z upływem czasu ziemia ta wymykała się spod panowania królów polskich i przechodziła we

władanie Prus, a potem Niemiec. Przez 123 lata niewoli rozbiorowej największa część Śląska była pod butem Niemiec, część pod panowaniem Austro-Węgier. Nasiliła się wówczas polityka germanizacji i rugowania wszystkiego, co miało znamiona polskie. W połowie XIX wieku na Górnym Śląsku mieszkało ponad 700 tysięcy Polaków, to jest jedna trzecia część jego ludności. Przeważali wśród nich chłopcy i biedota miejska. Mimo to w łonie ludności polskiej coraz bardziej narastało i rozwijało się poczucie polskości, a ruch narodowościowy przybierał formy zorganizowane i otwarte. Pojawily się liczne organizacje i stowarzyszenia polskie, placówki oświatowo-kulturalne, prasa w języku polskim. Przed I wojną światową i po niej ruchowi temu przewodził Wojciech Korfanty. Wydało to owoce. Gdy po zakończeniu tej wojny i po upadku mocarstw zaborczych przyszło do dzielenia Śląska, przywódcy ludności polskiej na tym terenie poderwali lud do chwycenia za broń. W wyniku trzech powstań śląskich, a zwłaszcza tego trzeciego i najbardziej udanego w maju-czerwcu 1921 roku, potęgę zachodnie były zmuszone przyznać Polsce znacznie większą część Śląska, niż pierwotnie przewidywano. Na ziemiach tych utworzono województwo śląskie z siedzibą władz w Katowicach. Województwo to otrzymało autonomię i rozwijało się bardzo dynamicznie. To tu produkowano około 80% żelaza i stali oraz wydobywano 75% węgla ówczesnej Polski.

Teren ten – mimo obowiązywania po obu stronach granicy Konwencji Genewskiej – był silnie penetrowany przez siły niemieckie, szczególnie po dojściu do władzy Hitlera. I to z tego regionu Niemiec poszło największe uderzenie na Polskę we wrześniu 1939 roku. Polscy obrońcy, głównie byli powstańcy śląscy i harcerze, przypłacili okrutną ofiarę. Niemcy od razu dokonali licznych masowych publicznych egzekucji. W trakcie zaś wojny dziesiątki tysięcy młodych mężczyzn z rodzin polskich (wciągnięto ich bez pytania na volkslisty) wcielono do Wehrmachtu i skierowano na front, głównie ten wschodni. Śląsk w całości znalazł się w granicach państwa polskiego ponownie od 1945 roku. Niemców zaś, tych, którzy sami nie uciekli przed nacierającą Armią Czerwoną, po wojnie repatriowano na zachód, w głąb stref okupacyjnych. Na Śląsk masowo napłynęli Polacy z różnych jej stron, również repatrianci z Ukrainy.

Echa najdawniejszych i prawie jeszcze świeżych wydarzeń są na Śląsku bardzo żywe. Rodowody wielu rdzennych Ślązaków są niekiedy nie tylko bardzo barwne i patriotyczne, ale i zawile, niejednoznaczne. Podziały przebiegały i przebiegają przez całe rodziny. Bo liczne z nich mają charakter rodzin mieszanych. Ktoś z przodków był Niemcem czy Niemką, ktoś Polakiem czy Polką. Jedni przez całe życie czuli się Polakami, także w tych najtrudniejszych czasach terroru i prześladowań, zachowali polski gwarowy język, polskie obyczaje i wiarę katolicką. Nie wyobrażają sobie oni życia gdzie indziej, jak tylko w państwie polskim. Ale w innych tli się nadal cień niemieckości, podziwu dla talentów i samoorganizacji tej nacji. Mają oni krewnych, niekiedy bardzo bliskich, na terenie Niemiec. Dawniej, w czasach trudnych i biednych, dostawali od nich paczki z żywnością, odzieżą i obuwiem oraz inne formy wsparcia. Wyjeżdżali też na stałe do Niemiec w ramach łączenia rodzin. Obecnie, gdy Polska jest wraz z Niemcami w Unii Europejskiej, bez przeszkód wyjeżdżają tam w odwiedziny i do pracy stałej względnie sezonowej. Przyjmują również ziomków z Niemiec u siebie. Tę procesa nikt nie zatrzymuje. Tak powinno być. Każdy człowiek ma pełne prawo do swobodnego wyboru tożsamości, miejsca zamieszkania i pracy. Tak już zapewne pozostanie. Na szczęście.

Dlatego rodowici mieszkańcy Śląska mówią najchętniej o sobie, że są po prostu Ślązakami. I takimi pragną pozostać. W toku spisu powszechnego ludności w 2011 roku w rubryce „narodowość” aż 847 tysięcy osób wpisało „śląska” (a na

Pomorzu „kaszubska” 233 tysiące). Do transformacji ustrojowej w 1989 roku podobne deklaracje były niemożliwe. Mówiono wówczas o gwarze śląskiej (jak kaszubskiej czy góralskiej) i o wielu odrębnościach oraz zaletach tej ludności, lecz o upominanie się o jakieś wyodrębnienie – nie mogło być w ogóle mowy. Proces ten zaczął się ujawniać i nasilać w latach ostatnich. Prężnie działa Ruch Autonomii Śląska, a jego przedstawiciele w tej kadencji samorządu (to jest od czterech lat) wchodzili w skład sejmiku wojewódzkiego i do zarządu województwa, czyli do koalicji sprawującej tam władzę. Ale ustąpili.

Pisarz śląski Szczepan Twardoch w rozmowie opublikowanej rok temu na łamach „Gazety Wyborczej”, mówił, że myśli o tym przebudzeniu śląskim z sympatią i sentymentem, ale bez szczególnej nadziei, że się ten projekt może powieść. To jest jakby wymyślanie śląkości na nowo. Z drugiej strony, jeśli nie zostanie wymyślona, to w ogóle zniknie.

Ruch Autonomii Śląska domaga się nie tylko oficjalnego uznania śląskiej grupy etnicznej (w Sejmie jest odpowiedni wniosek do ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych), ale przede wszystkim przywrócenia autonomii Śląskowi, jak to miało miejsce w latach międzywojennych – do 1939 roku. U podstaw takiego żądania leży dość powszechne przekonanie wnioskodawców, że Śląsk jest przez władze centralne w Warszawie traktowany po macoszemu, że dostaje za mało z funduszu krajowego na inwestycje i rozwój. Autonomiści pomijają jednak milczeniem ten fakt, że Śląsk czerpie obficie z budżetu Unii Europejskiej.



Poczucie krzywdy bierze się jednak nie z próżni. Po zmianach ustrojowych i po urynkowaniu gospodarki konkurencji nie sprostało sporo ważnych zakładów, które upadły, o mnóstwo ludzi do tej pory przyzwocie zarabiających straciło pracę w ogóle. Zamknięto dużo kopalń węgla, zwinęły produkcję lub ją znacznie ograniczyły liczne huty i inne zakłady przemysłu ciężkiego. Nasiliło się bezrobocie. Nie wyrównuje tych ubytków dobry rozwój usług i innych, dawniej dychawicznych branż. W dodatku także z wydobywanym w niniejszej ilości węglem są kłopoty. Bo koszty tego wydobycia są w Polsce, zwłaszcza na Śląsku, znacznie wyższe niż w sąsiednich krajach, choćby na Ukrainie i w Rosji. Po drogi węgiel z rodzimych kopalń nie ustawiają się, jak ongiś, długie kolejki. Zalega więc on na hałdach, czeka na łaskawych odbiorców. Eksport stał się niewysoki, właśnie z uwagi na cenę. Rząd nie jest w stanie zmusi 5 elektrowni i innych dużych nabywców, by z poczucia patriotyzmu zaopatrywały się w paliwo w kraju. Wszędzie obowiązuje rachunek ekonomiczny. Dlatego polskie firmy nierzadko zaopatrują się w węgiel u sąsiadów. Klęska nie grozi, bo rząd polski nadal stawia na węgiel jako na własne ważne źródło energii. Zatem podejmowane są rozmaite działania, by obniżyć koszty wydobycia i przerabiania ten surowiec na tańsze nośniki energii. Rodziny górnicze i związki zawodowe w kopalniach denerwują również ponowione wnioski, z różnych stron, by ograniczyć przywileje pracownikom kopalń. Oficjalnie mówi się, że te reformy – jeśli do nich dojdzie – nie obejmą ludzi pracujących pod ziemią, faktycznie przy wydobyciu, tylko tych na powierzchni i w administracji. Strach ma jednak wielkie oczy, a ci, którzy faktycznie nie powinni z

przywilejów korzystać, na przykład z wcześniejszego przechodzenia na emeryturę, są niechętnie ustosunkowani do podobnych zamierzeń.

Wielkim atutem ludności śląskiej jest etos pracy. Ludzie ci cenią każdą pracę, określają ją jako sens życia. Inną wyróżniającą cechą Ślązaków jest rodzinność i religijność. A także wielki lokalny patriotyzm. Gdy zmarłego w końcu 2013 roku wybitnego kompozytora Wojciecha Kilara zapytano przed laty za granicą, co trzeba w sobie mieć, żeby pisać tak piękną muzykę jak on, odpowiedział po prostu:

– Wystarczy mieszkać w Katowicach!

W najnowszej historii Polski chlubnie zapisało się wielu artystów i polityków rodem ze Śląska, na czele ze śmiałym nowatorem Edwardem Gierkiem. Obecnie wielką sławą i uznaniem cieszy się Elżbieta Bieńkowska – minister rozwoju regionalnego od 2007 roku, a od jesieni 2013 roku wicepremier, która dodatkowo kieruje też wielkim kolosem, jakim jest resort transportu, budownictwa i gospodarki morskiej. Pochodzi ona z Myślenic na Śląsku i tam nadal mieszka. Ceniona jest za pracowitość, energię, stanowczość i zmysł organizacyjny, stroni zaś od polityki. Obecnie całą swą uwagę koncentruje na mądrym zarządzaniu powierzonym jej odcinkiem pracy, planowym i racjonalnym wykorzystywaniu funduszy unijnych. A na lata 2014 – 2020 jest ich – łącznie z funduszami na politykę rolną – 105,8 miliardów euro, w przeliczeniu ponad 441 miliardów złotych. Sporo więcej niż dotychczas.

Orędownicy autonomii Śląska dowodzą, że takie rozwiązanie przyczyni się do lepszego i racjonalnego rozwoju tej ziemi, że w niczym nie zagrazi integralności i spójności z całym obszarem Polski. Odwrotnie – przyda temu rozwojowi dynamizmu i wyzwoli w ludziach niespożyte



pokłady przedsiębiorczości, innowacyjności i przyczyni się do większego zespolenia nauki z gospodarką i kulturą. Wypada dodać, że podobne tendencje mają miejsce w innych krajach współczesnego świata i sprawdzają się w praktyce.

Autonomiści i zwolennicy większej otwartości na oczekiwania dużej grupy Ślązaków – bo nie wszystkich – podkreślają również, że śląskość idzie w jednej parze z polskością, obie te idee dobrze się wzajemnie wspomagają, uzupełniają i wzbogacają. Wybitny reżyser filmowy i aktualnie niezależny senator Kazimierz Kutz, wywodzący się ze Śląska i po dzień dzisiejszy organicznie z nią związany, podkreśla, że Ślązacy czują się dziś odrzuceni i porzuceni, że bez uznania ich za mniejszość etniczną nie mogą się należycie samoorganizować. Śląsk ma prawo do autonomii, wspieranie grup etnicznych jest dziś oczywistością w Europie. Ale w Polsce nie dopuszcza się myśli – podkreśla senator – że popieranie grup etnicznych, jakichkolwiek, sprzyja pobudzaniu postaw obywatelskich. Tusk rozczarował mnie swoim stosunkiem do Ślązaków i śląkości...

Podam, że Premier Donald Tusk, sam wywodzący się z Kaszub, po prostu unika publicznego wypowiedziania się na ten temat. A na potwierdzenie jak to trudny problem, przytoczę tylko dwa przykłady. Na początku września 2012 roku przed Sądem Okręgowym w Opolu toczyła się rozprawa w sprawie rejestracji Stowarzyszenia Osób Narodowości Śląskiej. Sędzia Anna Korwin-Piotrowska odrzuciła sprzeciw prokuratury wobec rejestracji takiego stowarzyszenia. Mówiła:

– To, że nie ma narodowości śląskiej w ustawie, nie oznacza, że jej w ogóle nie ma. Po odzyskaniu przez Polskę pełnej suwerenności, gdy stała się państwem w pełni demokratycznym, wolno obywatelom działać wszędzie tam, gdzie prawo tego nie zakazuje. A wolność jednostki to wolność stowarzyszania się.

Na podstawie tego postanowienia Stowarzyszenie Osób Narodowości Śląskiej w Opolu stało się w pełni legalne. A liczyło wtedy około 800 osób.

Natomiast wręcz przeciwstawne stanowisko zajął Sąd Najwyższy w Warszawie pod koniec 2013 roku. Zakwestionował on istnienie narodu śląskiego i uznał, że nazwa Stowarzyszenie Osób Narodowości Śląskiej jest niedopuszczalna. Szanując przekonania części Ślązaków sąd ten stwierdził, że nie można zaakceptować sugestii o istnieniu odrębnego narodu.

Orzeczenie to wywołało szok i oburzenie w kręgach intelektualistów, często dalekich od spraw i problemów śląskich. Dowodzili oni, iż orzeczeniami

sądów nie można przesądzać o istnieniu czy nieistnieniu jakiegoś narodu czy grupy etnicznej. Bo to wynika z wiekowej na ogół wspólnoty losów historycznych, kultury, języka, terytorium i życia ekonomicznego. Ludność Śląska taką wspólnotę odczuwa. I łączy ją z narodem polskim. Ale przy uświadomieniu sobie pewnych odrębności i wartości, które dostrzega każdy, kto na Śląsk przyjedzie i zetknie się ze rdzennymi Ślązakami. Wystarczy wsłuchać się w tamtejszy język, gwarę. A także przyrzeć się postawom i przekonaniom ludzi. I nie zmieni tego żaden sąd, choćby najwyższy. Problem jednak pozostał.

Ślązacy są mocno wyczuleni na tym punkcie. Bardzo im się naraził Prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński, który ponad rok temu wyraził opinię, że śląskość jest sposobem odcięcia się od polskości i przejawem zakamuflowanej opcji niemieckiej. Pod ogniem oburzenia i krytyki szybko się z tej oceny wycofał, przeprosił i tłumaczył, iż został źle zrozumiany. Zaczął zapewniać, że między PiS i Ruchem Autonomii Śląski nie ma żadnej wrogości. Mleko się jednak wylało.

W 1988 roku na Śląsku mieszkało prawie 5 milionów ludzi. Obecnie znacznie mniej, bo 4,6 miliona. Prognozuje się dalszy spadek. Ale to nadal, po odliczeniu osób niepełnoletnich, ogromny elektorat wyborczy: 3,5 miliona głosów. Zabiegają o przychylność tych ludzi wszystkie partie, a zwłaszcza dwie największe – Platforma Obywatelska oraz Prawo i Sprawiedliwość. Dotychczas górą była Platforma. Dość podać, że w wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2009 roku, mimo niskiej frekwencji, kandydujący tutaj z listy PO były Premier Jerzy Buzek zdobył aż 393 117 głosów, najwięcej w całym kraju. Jak będzie w tegorocznych majowych wyborach do tegoż parlamentu, trudno jednoznacznie przesądzać. W celu pozyskania sympatii Ślązaków obie te partie swe zjazdy krajowe w czerwcu 2013 roku przeprowadziły w miastach śląskich.

Premier i zarazem szef PO Donald Tusk nie wykorzystał okazji i sprawę autonomii oraz oficjalnego uznania etnicznej mniejszości śląskiej dyskretnie przemilczał. Władze nie mogą jednak przeciągać struny. I udawać, że nie wiedzą o postawie i oczekiwaniach miliona gorących orędowników śląkości i polskości razem ujętych. Tym bardziej, iż mimo zmniejszania wkładu śląska do budżetu narodowego wciąż pozostaje on polskim Donbasem. I długo jeszcze takim pozostanie.

Eugeniusz JABŁOŃSKI
Warszawa

MOJA DROGA DO POLSKI WIODŁA PRZEZ JEGO SERCE

Wspomnienie o I Prezesie ZPU Stanisławie Szałackim

Z panem Stanisławem Szałackim los mnie połączył wtedy, gdy już od życia niczego dobrego nie oczekiwałem. W dalekiej przeszłości pozostały moje studenckie wiosny. Ćwierć wieku poświęciłem dziennikarstwu i tyleż swojej poetyckiej Muzie: do chwili obecnej wydałem siedem tomików wierszy. Pisałem je zazwyczaj w języku ukraińskim...

Zupełnie nie spodziewałem się, że w moim nowym znajomym znajdę przyjaciela i doradcę, który odegra tak wielką rolę w kształtowaniu mojej świadomości narodowej. Świadomości, że jestem Polakiem. Obecnie pytanie o „narodowość” nie zawsze jest w ankietach. Czasem wydaje się ono wręcz dziwne i niepotrzebne. I rzeczywiście – kogo to obchodzi, jakie są twoje korzenie? Urodziłeś się i... jesteś!

Jednak w przełomowych okresach życia to pytanie jak wysoki mur staje przed każdym. Nie tylko ludzie, ale przede wszystkim ty sam chcesz wiedzieć:

*Czyja prawda, czyja chwała
I czyje my dzieci?..*

Większość mieszkańców wsi Wiriwka (nazwa pochodzi od imienia Wira) w rejonie jemelczyńskim na Żytomierszczyźnie, skąd pochodzą moi rodzice, stanowią Polacy. Bardzo dobrze rozmawiają po ukraińsku. Ich przynależność do narodu polskiego przejawia się w kultywowaniu polskich zwyczajów i tradycji polskich, w uczestniczeniu we Mszach św. w katolickich kościołach, w śpiewaniu polskich piosenek. Jak daleko sięgam pamięcią, nigdy nie było żadnych międzynarodowościowych nieporozumień. Szanowaliśmy ukraińskie zyczaje, a nasi sąsiedzi-Ukraińcy – polskie.

Później, kiedy uczyłem się historii w radzieckiej szkole a następnie w czasie studiów ukształtowały się pewne stereotypy. „Polskie” często kojarzyło się ze słowem „pańskie”, a z „panami” uczono nas postępować bez zbędnych „sentymentów”: „Wszystkich panów – do jednego dołu!..”. Piłsudski był



Stanisław Szałacki

uważany za wroga Nr 1 całego Związku Radzieckiego. Nawet po śmierci.

Krótko mówiąc, ja – Polak, dziecko polskich rodziców często zastanawiałem się, czy ten fakt jest powodem do radości, czy też do smutku? Czy należy się nim otwarcie szczycić, czy też skrzętnie ukrywać?

I oto pojawił się w moim życiu człowiek, który rozwiązał ów „gordyjski węzeł”. Był nim pan Stanisław Szałacki.

Już w czasie naszego pierwszego spotkania zauważyłem jakąś osobliwą inteligencję tego człowieka, jego szlachetność i dobroć w stosunkach z otoczeniem. Na zawsze pozostał mi w pamięci kolor jego włosów: wydawało się, że to życie przyprószyło mu głowę bielą śniegu czy płatków kwiatu wiśni.

Kiedy we mnie uwierzył? Kiedy uwierzył w moje siły? Wydaje się, że było to w dniu 18 marca 1989 roku, gdy razem z byłym Konsulem Generalnym RP w Kijowie Ryszardem Polkowskim przyjechał na spotkanie z Polonią Żytomierza, a ja wraz z przedstawicielami władz witałem ich obok pomnika Jarosława Dąbrowskiego. Pamiętam, że udało się wówczas namówić kierownika szkoły wojskowej, by pod pomnik delegował ich orkiestrę dętą, która na cześć gości zagrała polski hymn państwowy „Jeszcze Polska nie zginęła”. O oto nad Żytomierzem zabrzmiały uroczyste dźwięki „Mazurka Dąbrowskiego”. Każde wypowiedziane wówczas słowo brzmiało bardzo uroczyście, jak przysięga. „Żytomierz nie zapomni! Żytomierz pamięta!” – wykrzykiwano. Zauważyłem uśmiechy zadowolenia na twarzach gości. Najbardziej cieszył się pan Szałacki.

Do tamtego czasu nigdy nie zmagalem się z problemami, rozwiązanie których było wręcz niemożliwe. Pan Stanisław nauczył mnie, jak śmiało zabierać się do takich spraw, w jaki sposób pokonywać trudności. W najbardziej ważnych i trudnych chwilach zawsze wiedziałem, że pan Stanisław nie pozostawi mnie sam na sam z trudnościami i że przyjdzie mi z pomocą.

Pierwsze kroki na drodze odrodzenia kultury polskiej robiłem jeszcze w ZSRR. Przypominam sobie, z jakimi trudnościami udało się przekonać komitet obwodowy, by ten wypożyczył dużą salę Domu Edukacji Politycznej. W niej miało się odbyć walne zebranie Polaków. Musiałem uciec się do fortelu i zaprosić na owo zebranie ich przedstawiciela. Ludzie zebrani w sali od razu zauważyli „obkomowskiego ptaka” i dał się słyszeć szmer niezadowolenia. Zrozumiałem, że nam nie ufają. Trzeba było za wszelką cenę pokazać ludziom, kim jesteśmy i o czyje interesy walczymy. Przy tym należało to zrobić w języku zrozumiałym dla zebranych na sali i niezrozumiałym dla przedstawicieli władz.

Otwierając zebranie powiedziałem, że Polacy wszelkie dobre sprawy zaczynają od piosenki. A ponieważ był to piąty dzień po Wielkanocy, dlatego głośno zaintonowałem: „Wesoły nam dziś dzień nastał...”.

Nie miałem wątpliwości, że sala mnie wesprze, chociaż zarówno ja tych ludzi, jak i oni mnie widzieli po raz pierwszy. I nie zawiodłem się. Nie tylko mężczyźni i kobiety – ludzie starsi, ale także

młodzież, wszyscy wstawali, prostowali ramiona i zaczęli śpiewać. Sala wypełniła się radością!

Jestem głęboko przekonany: ci ludzie do samej śmierci opowiadać będą swoim dzieciom i wnukom o tym, jak pewnego wiosennego dnia w 1989 roku śpiewali polską pieśń kościelną w tak niezwykłym miejscu i jak pięknie wtórowały im wysokie ściany „partyjnego przybytku”.

A co działo się w prezydium? Jako pierwszym dołączył do mnie p. Szałacki. Podszedł i zaczął śpiewać razem ze mną.

A „kompartyjcy” – przedstawiciele władz różnych szczebli? – Jak na komendę (wszak przywykli robić wszystko na rozkaz) podchwycili melodię, chociaż nie znali słów i nie bardzo wsłuchiwali się w treść pieśni. Byli przekonani, że śpiewamy hymn państwowy, a skoro tak, to należy udawać, że oni też śpiewają.

Po raz pierwszy pod sklepieniem „partyjnego domu” brzmiała religijna pieśń. Obecni na sali uwierzyli: nie po raz ostatni!

Pan Stanisław – znawca i wielbiciel literatury i sztuki, człowiek, który patrzył na świat przez pryzmat słowem malowanych obrazów Adama Mickiewicza („*Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem, // Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem*”) – jak dziecko cieszył się z każdego mojego skromnego sukcesu. Z każdego twórczego powodzenia. Jako człowiek obdarzony doskonałą pamięcią, recytował mój Polonez „Polonio, Ojczyzno przodków miła”, który na język polski przetłumaczył Tadeusz Nowak. A ze względu na formę – jest on bardzo trudny do zapamiętania.

Kiedyż napisałem wiersz „Madonna bez głowy”, będący efektem moich rozmyślań po zwiedzeniu polskiego cmentarza w Żytomierzu, pan Stanisław zrobił wszystko, żeby jak najlepiej zabrzmiał on po polsku. A w czasie odwiedzin tegoż cmentarza przez gości z Polski poprosił, bym zaopiekował się nimi.

Za mój największy sukces pan Szałacki uważał wiersz „Moja droga do Polski” – pierwszy, który napisałem w języku moich przodków. Ten wiersz bardzo mi pomógł zrozumieć samego siebie. Bowiem jeszcze znacznie wcześniej, w latach 60. XX w., zadawałem sobie pytanie (w refrenie do poematu o Chopinie „Jesteś potrzebny ojczyźnie”, tomik „Nad Teterewom”, 1973):

*I dlaczego wołasz na mnie, Łado,
We śnie do ojczyzny przodków,
Gdzie weselnie grzmi „Mazowsze”*



Delegacja Polaków z Żytomierszczyzny na I Kongresie Polaków Ukrainy

*Nie milkną akordy Chopina,
Szlochają dumne organy?
Mnie w tym kraju nie znają,
I ja nie znam nikogo.
Tylko czasem w mowie polskiej
Coś ojczyście takie przeleci.
To po co wzywasz bezsennie?
Jakie wspomnienia budzisz?..*

Wydaje mi się, że właśnie wiersz „Moja droga do Polski”, który dedykowałem Stanisławowi Szalackiemu, jest próbą odpowiedzi samemu sobie na te trudne pytania.

Pozostały mi fotografie. Na tej pan Stanisław stoi zamyślony obok marmurowej groty, w której znajduje się figura Madonny. Przyszedł tutaj, by uklęknąć przed kapliczką na wysokim brzegu Kamianki, którą zbudował Józef Ignacy Kraszewski obok grobu przyjaciółki domu – Elżbiety z Kruszewskich Urbanowskiej. Na innym zdjęciu pan Stanisław zapalający znicze przed pomnikiem wybitnego żytomierskiego kompozytora, który zmarł w wieku zaledwie 31 lat, Juliusza Zarębskiego. A tutaj pan Szalacki klęczy pogrążony w smutku obok grobu księdza Andrzeja Fedukowicza. A tutaj składa kwiaty na grobie syna Moniuszki – Bolesława...

Na cmentarzu są trzy groby, obok których pan Stanisław zatrzymuje się najczęściej i najdłużej. „Pod tymi płytami leżą moi krewni” – powiedział mi kiedyś. Zauważyłem wtedy łzy w jego oczach...

O pewnym grobie chciałbym opowiedzieć oddzielnie. Nie rok i nie dwa poszukiwałem w Żytomierzu śladów wielkiego kompozytora i pierwszego premiera niepodległej Polski Ignacego Paderewskiego. Nie raz słyszałem, że niektórzy kolekcjonerzy antykwiariatu w Żytomierzu posiadają polskie książki z jego autografami, pocztówki a nawet nuty niektórych utworów muzycznych, własnoręcznie przez niego napisane. Po pewnym czasie sam trzymałem w ręku niektóre z tych skarbów. Problem jednak polegał na tym, żeby udowodnić, iż rzeczywiście napisał je Mistrz, tym bardziej, że polscy znawcy jego życia i twórczości starali się mnie przekonać, że Paderewski wcale nie był w Żytomierzu. I właśnie wtedy zrozumiałem, że jeśli u samego Paderewskiego nie poszukam ważkiego potwierdzenia faktu, iż w jego życiu był „okres żytomierski”, który umknął uwadze badaczy – to po prostu zostaną wyśmiani!

Los mi sprzyjał: znalazłem owo potwierdzenie. Okazało się, że jeszcze w dalekim roku 1938, w Anglii, a nie tak dawno także i w Polsce zostały wydane „Wspomnienia” I. Paderewskiego. To

właśnie w owych „Wspomnieniach” znalazłem następujące zdania:

„Ojciec jeszcze za życia doczekał mojego wyznania. Będąc już starym i chorym (sparaliżowany), nie wiedział do końca o moich muzycznych osiągnięciach, lecz dzięki gazetom, w których pisali o mnie i które jemu wysyłałem, został poinformowany o moim całkowitym wyznaniu i słyszał o moich sukcesach w Paryżu, Londynie, a później – w Ameryce. Kiedy zachorował poważnie i nie potrafił już zajmować się sprawami, kupiłem dla niego dom w niewielkim miasteczku Żytomierzu. Upodobał tamtą miejscowość i poczuł się dobrze, chociaż cierpiał z powodu naszego rozłączenia”.

Jedno powodzenie rodzi następne. Mieszkaniec Żytomierza – Wiktor Winkiewicz wkrótce zaprowadził mnie do tego domku przy ulicy Podolskiej 12, który słynny syn kupił dla ojca w roku 1890. W nim ojciec kompozytora mieszkał przez cztery lata.

W życiorysie Ignacego Paderewskiego udało się także odnaleźć informację, że ojciec odszedł z tego świata w listopadzie 1894 roku i został pochowany w Żytomierzu. „Warto odnaleźć jego mogiłę” – pomyślałem. „Chociaż nadzieja jest niewielka: wszak minęło sto lat”. Podzieliłem się swoimi wątpliwościami z panem Szałackim. Od tamtej pory w czasie spotkań zawsze interesował się, czy już odnaleziono ów grób.

Minął rok, drugi. Udało odnaleźć trzy mogiły z podobnymi nazwiskami – Poderewskich. Odnalazłem także dwie mogiły – Jana i jego córki Marii Paderewskich. Sprawdziłem wszystkie nagrobki i w końcu zdecydowałem się sprawdzić te, które powalono z grobów. I tutaj czekał na mnie sukces. Kiedy wiosną 1994 roku zawiadomiłem pana Szałackiego, że nareszcie poszukiwany grób ojca I. Paderewskiego odnaleziono, poprosił, by jeszcze raz wszystko dokładnie sprawdzić. Zadzwoiłem do Kijowa: wyglądało, że wszystko jest w porządku. Pan Stanisław przyjechał razem z przedstawicielami Konsulatu Generalnego RP, z polską i ukraińską telewizją. Oczyszczili pomnik, nakręcili film. Ale z jakiegoś powodu program nie pokazano w telewizji. Zadzwoiłem do Konsulatu z pytaniem o przyczyny. Okazuje się, wprowadziłem wszystkich w błąd. Matka Paderewskiego miała na imię Poliksena z Nowickich. A na pomniku napisano: „Jan i Anna z Tańkowskich Paderewscy”. Masz babo placek!

Anna? – denerwuję się. – a gdzie jest Poliksena? Czyżby odnaleziony grób nie był grobem ojca I. Paderewskiego, a kogoś o tym samym nazwisku?

Znowu gmerałem w księgach. Moją ostatnią nadzieją był list od profesora Jerzego Jasińskiego z Warszawy, który udzielał mi konsultacji w czasie moich poszukiwaniach. Przeczytałem w nim :

„Matka Ignacego – Poliksena z Nowickich – zmarła wkrótce po urodzeniu syna. Po 6 latach ojciec ożenił się po raz drugi z Anną Tańkowską.”

Tego dnia pośpiesznie zatelefonowałem do pana Stanisława. Nakręcony film o odnalezieniu grobu ojca Ignacego Paderewskiego w Żytomierzu natychmiast został wyemitowany, pojawiły się materiały w prasie. „Gratuluję!” – serdecznie pozdrowił mnie mój Nauczyciel. „Udało ci się znaleźć interesujące informacje o tym cmentarzu”. „To nie cmentarz” – zaprzeczam. „To prawdziwe archiwum pod gołym niebem”. „Teraz twoim obowiązkiem jest zrobić wszystko, aby te materiały nie zginęły, nie zmarnowały się” – poucza pan Szałacki.

Pan Szałacki gorąco poparł moją inicjatywę, by przy Oddziale ZPU stworzyć galerię portretów wybitnych Polaków Żytomierszczyzny. Żytomierscy malarze Konstanty Kamyszyński, Wiktor Szkuryski, Franciszek Osowski ochoczo zabrali się do pracy. Niełatwo było odnaleźć portrety Gustawa Olizara, Tymosza Padurra, Eweliny Hańskiej, Juliusza Zarębskiego, księdza Andrzeja Fedukowicza...

Wspominać Stanisława Szałackiego można bez końca. Przy tym wspominać z wielką wdzięcznością. W Związku Polaków Ukrainy pracuję na zasadach społecznych. I aby choć trochę polepszyć moją sytuację materialną, pan Stanisław znalazł mi pracę w redakcji gazety „Dziennik Kijowski”. W ten sposób stałem się korespondentem z obwodu żytomierskiego. „Będziesz wysyłać jeden-dwa artykuły do gazety co miesiąc. O informację się nie martw – masz je co dzień.”

Kiedy w czasie wyjazdu do polskiej wsi Susły niedaleko Nowogrodu-Wołyńskiego udało mi się zebrać od starszych mieszkańców kilkanaście oryginalnych starych polskich pieśni, pan Szałacki poradził mi, bym przygotował całą stronę w „Dzienniku Kijowskim”. I wkrótce ukazała się taka strona pod tytułem „Za tym plugiem Jezus chodzi”.

Po zobaczeniu próby „Tańca ze świecami” w wykonaniu zespołu „Karoliski” (kierownicy artystyczni Włodzimierz i Irena Świtelscy), pan Stanisław zaproponował, by taniec ten poświęcić zamordowanym Polakom. Taniec naprawdę był wzruszający: zapalone świece w rękach młodych dziewcząt w białych szatach rzeczywiście przypominają dusze zabitych. Ten taniec poświęciliśmy ofiarom Katynia. Od tamtego czasu na wszystkich koncertach wywołuje on łzy w oczach widzów.

A ileż tego typu pomysłów pana Szałackiego zrealizowano w czasie festiwalu „Tęcza Polesia” w 1993, 1994, 1995 r.! I jesteśmy mu za to ogromnie wdzięczni.

Kiedy układałem plan swoich wspomnień i przygotowywałem listę dobrych spraw, w których uczestniczył p. Szałacki, to zapisałem 15 stron. A każdy wers to cała wielka, osobna historia. To szczególne wspomnienie. Ot, chociażby jak to, o kwitnącej lipie nad rzeką Unawą, pod którą



Walenty Grabowski (1937 – 2004) – poeta, tłumacz, znawca sztuki, dziennikarz. Od 1973 roku – członek Związku Pisarzy Ukrainy. Był prezesem Związku Polaków na Ukrainie w Żytomierzu – od początku założenia do swojej śmierci.

Polak z urodzenia, zrobił wiele dla odrodzenia i rozwoju kultury polskiej w Żytomierzu.

Maksym Ryłski tłumaczył „Pana Tadeusza” A. Mickiewicza. To pan Szałacki poprosił mnie, żebym zrobił zdjęcie tego drzewa, póki ono jeszcze szumi i żyje. Niestety, nie udało mi się zrobić tego zdjęcia i artykuł ukazał się bez fotografii.

A nasze wysiłki związane z odradzaniem polskiego szkolnictwa!.. W Żytomierzu była tylko jedna nauczycielka języka polskiego – pani Łagowska-Drogan. Teraz mamy w obwodzie ponad 50 osób uczących polskiego. A jeszcze kilkanaście jest na studiach w Polsce – młodych, energicznych ludzi z Żytomierszczyzny. Należy podkreślić, że p. Stanisława zawsze można było spotkać na dworcu w Kijowie w dniu wyjazdu absolwentów ukraińskich szkół, którzy dostali się na studia do Polski. Przychodził, żeby życzyć szerokiej drogi i sukcesów w nauce tak, jakby to były jego rodzone dzieci.

Wydaje się, że tak niewiele czasu minęło od chwili wyjazdów do Dowbysza, Nowogradu-Wołyńskiego, Kamiennego Brodu, Berdyczowa, których celem było zakładanie miejskich i rejonowych Oddziałów ZPU. I wszędzie do p. Stanisława garnęli się ludzie, którzy chcieli działać na rzecz odrodzenia kultury polskiej. Jakże troskliwie się nimi opiekował! Czy wówczas mógł ktoś przewidzieć, że w Berdyczowie dzięki staraniom miejscowych entuzjastów będzie ukazywać się polskojęzyczna gazeta „Mozaika Berdyczowska”?

Pan Stanisław bardzo kochał przyrodę ojczystego kraju. Jakże zachwycił się krajobrazami parku we wsi Terechowe, gdzie urodził się Joseph Conrad! Wiedząc, że jestem miłośnikiem malowniczych zakątków, kiedy tylko miał wolny czas, prosił, bym zaprowadził go na strome brzegi Teterewa do legendarnego głazu Czackiego obok tamy, ale najczęściej – na polski cmentarz położony na pagórkach porośniętych sosnami i dębami. W takich chwilach jego tak bardzo uroczysty nastrój udzielał się także i mi. Wówczas miałem wrażenie, że Stanisław Szałacki patrzy w przyszłość, widzi tam swój naród i jego godne miejsce w tej przyszłości. Wszak tylu dostojnych synów i córek tego narodu ofiarowało swoje serca na ołtarzu kochanej Ojczyzny. W ich gronie jest także Stanisław Szałacki. Na zawsze...

Walenty GRABOWSKI
Żytomierz



Stanisław Szałacki na I KONGRESIE POLAKÓW UKRAINY
13 maja 1990 r. Kijów

LICZEBNOŚĆ I ROZMIESZCZENIE LUDNOŚCI POLSKIEJ NA ZIEMI CZERNIHOWSKIEJ

Rozmieszczenie przestrzenne mniejszości polskich oraz diaspory polskiej i polonijnej na Ukrainie zasługuje na uwagę, nie tylko dlatego, że życie zbiorowości ludzkich jest zawsze ściśle związane z terytorium, ale także dlatego, że i Rosja carska, i władze ZSRR prowadziły wobec różnych części kontrolowanego przez siebie terytorium i mieszkających tam ludzi (grup i jednostek) odmienną politykę.

Próba precyzyjnego określenia liczby polskiej mniejszości narodowej na Ukrainie stanowi problem zarówno dla strony polskiej, badaczy przedmiotu, władz konsularnych czy samych organizacji polonijnych działających w kraju i za granicą. Jak zauważył Piotr Eberhardt, uzyskanie prawdziwych i rzetelnych danych, związane z liczbą Polaków na Ukrainie, nie jest możliwe, gdyż w zależności od tego, komu zostanie zadane to pytanie: czy ukraińskim urzędnikom, czy pracownikom polskich konsulatów – otrzymane odpowiedzi znacznie różnią się od siebie.

Według oficjalnych danych, opartych na ostatnim spisie powszechnym przeprowadzonym w 2001 roku, liczba Polaków na Ukrainie wynosi 144 tys. i wykazuje tendencję malejącą. W poprzednim spisie liczba Polaków wyniosła 165 tys. Polacy są siódmą co do wielkości grupą etniczną na Ukrainie. Po Ukraińcach, Rosjanach, Białorusinach, Żydach, Mołdawianach i Bułgarach. Polacy stanowią 0,3 procent populacji Ukrainy. 49 tys. naszych rodaków mieszka na Żytomierszczyźnie, 23 tys. w obwodzie chmielnickim, 19 tys. w lwowskim, 7 tys. – odeskim, 4 tys. na Tarnopolszczyźnie, 4 tys. na Krymie, a reszta rozsiada się na pozostałym terytorium Ukrainy. Tylko 13 % ze 144 tys. uznaje polski za język ojczysty. Pozostali podają ukraiński i rosyjski. Takie są oficjalne dane podawane przez władze ukraińskie.

Dane ostatniego spisu powszechnego na Ukrainie budziły u wielu znawców przedmiotu znaczne wątpliwości. Trudno założyć, by od przedostatniego spisu w 1989 roku, który wykazał, że na Ukrainie



Herb Guberni Czernihowskiej

żyje 219,0 tys. Polaków, zakładając nawet naturalne czy sterowane procesy asymilacyjne, migracyjne, niedostatek szkolnictwa itd., nastąpiły tak znaczące zmiany. Na większą liczbę ludności polskiej na ziemiach ukraińskich wskazują dane szacunkowe z 2007 roku „Wspólnoty Polskiej” (oparte na aktualnych szacunkach organizacji polonijnych, Ambasad RP, publikacji o tematyce emigracyjnej oraz narodowych spisów powszechnych). Według ich szacunków polska diaspora na Ukrainie liczy 900 000 osób. Skąd biorą się takie rozbieżności pomiędzy danymi oficjalnymi a szacunkowymi polskich organizacji? Powodów jest z pewnością wiele. Przedstawiciele polskich organizacji na Ukrainie uważali m.in., że spis ludności został dokonany mało starannie, w oparciu o dość nieprecyzyjne kryteria. Do zanizonej liczby Polaków na Ukrainie przyczyniły się obawy respondentów przed egzystencją w przyszłości, a także różne, często



Główna mapa Guberni Czernihowskiej z 1821 roku

ostrożne podejście ludzi starszego pokolenia, którzy nie chcieli mieć kłopotów z powodu przynależności do narodowości polskiej.

Henryk Stroński zwraca również uwagę, że „kwestia wyboru narodowości w niepodległej Ukrainie, w tym i dla Polaków, stała się tym bardziej skomplikowana, że nowy paszport jej nie uwzględnił. Z tego powodu zasadniczym czynnikiem stała się samoidentyfikacja narodowa każdego obywatela oddzielnie. Dla narodowego odrodzenia Polaków na Ukrainie, ich repolonizacji ważne są zarówno czynniki wewnętrzne, jak i zewnętrzne”.

Rzetelne ustalenie liczebności mniejszości narodowych, a także zbiorowości powstałych w wyniku

procesów emigracyjno-osadniczych (dobrowolnych i wymuszonych) nigdy z wielu przyczyn nie było łatwe. Przyczyn tych jest wiele. H. Kubiak zgodnie z Henrykiem Zielińskim, który interpretował skład narodowościowy społeczeństwa II Rzeczypospolitej, stwierdza, że: „zarówno w Polsce, jak i w innych krajach statystyki narodowościowe były najbardziej manipulowanymi w interesie narodów panujących, a tym samym najmniej wiarygodnymi”. Uczestnicy spisu powinni mieć rozbudowaną świadomość własnej tożsamości (w tym narodowej) oraz nie lękać się politycznych skutków deklaracji składanej komisarzowi spisowemu. O tym, że taki lęk występował wśród Polaków w carskiej Rosji i później w



Mapa i herb obwodu czernihowskiego

ZSRR, nie trzeba nikogo przekonywać. Kolejny problem wiarygodności spisów stanowią małżeństwa mieszane i ich dzieci oraz skutki migracji przestrzennych.

Liczne prace etnograficzne czy demograficzne poświęcone ludności polskiej na Ukrainie wskazywały, że po upadku komunizmu, rozpadzie ZSRR oraz powstaniu suwerennej Ukrainy nastąpiło odrodzenie polskości wśród Polaków na Ukrainie. Pojawiły się polskie organizacje. Znamiennym wydarzeniem był pierwszy walny Kongres Polaków Ukrainy. W wielu miejscowościach rozpoczęła się aktywna działalność lokalnych społeczności mająca na celu obronę interesów mniejszości polskiej. Podjęto starania o rewindykację zabranych w przeszłości kościołów rzymskokatolickich. Nastąpił renesans życia religijnego. Wszystko to wskazywało pośrednio, że nastąpi również i statystyczne zwiększenie liczby ludności polskiej. Tak jednak się nie stało. Zjawisko to wymaga odpowiednich analiz naukowych z zakresu: demografii, etnografii i socjologii. Nie można zapominać, że w latach 90. XX w. suwerenna już Ukraina przeżywała poważne trudności ekonomiczne. Przyniosły one destabilizację społeczną, która mogła również oddziaływać dezintegrująco na rozproszoną i ekonomicznie biedną ludność polską. Należy zwrócić ponadto uwagę na jeszcze jeden istotny aspekt mogący mieć wpływ na deklarację narodową osób pochodzenia

polskiego. Ostoją polskości na ziemi ukraińskiej był zawsze Kościół rzymskokatolicki. Wyznanie rzymskokatolickie było identyfikowane z polskością. Tradycyjnie językiem sakralnym Kościoła rzymskokatolickiego był język polski. W ciągu ostatnich kilkunastu lat rozpoczęły się intensywne procesy ukraiinizacji Kościoła rzymskokatolickiego. Musiało to również odgrywać niebagatelną rolę w życiu wiernych.

Nie mniej trudności stwarza próba precyzyjnego ujęcia liczby ludności polskiego pochodzenia w obwodzie czernihowskim. Dla pełnego obrazu współczesnej polskiej diaspory Ziemi Czernihowskiej uważam za istotne przybliżenie składu i liczby Polaków zamieszkujących te ziemie w przeciągu minionych stuleci.

W czasach istnienia Imperium Rosyjskiego w granicach Guberni Czernihowskiej według danych I ogólnego rosyjskiego spisu ludności w 1897 r. mieszkały 3302 osoby polskiej narodowości, które stanowiły 0,15% wszystkich mieszkańców tego obszaru. Zgodnie z danymi wspomnianego spisu polska diaspora Czernihowszczyzny miała unikalny socjalny skład w porównaniu z innymi guberniami. Najliczniejszą warstwą była szlachta, która liczyła 1500 osób, co stanowiło 45,42% wszystkich Polaków, z czego dziedzicznymi było 1097 osób, a niedziedzicznymi 403 osoby. Odpowiednio 540 i 195 z nich mieszkało w miastach guberni, stanowiąc tym samym 56,7% polskich mieszkańców miast

(wszystkich 1297 osób). Drugą pod względem liczebności grupą Polaków guberni byli mieszczenie – 850 osób, którzy stanowili 25,74% polskiej wspólnoty tego obszaru. Charakterystyczną cechą polskich mieszczan tej guberni był fakt, że większość z nich mieszkała na wsiach, przy czym nie zajmowali się oni prowadzeniem gospodarstw rolnych. Trzecią grupę Polaków pod względem liczebności stanowili włościanie – 773 osoby, co stanowiło 23,41% ludności polskiej. Włościanie zajmowali się rzemiosłem (36 krawców), prywatną działalnością (214 osób zajmowało się usługami i najemnictwem), 127 osób pracowało w przemyśle, 27 osób pracowało w telegrafii i 198 osób na kolei. Prawie wszyscy zatrudnieni byli w powiatach. Interesujący jest fakt, że tylko 64 osoby, co stanowiło 1,94% całej polskiej ludności guberni, utrzymywały się z prowadzenia gospodarstw rolnych.

Większość Polaków mieszkających w miastach zajmowała stanowiska wykwalifikowanych specjalistów zarówno w instytucjach prywatnych, jak i państwowych oraz społecznych, np. wśród urzędników administracji guberni, w sądach i policji pracowało 105 Polaków (3,18% wszystkich Polaków guberni).

Zgodnie z opinią Walentyny Najdus na dzień 01.01.1915 r. liczba Polaków w Guberni Czernihowskiej wynosiła 3150 osób, tzn., że ich liczba zmniejszyła się o 152 osoby.

W okresie I wojny światowej liczba Polaków w granicach guberni znacznie wzrosła; do zwiększenia tej liczby przyczynili się uchodźcy m.in. z Królestwa Polskiego. Zgodnie z danymi Polskiego Komitetu w trzecim kwartale 1917 r. było 24 734 polskich emigrantów. Etniczna polityka władzy bolszewickiej, wymierzona przeciwko narodowi polskiemu sprawiła, że zgodnie z danymi spisu ludności z 1920 roku w Czernihowskiej Guberni było tylko 2201 osób polskiej narodowości.

Narodowościowa polityka caratu a następnie bolszewicka wobec Polaków miały na celu wykazanie mniejszej liczby Polaków na Ukrainie, tak, by stanowili oni znikomy odsetek.

Obecnie w okręgu czernihowskim działają trzy organizacje zrzeszające obywateli ukraińskich polskiego pochodzenia. Są to: Kulturalno-Oświatowe Stowarzyszenie Polaków „Aster” miasta Niżyna, Kulturalno-Oświatowy Związek Polaków w Prylukach i „Polska Przystań” w Czernihowie.

W celu określenia liczby osób deklarujących polską tożsamość narodową, zwróciłam się do

prezesów tychże organizacji z prośbą o udzielenie odpowiedzi na pytania zawarte w ankiecie. W marcu i kwietniu 2012 r. uzyskałam odpowiedzi. Na pytanie: Ilu członków zrzesza organizacja? – Prezes Kulturalno-Oświatowego Stowarzyszenia Polaków „Aster” Feliksa Bielińska odpowiedziała – 50 członków, Prezes Kulturalno-Oświatowego Związku Polaków w Prylukach Neonilla Batiszczewa – 73 członków, Prezes „Polskiej Przystani” w Czernihowie Helena Frankowa podała, że do organizacji należy – 86 osób. Dodając wszystkich członków przynależących do polskich organizacji w obwodzie czernihowskim uzyskałam łącznie 209 osób.

Na terenie obwodu czernihowskiego mieszka ludność polskiego pochodzenia niezrzeszona w polonijnych organizacjach. Zgodnie z opinią H. Kubiaka za ludność pochodzenia polskiego należy uznać taką, która w drugim, trzecim czy czwartym pokoleniu wywodzi się z polskich rodzin (wyłącznie polskich, a także mieszanych), która nie tylko utraciła znajomość języka polskiego, lecz też w znacznym stopniu poczuła narodowe.

Chcąc ustalić szacunkową liczbę ludności polskiej nie będącej członkami wspomnianych stowarzyszeń, zwróciłam się z pytaniem do prezesów: Czy na terenie działania organizacji mieszka ludność polskiego pochodzenia niezrzeszona w organizacji? Proszę podać szacowaną liczbę według Pana/Pani?

Na to pytanie każda z pań Prezes organizacji odpowiedziała twierdząco. I tak, według lidera Stowarzyszenia Polaków „Aster” na terenie miasta Niżyna jest około 120 osób niezrzeszonych mających polskie pochodzenie. Prezes Związku Polaków w Prylukach oszacowała ich liczbę na około 250 osób. Prezes Stowarzyszenia „Polska Przystań” w Czernihowie nie określiła liczby. Po zsumowaniu danych z Niżyna i Pryluk otrzymałam liczbę 360 osób, które mają polskie pochodzenie. Można przypuszczać, że na obszarze obwodowego miasta Czernihów żyje z pewnością nie mniej niż 120 osób mających polskie pochodzenie, ale niezrzeszonych w organizacji polonijnej. Do takich wniosków doszłam porównując liczby z Niżyna – 120 osób i z Pryluk – 250 osób. Należy pamiętać, że są to tylko liczby szacunkowe, ale też o tym, że Prezeski wspomnianych organizacji prowadzą swoje stowarzyszenia od ponad 20 lat i znają bardzo dobrze środowisko lokalne. Dodając do 360 osób nie będących członkami polskich organizacji w

Niżynie i Prylukach 120 osób z Czernihowa otrzymamy liczbę 480 osób niezrzeszonych. Dodając członków zrzeszonych we wszystkich polskich organizacjach na ziemi czernihowskiej do przypuszczalnej liczby osób niezrzeszonych w tychże stowarzyszeniach otrzymujemy łącznie 689 osób.

Z kolei spis powszechny z 2001 roku wykazał, że w narodowym składzie populacji obwodu czernihowskiego Polacy zajmują ósme miejsce po Ukraińcach, Rosjanach, Białorusinach, Żydach, Ormianach, Cyganach, Mołdawianach i stanowią 0,04% ogółu ludności. Według danych spisu, polską narodowość w obwodzie podało 528 osób. Różnica pomiędzy danymi spisu, a zrzeszonymi i niezrzeszonymi osobami w organizacjach polonijnych według moich ustaleń wynosi 161 osób.

Należy jednak pamiętać, że dane podane przez prezesów organizacji są hipotetyczne, że osoby nie będące w stowarzyszeniach mające polskie pochodzenie, nie muszą czuć się Polakami i nie musiały lub nie chciały deklarować w czasie spisu swojej tożsamości z narodem polskim. Na podstawie moich doświadczeń z czteroletniego pobytu w Niżynie w latach 2008 – 2012, mogę stwierdzić, że szacunkowe dane dotyczące liczby Polaków niezrzeszonych w organizacjach polonijnych są wiarygodne. Często w rozmowach z mieszkańcami Niżyna uzyskiwałam informację, że mają oni polskie pochodzenie, np. że dziadek czy babka byli Polakami, ale moi rozmówcy nie czuli się Polakami. Sądzę, że liczba Polaków w obwodzie czernihowskim jest wyższa niż wykazał to spis powszechny



Czernihów. Plac targowy przed Piatnycką Cerkwią (fot. arch.)



Czernihów. Sąd okręgowy (fot. arch.)

z 2001 roku. Wskazywać na to może liczba osób zainteresowanych nauką języka polskiego i poszukujących swoich polskich korzeni.

Interesujące jest również zestawienie danych z I ogólnego rosyjskiego spisu ludności z 1897 r., który wykazał, że w guberni czernihowskiej mieszkały 3302 osoby polskiej narodowości z oficjalnymi danymi spisu z 2001 r. oraz danymi uzyskanymi z moich badań. Po 115 latach liczba Polaków zmniejszyła się o 2774 według oficjalnych danych i o 2613 według moich badań.

Na przestrzeni wieków liczba obywateli podających narodowość polską jako własną na Ziemi Czernihowskiej ulegała zmianie. Bezspornie wpływ na wielkość polskiej diaspory miały wydarzenia historyczne, ekonomiczne i społeczne. Należy również zaznaczyć, że granice obecnego obwodu czernihowskiego nie pokrywają się z granicami Guberni Czernihowskiej. Powierzchnia guberni wynosiła – 52 396 km, zaś obszar obwodu czernihowskiego wynosi – 31 865 km.

Barbara JANUSZKIEWICZ
Doktorantka UR

Literatura wykorzystana:

1. Kubiak H., „Polacy i Polonia w ZSRR: kwestie terminologiczne, periodyzacja, rozmieszczenie przestrzenne, szacunki ilościowe” [w:] „Mniejszości polskie i Polonia w ZSRR”, pod red. H. Kubiaka, T. Paleczego, J. Rokickiego, M. Wawrykiewicza, Zakład Narodowy Ossolińskich, Kraków 1992, s. 22, 27, 33.

2. Stroński H., „Problemy narodowego odrodzenia Polaków na Ukrainie” [w:] „Między Polską a Ukrainą: pogranicze – mniejszości współpraca regionalna”, pod red. M. Malikowskiego, D. Wojakowskiego, wyd. „Mana”, Rzeszów 1999, s. 96.

3. Zwaricz W., „Mniejszość polska wśród narodowości współczesnej Ukrainy” [w:] „Mniejszość polska na Ukrainie. Mniejszość ukraińska w Polsce po 1989 roku”, red. A. Kasińska-Metryka, M. Gołoś, WSSMiKS, Chełm 2009, s. 106-109

4. <http://liveweb.archive.org/web/20130109161152/http://archiwum.wspolnotapolska.org.pl/?id=pwko00> (dostęp: 05.04.2013 r.).

5. Потапенко М., „Поляки Чернігівщини у I чверті XX століття: на злімі трьох епох” [w:] „Поляки в Ніжині”, Випуск 2, Ніжин 2004, s. 34-35, 38.

6. http://uk.wikipedia.org/wiki/Населення_Чернігівської_області (dostęp: 12.03.2013 r.).

7. http://ecity.cn.ua/about_city/151-generalnaya-karta-chernigovskoy-gubernii-1821-g.html (wejście: 09.09.2013 r.).

8. http://pl.wikipedia.org/wiki/Gubernia_czernihowska (wejście: 29.10.2013 r.).

9. http://pl.wikipedia.org/wiki/Obw%C3%B3d_czernihowski (wejście: 29.10.2013 r.).

10. http://wspolnotapolska.org.pl/polonia_w_opracowaniach/20.html

Literatura uzupełniająca:

1. Bonusiak A., „Polacy w niepodległej Ukrainie. Analiza strukturalno-funkcjonalna”, Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2013.

Madera A. J., „Na bocznych drogach Europy. Polacy na Ukrainie”, Rzeszów 1994.

2. „Mniejszości narodowe w Europie Środkowo-Wschodniej po upadku komunizmu”, red. B. Halczak, Zielona Góra 2006.
3. „Życie społeczne Polaków na Wschodzie. Wybrane zagadnienia”, pod red. A. Bobryk, Siedlce 2007. ■

INFORMACJA O KONFERENCJI

«EKSPORT – PRZYSZŁE KIERUNKI ROZWOJU»

W dniu 7 kwietnia 2014 roku w Sali Konferencyjnej Lubelskiego Rynku Hurtowego S.A. w Elizówce odbyła się II Konferencja pt. „Eksport – przyszłe kierunki rozwoju”, której organizatorami byli: Lubelski Rynek Hurtowy S.A., Stowarzyszenie Eksporterów Polskich oraz Wyższa Szkoła Ekonomii i Innowacji w Lublinie.

Konferencja odbyła się pod Honorowym Patronatem Ministra Skarbu Włodzimierza Karpińskiego i Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi Marka Sawickiego.

W Konferencji wzięło udział około 200 uczestników, w tym przedstawiciele parlamentu, ambasad, władz wojewódzkich i samorządowych oraz środowisk naukowych, biznesowych i mediów.

Konferencję otworzył dr Ryszard Nowak – Prezes Zarządu Lubelskiego Rynku Hurtowego S.A. w Elizówce, który w swoim wystąpieniu przedstawił działalność zarządzanej przez siebie Spółki w kontekście kierunków i możliwości jej dalszego rozwoju, w oparciu o kluczowe zagadnienie, jakie ma znaczenie dla firmy handel zagraniczny. Podkreślił on, że handel zagraniczny jest złożoną dziedziną i na wypracowanie korzyści w tym zakresie potrzeba czasu. Za przykład podał powołanie w 2009 roku Centrum Handlu Zagranicznego w ramach Lubelskiego Rynku Hurtowego S.A., które potrzebowało 3 lat na osiągnięcie wysokich wyników w eksporcie, tj.: wzrostu przychodów w Spółce o 42% w 2013 roku w stosunku do 2012 roku oraz osiągnięcie 30% udziału eksportu w przychodach firmy w 2013 r. Uzyskanie tych korzyści dla Lubelskiego Rynku Hurtowego S.A. było możliwe dzięki ekspansji handlowej na rynki zagraniczne. Stwierdził on także, że działania Lubelskiego Rynku Hurtowego S.A. na rynkach zagranicznych nie byłyby możliwe bez wsparcia i pomocy ze strony Wydziałów Promocji Handlu i Inwestycji Ambasad i Konsulatów RP. W związku z tym celowe będzie zwiększanie pracowników WPHiI oraz tworzenie nowych placówek w krajach, gdzie pojawiły się możliwości eksportu dla polskich firm. Obecnie działa 48 WPHiI w 43 krajach na całym świecie.

Podczas otwarcia Konferencji dr Ryszard Nowak poruszył kwestię trudnej sytuacji w obsłudze wschodnich przejść granicznych, utrudniającej działania eksportowe. Podkreślił, że obecna sytuacja na przejściach granicznych



w jednoznaczny sposób nie sprzyja polskim eksporterom, a wręcz hamuje ich działania. Ma to także bezpośrednie przełożenie na relacje ze wschodnimi sąsiadami, które, jego zdaniem, powinny układać się prawidłowo.

Dr Ryszard Nowak zaakcentował zwłaszcza rolę Stowarzyszenia Eksporterów Polskich we wspieraniu firm prowadzących działalność eksportową. Lubelski Rynek Hurtowy S.A.,

jako członek Stowarzyszenia Eksporterów Polskich, od października 2013 roku przekazuje cenne informacje, opracowywane przez Stowarzyszenie, ponad dwóm tysiącom odbiorców, jakimi są: instytucje, eksporterzy i administracja samorządowa.

Dr Ryszard Nowak w swojej wypowiedzi podkreślił potrzebę dobrze przygotowanej kadry pracowników, którzy profesjonalnie zapewniają prowadzenie spraw eksportu. Zwrócił się więc z apelem do rektorów wyższych uczelni, aby rozważyli potrzebę tworzenia wydziałów lub kierunków w zakresie handlu zagranicznego, co wynika z aktualnych potrzeb pracodawców. Zaznaczył on także, że obecnie trudno jest znaleźć dobrze przygotowanych merytorycznie pracowników w zakresie handlu zagranicznego.

W czasie Konferencji kolejno zabrali głos: Marian Borka – Zastępca Dyrektora Departamentu Rynków Rolnych, który przekazał m.in. gratulacje i życzenia w imieniu Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi; J.E. Tomasz Chłoń – Ambasador RP w Bratysławie poinformował o działalności na rzecz rozwoju eksportu polskiego na Słowację; Michał Kamiński – Poseł do Parlamentu Europejskiego, przedstawił rolę i znaczenie Unii Europejskiej na rzecz eksportu i rozwoju gospodarki polskiej; Genowefa Tokarska i Mariusz Grad – Posłowie na Sejm RP podkreślili rolę parlamentu polskiego w zakresie tworzenia regulacji prawnych dla poprawy warunków działania podmiotów gospodarczych; Krzysztof Hetman – Marszałek Województwa Lubelskiego przekazał firmom regionu lubelskiego podziękowania, gratulacje i życzenia oraz przedstawił działania Urzędu Marszałkowskiego na rzecz wzrostu eksportu i rozwoju gospodarki; Marian Starownik – Wicewojewoda Lubelski podziękował eksporterom lubelskim za owocną działalność i życzył osiągania pomyślnych wyników na rynkach zagranicznych; Jacek

Sobczak – Członek Zarządu Województwa Lubelskiego podziękował i złożył życzenia zakładom pracy w osiąganiu dobrych wyników eksportowych i gospodarczych; Mieczysław Twaróg – Prezes Zarządu Stowarzyszenia Eksporterów Polskich podziękował eksporterom regionu lubelskiego za osiągnięcie wysokich wyników w ostatnich 25. latach oraz dr Ryszardowi Nowakowi Prezesowi Zarządu Lubelskiego Rynku Hurtowego i Dziekanowi Lubelskiego Korpusu Eksporterów za bardzo duży wkład w zorganizowanie II Konferencji pt. *„Eksport – przyszłe kierunki rozwoju”* i w dowód uznania wręczył mu Dyplom „Zasłużony dla Eksportu Polskiego”, a Krzysztofowi Hetmanowi Marszałkowi Województwa Lubelskiego — List Gratulacyjny za wielki wkład w promowanie rozwoju eksportu w regionie lubelskim.

M. Twaróg z satysfakcją podkreślił, że eksport polski od 25 lat rośnie z roku na rok i osiągnął w ubr. dynamikę 6,5% i wartość blisko 153 mld EURO, w tym eksport żywności za prawie 20 mld EURO. Podkreślił on, że strategicznym celem działania Stowarzyszenia Eksporterów Polskich jest dążenie do wzrostu eksportu i osiągnięcie w roku 2020 wielkości ponad 220 mld EURO, w tym eksportu rolno-spożywczego około 40 mld EURO. Podkreślił także, że dla polskiego eksportu motorem wzrostu są i będą rynki rozwijające się, zaś głównymi partnerami rynki unijne, perspektywiczne i wschodnie. Szanse i możliwości rozwoju eksportu są i będą wspierane przez fundusze unijne. Polska na lata 2014-2020 otrzyma razem 114,5 mld EURO. Fundusze te muszą być odpowiednio zainwestowane w branżę proinnowacyjne, proeksportowe i proekologiczne.

Prof. dr hab. Andrzej Cwynar – Dziekan Wydziału Ekonomii, Wyższej Szkoły Ekonomii i Innowacji w Lublinie przedstawił działalność dydaktyczną i naukowo-badawczą w zakresie przedsiębiorczości i innowacyjności.

W części dotyczącej działalności promocyjnej Wydziałów Promocji Handlu i Inwestycji Ambasad i Konsulatów RP na rzecz rozwoju eksportu głos zabrali:

- Pan Michał Szymczuk – Sekretarz WPHiI Ambasady RP w Moskwie;
- Pan Henryk Szymański – Radca – Minister, Kierownik WPHiI Ambasady RP w Wilnie;
- Pani Eliza Klonowska-Siwak – Radca WPHiI Ambasady RP w Tokio;
- Pan Aleksander Milota – I Radca WPHiI Konsulatu Generalnego w Kaliningradzie.

W trakcie Konferencji głos zabrał prof. dr hab. Andrzej Kowalski – Dyrektor Instytutu Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej, który przedstawił perspektywę rozwoju sektora owocowo-warzywnego odniesieniu do eksportu oraz prof. dr hab. Eberhard Makosz – Przewodniczący Towarzystwa Rozwoju Sadów Karłowych, który omówił wpływ eksportu na rozwój produkcji owoców.

II Konferencja była okazją do debaty nad zagadnieniami rozwiązań systemowych ukierunkowanych na wzrost eksportu i rozwój gospodarki. Zwrócono uwagę na strategię zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw, a zwłaszcza możliwości otwierania nowych rynków zagranicznych i działania eksporterów na rynkach światowych.

II Konferencja była również forum poświęconemu relacjom handlowym i kierunkom rozwoju eksportu m.in. na perspektywicznych rynkach zagranicznych tj. Brazylii, Kanady, Meksyku, Algierii, Kazachstanu, Turcji i Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

*Opracowanie: Lubelski Rynek Hurtowy S.A.
w Elizówce k/Lublina
Stowarzyszenie Eksporterów Polskich*



*Pieśń polska, tyś jak rosa,
Co na spieklą duszę spada!
[...]
Szczęsny, ponad czyją głowę
Skrzydło swoje tyś rozpięła,
Gdy mu z piersi rzucisz słowo:
„Jeszcze Polska nie zginęła!”*

Władysław Bełza



U źródeł hymniki polskiej (I)

OD „BOGURODZICY” DO „MODLITWY ZA RZECZ POSPOLITĄ NASZĄ I ZA KRÓŁA”

1. Prastara tradycja śpiewu zbiorowego wywodzi się z przeszłości tak odległej, że niezmiennie trudnej do pełnego i przekonującego odtworzenia.

Świat kultury przedpiśmiennej jest bardziej tajemniczy i niedostępny niż pokłady papirusów, kodeksów rękopiśmiennych, sylw, inkunabułów i starych druków. „Wieść gminna” jako jedyny przekazywany z ust do ust dokument owej odległej przeszłości nie poddaje się racjonalnemu badaniu historycznemu. Intuicja wypełnia więc z konieczności niedostatki faktografii. Domysły stają się naukowo uprawnione. Dosłowność bywa zastępowana przez prawdopodobieństwo.

Śpiewać – znaczyło wtedy uczyć się, gimnastykować pamięć. Pieśniarstwo miało tę wyższość nad mową czy gestem, że dysponowało atutami rymu i rytmu, zawierało elementy mnemotechniki. Pieśń była dzięki temu – po rysunkach naskalnych, po rzeźbionych „babach” kamiennych bądź słupach-totemach kultowych – najżywotniejszą formą przekazu. Mogła też pełnić odpowiednio zróżnicowane funkcje społeczne.

Pewne wyobrażenie o tym odległym etapie cywilizacji daje przykład kultury szczepów afrykańskich czy południowoamerykańskich, jeszcze dziś żyjących w zupełnym odizolowaniu od świata. Prymitywna ich mowa jest w tańcu wojennym lub obrzędowym wspierana „mową ciała”, sztuką gestu czytelną tylko dla pobratymców. Jeszcze bardziej hermetyczne będą słowa i gesty zawodowego czarownika, któremu poezja „zaklęć, zamawiań i uroków” umożliwia, jak byśmy powiedzieli językiem dzisiejszym, wykonywanie pracy.

Poezja w owej najwcześniejszej fazie pełniła więc niewątpliwie funkcje użytkowe. Uzdrawiała chorych, odstręczała demony.

W tańcu wojennym wyrażała wolę walki z nieprzyjaciółmi. W tańcu obrzędowym poświęcała uwagę miłości i śmierci. Łączność z gestem, owa specyficzna cecha pierwotna „poezji śpiewanej”, utrzyma się jeszcze przez długie wieki. Doskonalenie mowy, również „mowy śpiewanej”, ograniczy później udział gestów, wyręczając je modulacją głosu, grą akcentów zdaniowych, zastosowaniem reguł deklamatoryki.

Użytkowy charakter najstarszej poezji wiąże się też z rytuałem, to znaczy zastosowaniem określonych strof czy śpiewów w powtarzalnych, stale tych samych sytuacjach. Ozdrowiająca moc słów wyspecjalizowała je. Demon reagował zawsze na to samo zaklęcie. Ceremoniał narodzin, swadźby (wesela) i pogrzebu miał sobie właściwą oprawę poetycką.

Wojna uruchamiała śpiew wojowników, którego zasadniczą właściwością było odpowiednie nastawienie psychiczne żołnierzy do czekającej ich walki. Oto najstarsza, fundamentalna funkcja pieśni żołnierskiej: pobudka. Człowiek reagował na bitwę zmysłem wzroku i słuchu. Kolorystyka walki nie miała sobie równych. Muzyczny obraz wydarzeń przełamywał barierę dźwięku, pokonywał wszystko, co było dane człowiekowi przez naturę w śpiewie ptaków, głosach zwierząt, zjawiskach atmosferycznych.

Hałas średniowiecznego pola bitwy składał się z kakofonii dźwięków spotęgowanej w chwili zetknięcia rynsztunków – blach, kirysów, mieczy, lanc, grotów, nagolenników, rzędów końskich – do takiego huraganu,

że głos ludzki czy zwierzęcy ryk w tym zgietku ginął bez śladu.

„...Szczęk (mieczy) uderzających o hełmy rozbrzmiewał w wąwozach górskich i gąszczach leśnych, iskry ognia krzesane z żelaza błyskały w powietrzu, trzaskały włócznie, łamiąc się o tarcze, rozcinano piersi, a ręce i głowy, i porąbane ciała dygały po pola” –

wspomina Gall Anonim wyprawę Bolesławową 1103 r. na Morawy. Nie było zapewne przesady w tym opisie.

Lecz o ileż ciekawszy był hałas przedbitewny. Miał on swoją harmonię, powiedzielibyśmy wręcz – swoją muzykę. I nie polegał na zwykłych odgłosach bliskości nieprzyjaciela, na pokrzykiwaniu ciurów obozowych, parszaniu koni, trzasku chrustu pod stopami czy w płomieniach rozniecanych ognisk. Muzyka wymagała wszak instrumentów. Szanujące się armie zaczynały od trąb i puzonów. Później, pod koniec XV w., doszły do tego bębny-olbrzymy ze Wschodu. Była to swoista manifestacja siły przełożonej na monotonny język instrumentów dętych i perkusyjnych. Oddziaływano w ten sposób na psychikę nieprzyjaciela, hipnotyzowano go – jak powiada Johan Huizinga.

Głos ludzki był do tego dodatkiem szczególnym: lżono się i nawzajem obsypywano obelgami, aby wzmocnić ducha nienawiści.

2. Gdzie zatem wśród hałasów przedbitewnych znajdziemy miejsce dla pieśni? Gdzie szukać jej początków w zastosowania militarnym?

Już „Bogurodzica”, najstarsza pieśń Polaka, mimo swego religijnego charakteru pełniła funkcję pobudki rycerskiej. Śpiewano ją przed bitwą dla dodania walczącym rycerskiego animuszu, dla zahartowania ich ramion i dłoni wyposażonych w miecze, kopie, łuki, pawęże. Ona towarzyszyła zwycięskim chorągwiom na polach Grunwaldu.

Są dwa tego świadectwa rękopiśmienne. W anonimowej łacińskiej „Kronice konfliktu Władysława, króla polskiego, z Krzyżakami w Roku Pańskim 1410”:

„Gdy (Władysław) skończył, wszyscy zgodnie poczęli z płaczem śpiewać „Bogurodzica” i ruszyli do bitwy, wylawszy łzy, które sam król dobył z ich serc swymi słowami.”

W Jana Długosza „Rocznikach, czyli Kronikach sławnego Królestwa Polakiego”:

„Gdy wytrąbiono hasło bojowe, wszystko wojsko królewskie zabrzmiało głośno pieśnią ojczystą „Bogurodzicę”, a potem z podniesionymi kopiami pobiegło do bitwy.”

Czy Długosz, przekazując informację o zaintonowaniu przed bitwą grunwaldzką w szeregach rycerstwa polskiego i litewskiego „pieśni ojczystej” (*patrium carmen*) – miał świadomość wymowy politycznej tego manifestu?

Nie bez podstaw wojowie Jagiełły odśpiewali pieśń (przypisywaną dawniej św. Wojciechowi, krzewicielowi wiary wśród pruskich pogan), mając naprzeciw kawalerów

krzyżowych Marii Panny uzurpujących sobie prawo wyłącznego posłannictwa idei chrześcijańskiej w krajach pogańskich. Właśnie „Bogurodzica” i tylko „Bogurodzica” w ustach rycerstwa polskiego mogła ten monopol krzyżacki podać w wątpliwość. Demonstracyjne odśpiewanie pieśni maryjnej wytrącało bowiem z rąk Zakonu atut rzekomego ujmowania się w obronie wiary. Na ten aspekt sprawy nie zwracano dotąd uwagi. A tymczasem – przy zachowaniu hipotetycznego charakteru naszej lekcji – moglibyśmy wzmocnić ją jeszcze pytaniem retorycznymi: kto wie, czy o późniejszej randze „pieśni ojczystej”, jaką stała się „Bogurodzica”, nie zadecydował właśnie epizod grunwaldzki i jego podteksty polityczne?

Intonowanie „Bogurodzicy” uwniosło czyn zbrojny, nadawało mu znaczenie wyjątkowe. Pierwszy hymn polski – jak w sposób świadomie anachroniczny określali niekiedy „Bogurodzicę” potomni – z chwilą uzyskania pochlebnego świadectwa Jana Długosza wysunął się na czoło śpiewnika.

Nie przypadkiem dostąpiła tego zaszczytu pobudka rycerska zagrzewająca do walki i uświęcająca wysiłek zbrojny. Właśnie w sytuacji zagrożenia wolności wszelkie dostępne znamiona owej wspólnoty były szczególnie potrzebne.

HYMN (z greckiego *hýmnos* – *pieśń pochwalna*) – uroczysta i podniosła pieśń pochwalna o apostroficznym charakterze wypowiedzi, komponowana na cześć bóstwa, szczególnej osoby, wydarzenia, odczynu (kraju), a także idei. W kręgu kultury europejskiej hymny znane były w basenie Morza Śródziemnego już w starożytności. Na stałe weszły do kanonów kulturowych wraz z rozwojem chrześcijaństwa, który uczynił swoim ten rodzaj literacki wzorując się na hebrajskim Starym Testamencie i judeochrześcijańskim Nowym Testamencie.

W literaturze średniowiecznej miał charakter niemal wyłącznie religijny. Współcześnie utożsamiany z pieśnią patriotyczną.

Historia literatury zna hymny: państwowe, narodowe, wojskowe, religijne, koronacyjne, akademickie, a także szkolne. Niekiedy hymnem staje się utwór nie spełniający ścisłych wymogów formalnych; wystarczy, że określona społeczność nada mu taką funkcję.

Ma swoją odmianę liturgiczną śpiewaną w czasie nabożeństw. W szczególności rozbudowane są hymny protestanckie (pierwszy skomponowany przez Marcina Lutra). Ponadto w Anglii w okresie renesansu powstał anthem, czyli anglikański utwór chóralny.

Znanym polskim hymnem jest „*Hymn do miłości Ojczyzny*” stworzony przez Ignacego Krasickiego oraz Jana Kochanowskiego „*Czego chcesz od nas, Panie?*”.

BOGURODZICA

(tzw. przekaz „Aa”)

*Bogurodzica dziewica, Bogiem sławiena Maryja,
U twego syna Gospodzina matko zwolena, Maryja!
Zyszczy nam, spu(ś)ci nam.
Kyrieleison.*

*Twego dzieła Krzciciela, bożycze,
Usłysz głosy, napeln' myśli człowiecze,
Słysz modlitwę, jąż nosimy,
A dać raczy, jegoż prosimy:
A na świecie zbożny pobyt,
Po żywocie rajski przebyt.
Kyrieleison.*

Ale podczas gdy o bitwie grunwaldzkiej wiemy dziś wszystko lub prawie wszystko, o pieśni tej nie wiemy nic lub prawie nic. Nie wiemy, kto ją napisał. Nie znamy podstawowych faktów określających jej genezę. Uczeni są w rozterce, albowiem nie znajdując dla niej wśród pieśni łacińskich odpowiedniego pierwowzoru, nie wiedzą, czy cieszyć się z jej domniemanej oryginalności, czy też podejrzewać, że ten ewentualny pierwowzór jeszcze ciągle czeka na odkrywcę. Wątpliwe przesłanki geograficzne zawarte w formach językowych – że Maryję zwie autor „Bogurodzica”, że Jej Syna „Gospodzin”, że zamiast zwana pisze zwolena, zaś dla zastępuje konstrukcją dzieła – zawodzą, wróżąc na dwoje. Formy te mogą być przypisywane wpływom albo czeskim, albo ruskim. Czechizmy, gdyby je uznać, przemawiałyby za dłuższym żywotem pieśni – równieśniczką chrześcijaństwa w Polsce; natomiast rusycyzmy kazałyby widzieć jej mecenasa w osobie Władysława Jagiełły, zainteresowanego kulturą bizantyjską i układającego na nowych zasadach stosunki z Kościołem Wschodnim.

A zatem nie wiemy, jak było naprawdę. Ograniczwszy się do faktów, możemy jedynie zarejestrować istnienie najdawniejszego ze znanych, sporządzonego po 1407 r., zapisu rękopiśmiennego pieśni. Nie jest naszym zamiarem cytowanie hipotez, których w sprawie pochodzenia, znaczenia i ukształtowania językowego „Bogurodzicy” jest co najmniej kilkanaście. Profesor Julian Krzyżanowski, analizując je w swoim czasie, doszedł do wniosku, iż pieśń ta powstała „za czasów /Władysława/ Jagiełły, może w związku z jego koronacją /1386 /, i była napisana językiem dla nowego króla zrozumiałym...”

Jednocześnie mnożą się przykłady czynnego, jeśli można tak powiedzieć, udziału pieśni w zmaganiach Polaków z nieprzyjaciółmi. „Bogurodzicę” śpiewa rycerstwo pod Nakłem (1431) i Wiłkomierzem (1435), daje poznać jej podniosłe słowa i dostojną melodię wojskom księcia litewskiego Świdrygiełły (1435), jej

apostrofą rozpoczyna bitwę pod Warną (1444), a także tradycyjnie i regularnie poprzedza nią wszelkie spotkania zbrojne z Krzyżakami.

„Bogurodzica” potwierdza regułę. Wszystkie obce pieśni bojowe, jakie znamy z różnych źródeł niemieckich i czeskich – czy to będzie Sant Marei, Muoter unde mait ..., czy też Hospodine, pomilulny... – mają rodowód kościelny; a i krótkie hasło do bitwy, zastępujące początkowo (u nas jeszcze w r. 1249) pobudkę śpiewaną, wzięto z Introitu mszy katechumenów Kyrie eleison, co zniekształcone w wymowie wojowników, nie znających łaciny, brzmiało kierlesz.

3. Mimo że wszystkie zachowane teksty najstarszych pieśni bojowych, pobudek rycerskich, bo takie było ich właściwe zastosowanie, mają treść religijną, pewien dokument literacki i historyczny każe nam wierzyć w istnienie bliźniaczych pieśni-pobudek o tematyce świeckiej.

Anno Domini 1047 król Kazimierz Odnowiciel, pokonawszy Miecława, komesa Mazowszan, „*pospieszył bez wahania, by zająć drogę wojsku Pomorzan, które przybywało na pomoc Miecławowi*”. Co dzieje się później? Otóż w obliczu przeszło siedmiokrotnej – zdaniem kronikarza – przewagi liczebnej oddziałów nieprzyjacielskich, Kazimierz „*jako mąż wymowny a doświadczony*” w ten sposób zachęcał (po łacinie) swych rycerzy:

*„Oto dzień od dawna upragniony,
Oto kres trudów i walk ziszczony!
Pogromiwszy fałszywe chrześcijany,
Już bez trwogi uderzcie na poganym!
To nie liczba stanowi o zwycięstwie,
Lecz kogo Bóg swą łaską wesprze w męstwie,
Wspomnijcie więc dawniejszą waszą cnotę,
I walczcie, by nie walczyć nigdy potem!”*

„*To powiedziawszy – cytujemy komentarz Galla – z pomocą Bożą rozpoczął walkę i wielkie odniósł zwycięstwo.*”

Że odniósł zwycięstwo – to prawda; że wielkie – też prawda; że zachęcał swych rycerzy – prawda ani chybi. Lecz budzić musi wątpliwość przypisywane Kazimierzowi autorstwo owej „mowy wiązanej”, nie wspominawszy już o nienaturalnym i mało prawdopodobnym u progu bitwy języku łacińskim czy też o zastępującej śpiew, a nie spotykanej wówczas – deklamacji. Wiersz zamiast pieśni-pobudki?

Wiemy skądinąd, kto jest autorem przyozdabiających „Kronikę polską” wierszy: jej twórca, Gall Anonim. Mamy jednak prawo przypuszczać, iż nie są to zwykłe ozdoby poetyckie, ale utwory zastępujące we właściwych miejscach oryginalne pieśni gminne, pieśni, które w pojęciu Galla, kronikarza o ambicjach literata, mogłyby „sprofanować” łacińską czystość kroniki.

A zatem cytowana pobudka króla Kazimierza Odnowiciela, mimo że podstawił ją Gall, przemawia za występowaniem w tej roli utworów poetyckich – z pewnością pieśni – jeżeli niekoniecznie w 1047 r., to już,

rzecz jasna, nie później niż określa to nam data zamknięcia „Kroniki polskiej”, rok 1113.

Wszelako na potwierdzenie tej hipotezy, potwierdzenie w postaci śladu autentycznej pieśni-pobudki o treści świeckiej, wypadnie poczekać do roku bitwy grunwaldzkiej, a ściślej mówiąc, do słynnego epizodu z dwoma mieczami, posłanymi „*czasu swego od Niemców: jeden Jagiełłowi, drugi Witoltowi, na pomoc zwycięstwa, kiedy ono śpiewano:*

*Hej, Polanie, z Bogiem na nie,
Już nam Litwy nie dostanie!”*

„[...] *Legło w tej bitwie pięćdziesiąt tysięcy nieprzyjaciół* – podsumowywał zwycięstwo grunwaldzkie Długosz – *a czterdzieści tysięcy pojmano jeńcem. Chorągwi zabrano, jak mówią, pięćdziesiąt i jedną*”.

Szerzyli sławę zwycięzców posłowie królewscy, chwyтали za pióra kronikarze, stroili instrumenty wędrowni śpiewacy, zwani wówczas z łacińska wagantami, z francuska trubadurami, z niemiecka szpilmanami lub z angielska – minstrelami.

*Są też drudzy, co pięknie na luteńkach grają,
Drudzy też, co piosneczki nadobne śpiewają
Albo jakie wierszyki, albo jakie dzieje –*

powiada w „Wizerunku własnym człowieka pocziwego” (1558) Mikołaj Rej. Posłowie spełniali swe misje i wsiąkali w dworską służbę, kronikarze odkładali kodeksy, aby rysopis otaczającej rzeczywistości przeszedł do historii, zaś waganci – najczęściej żacy i zbiegli mnisi – zgodnie z zapotrzebowaniem społecznym wyśpiewywali proste rymy o bohaterach miecza i oręża, przedstawiali za pomocą gestów i mimiki, jak to:

*Witolt idzie po ulicy,
Za nim niesą dwie szablicy...*

4. To prawda, nie doczekał się żaden z naszych rycerzy takiego hołdu, jakiego niepowtarzalny przykład znajdujemy we francuskiej „Pieśni o Rolandzie”; i to prawda, że nie umielibyśmy wśród naszych władców wskazać odpowiednika króla Artura, ani spomiędzy drużyny królewskiej wyłonić swojskich „rycerzy okrągłego stołu”, jak również obca nam była technika poetycka francuskich *sirventów* czy arabskich *kasyd* (pierwsze składał trubadur na cześć swego możnowładcy, drugie opiewały rycerzy, konie, ryszturnek bojowy).

Wobec odmienności kultur feudalnych w Polsce i na Zachodzie tamtejsza poezja rycerska nie została do nas przeszczepiona. Mieliliśmy jednak własną epikę ludową. Użyty w tym zdaniu czas przeszły znamionuje nieodwracalność sytuacji: o najstarszej poezji epickiej można powiedzieć, że ją mieliśmy, ale jej nie mamy.

Zapiski rękopiśmienne odkryte w 1839 r. przez Kazimierza Władysława Wójcickiego potwierdzają, że „pieśń o bitwie pod Grunwaldem” – trudno powiedzieć o niej coś bliższego – żyła jeszcze w pierwszej połowie XVII w., ale nawet wówczas nie znalazł się nikt, kto by ją zapisał.

Wystarczy jednopokoleniowa przerwa w transmisji kultury mówionej i śpiewanej, by zaprzepaścić dorobek ojców. Cieszyć się trzeba choćby z zachowanych szczątków, które gromadzili m.in. Wiszniewski, Maciejowski, Nehring, Brückner, Łoś, Gloger, Windakiewicz. Po wielu pieśniach, prócz tytułów lub ogólnikowych informacji o ich istnieniu, nie ma już śladu, nie ma najdrobniejszego dwuwiersza.

Wyjątek stanowią jeszcze:

– rym o klęsce bukowińskiej (1497) „Za króla Olbrachta wygubiona szlachta”, przy czym równie dobrze może to być nie fragment dłuższego utworu, lecz zamknięta w sobie całość o charakterze przysłowia;

– początkowy fragment pieśni opiewającej zwycięstwo wojsk polskich pod Obertynem (1531) „Grozi Wołochom kometa, Już pojmano Golofietę”;

– ułamek pieśni portretowej na cześć Hieronima Zakliki, rycerza wsławionego obroną Podola przed Tatarami za panowania Zygmunta Starego „Pan Zaklika z Wojsławic, Gnał Tatarów od granic”;

– ślad po takiejże pieśni na cześć „muru krajów podolskich”, Bernarda Pretwica, bohatera tychże czasów, który stoczył siedemdziesiąt zwycięskich potyczek z Tatarami „Za czasów pana Pretwica, Spała od Tatar granica”;

– pochodzące z jakiejś pieśni westchnienie żalu (zanotowane przez Macieja Strykowskiego), że „Byli naszy Turkom groźni kiedyś, A cóż po tym, kiedy to już nie dziś”.

W pozostałych przypadkach musimy zadowolić się zestawem wydarzeń i osobistości uhonorowanych okolicznościowymi pieśniami, które wymarły wraz z pokoleniem wagantów, trubadurów i szpilmanów.

Tak więc w 1118 r. uczczono pieśnią rycerzy Bolesława Kędzierzawego poległych z rąk pogan pruskich. W 1205 r. rozbiecie wojsk księcia włodzimierskiego i halickiego pod Zawichostem, Romana, wywołało – jak powiada Długosz – „*rozmaitego rodzaju pieśni*”, które jeszcze za czasów kronikarza były „*wdzięcznie na widowiskach publicznych nucone*”. Rok 1444 przyniósł bitwę pod Warną i pieśń o Władysławie Warneńczyku; jej identyfikacja jest praktycznie niemożliwa, pomimo wydobycia z rękopisów w 1968 r. nieznanego dotychczas utworu „O śmierci Władysława, króla polskiego, dwaj tylko szlachta polscy powracający spod Warny opowiadają”.

Zaczyna się on od słów:

*Nieoptakanej nigdy uwierzy nowinie.
Gdy jednąż z panem swoim Polaka ginie.
Król Władysław, gdy spieszy Węgrom ku obronie,
Od których był niedawno posadzon na tronie...*

Czy mamy tu do czynienia z jednym i tym samym utworem, ongi śpiewanym przez wagantów, tego nawet nie wiemy, nie znając początkowych słów zaginionej pieśni.

Lata walk toczonych na Śląsku (1467 – 1478) przez Macieja Korwina pozostawiły jego portret w pieśni. Śpiewanych a zaginionych portretów dosłużyli się także znakomici rycerze Szczęsny i Jerzy Strusiowie. I jeszcze jedna data, jedna bitwa, powiększyła śpiewnik ówczesnych bardów: rok 1514, zwycięstwo hetmana litewskiego Konstantego Ostrońskiego pod Orszą, załamujące ostatecznie ofensywę Wasyla III i jego europejskich sojuszników.

O wszystkich wymienionych pieśniach wiemy jedynie, że istniały. Wiemy o nich dzięki zapobiegliwości autora „Roczników, czyli Kronik”, pierwszego historyka bitwy pod Grunwaldem, jak również dowiadujemy się o niektórych pieśniach z zapisków późniejszych uczonych i kronikarzy. Potwierdzili oni generalnie tradycję składania pieśni portretowych ku czci powracających z wojny bohaterów, czy też – jeśli rycerza spotkała śmierć i tony triumfalne byłyby nie na miejscu – żegnania jego zwłok pieśnią żałobną. Żadna z tych pieśni nie mogła rościć sobie pretensji do wyżyn dostojności „Bogurodzicy”, zarówno w sferze religijnej, jak i z tytułu jej zastosowania praktycznego. Były one jednak w śpiewniku narodowym jakimś niezbędnym punktem odniesienia, umożliwiającym „Bogurodzicy” jej wielkość i sławę.

Współczesnego badacza zastanawia rozbieżność między przekazem poetyckim a tradycją historyczną: najstarsza poezja bowiem rekomenduje nam bohaterów mało dziś znanych – Hieronima Zaklikę, Bernarda Pretwicę, Macieja Korwina, Szczęsnego i Jerzego Strusiów – natomiast nie znajdujemy wśród nich na przykład Zawiszy Czarnego, rycerza o sławie europejskiej, pielęgnowanej po kilku stuleciach przez „Śpiewy historyczne” Juliana Ursyna Niemcewicza i przez dramat Juliusza Słowackiego.

Poległy w 1428 r. na polu chwały, daleko od stron rodzinnych, Zawisza Czarny – otrzymał skromne, jednozdaniowe epitafium łacińskie, pióra kanonika krakowskiego Adama Świnki, umieszczone w kościele Franciszkanów:

*„Arma tua fulgent, sed non hic ossa quiescunt,
Divae memoriae miles, o Zawisza Niger!”*

(„Twój herb tylko tu błyszczy, ale nie tutaj twoje zwłoki, wielki bohaterze, Zawiszo Czarny!”)

5. Zygmunt Gloger w swych zainteresowaniach etnograficznych ponad inne formy wyczulony szczególnie na tę odmianę przekazu folklorystycznego, jaką stanowiła ulotna śpiewka ludowa, stworzył dla swoich potrzeb klasyfikacyjnych odrębną kategorię utworów, które nazwał pieśniami wojackimi.

Generalnie zakładając, iż są to pieśni śpiewane przez rycerstwo, w zbiorze tym wyróżnił Gloger dwie podgrupy: 1). „pieśni bojowe, których śpiew służył Polakom za hasło do walki”, oraz 2). „właściwe pieśni wojackie, zwykle wesole, śpiewane przez żołnierzy w obozie lub w pochodzie”.

I wszystko od tej chwili byłoby załatwione, gdyby istotnie podział dychotomiczny autora „Encyklopedii staropolskiej ilustrowanej” wyczerpał wszelkie możliwości. Ale tak przecież nie jest.

Postaramy się to udowodnić.

Bolesławowi Krzywoustemu poświęcił Gall swą kronikę, a był to utwór panegiryczny, zbliżony bardziej do średniowiecznej poezji epickiej (tzw. *chanson de geste*) niż spełniający warunki dokumentu historycznego. Tym niemniej nauczyliśmy się „Kronikę polską” czytać dwojako: weryfikując dla potrzeb historii fakty tam odnotowane – i domyślając się innych faktów na zasadzie interpretacji sformułowanego stanowiska autorskiego.

Tak rzecz się ma pod wpływem Galla-Anonimowego uwielbienia dla Bolesława, kiedy to kronikarz – któremu jakby nie wystarczyły własne, polskie akcenty panegiryczne – każe nam słuchać obcych pieśni żołnierskich oddających hołd opiewanemu monarsze.

Oto wśród epizodów wojny polsko-niemieckiej 1109 r. znajdujemy okazję, zdaniem Galla, odpowiednią do takiego sprzeniewierzenia się obcych wojsk ich własnym, cesarskim ideałom. Mianowicie podczas przedłużającego się oblężenia Głogowa cesarz wyruszył z wojskiem w stronę Wrocławia, nękany podjazdami króla polskiego tak skutecznie, że „*obawiano się Bolesława w dzień i w nocy, ciągle mając go w pamięci*”.

Obsesja strachu przed dzielnym Bolesławem doprowadziła w końcu armię cesarską do wypoczywania w ciągłej gotowości bojowej, do nocy bezsennych, pełnych nawoływań lub śpiewów.

„[...]Wszyscy spali w kolczugach lub też stali na stanowiskach, inni odbywali straż albo przez całą noc obchodzili obóz dokoła, albo wołali: « – Czuwajcie, strzeżcie się, pilnujcie! – » inni jeszcze śpiewali o zachości Bolesława piosenki...”

Tu następuje pięć strof otwieranych słowami: „*Bolesławie, Bolesławie, ty przestawny książę panie...*” Przytaczany strofę drugą:

*Szliśmy pewni, że cię z ziemi twej łatwo wyżeniem,
A ty teraz nas zamknąłeś niemal jak w więzieniu!
Taki książę słusznie rządy nad krajem sprawuje,
Który z garstką swych olbrzymie wojsko tak wojuje!*

Nie ma w tej apostrofie poetyckiej do króla absolutnie nic nadzwyczajnego, sensacyjnego, jeśli się przypomni, że ozdobniki wierszowane w „Kronice polskiej” są dziełem jej autora. To one miały nadawać panegirykowi należyty wymiar literacki.

Pytanie można sformułować tylko jedno: czy pomysł przyozdobienia kroniki „piosenką” właśnie w tym miejscu był zaledwie kaprysem autora – czy też odtwarzał autentyczną sytuację z pola walki? Mówiąc inaczej: kto i dlaczego wybrał tu taką właśnie formę samoudręczenia, jak piosenka o dzielności nieprzyjaciela? Przecież ładunek destrukcyjny tego śpiewu pozostaje dla nas – mimo upływu blisko dziewięćset lat od opisywanych

wydarzeń – oczywisty, i takim być musiał również wtedy dla wojsk cesarskich.

Bez odrobiny naiwności, bez dobrej wiary w to, w co chciałoby się wierzyć, zapewne nie rozwiązalibyśmy tej zagadki.

6. „Pieśń o Bolesławie”, ze względu na swoją wymowę pochwalną, panegiryczną, nie mogła pochodzić ze śpiewnika cesarskiego. Co więcej, nie śpiewano jej po niemiecku, lecz po polaku, zaś wykonawcami byli w tej sytuacji – jak przypuszcza Gloger – „Słowianie zaciężni”.

Opowiada się za hipotezą Glogera badacz prapolskiej poezji gminnej Stanisław Czernik. „Armia Henryka V – pisze edytor „Polskiej epiki ludowej” – *nie była jednolita. W skład jej wchodziły takie posilki słowiańskie, które mogły sympatyzować z Polakami i wyrażać to uczucie w pieśni. [...] A zatem – co wydawałoby się nieprawdopodobne na pierwszy rzut oka – pieśni na cześć Krzywoustego w obozie cesarskim były możliwe.*”

Pieśń taką Słowianie przynieśli ze sobą. Jest to jedyna prawdopodobna ewentualność. Imię Bolesława, jeśli rzeczywiście znalazło się w tekście panegiryku, stanowiło tam, być może, element ruchomy, podatny na zmiany okolicznościowe.

Myliłby się jednak, kto by sądził na tej podstawie, iż mamy do czynienia ze stanem żołnierskim jako środowiskiem samowystarczalnym, wyłącznie kulturotwórczym, negując jego chłonność kulturobiorną. Cechy powyższe bynajmniej nie wykluczają się nawzajem. Impuls twórczy mógł być własny, archetypy wydają się nabyte, dziedziczone. Ich siedliska dopatrujemy się w najodleglejszej przeszłości ojczyściej, zaś potwierdzenie naszych domysłów stanowią właśnie cytowane już po kilkakroć zapiski kronikarskie.

7. „Bogurodzica” – pierwszy hymn polski, hymn dynastii Jagiellońskiej – doczekała się tej wysokiej rangi w ocenie potomnych; lecz z chwilą uzyskania świadectwa Jana Długosza mamy prawo odnotować fakt znamienity: upowszechnienie się jednej wybranej pieśni jako wyrazicielki wspólnoty plemiennej.

Intonowanie „Bogurodzicy” uwnioślało czyn zbrojny, nadawało mu znaczenie wyjątkowe; toteż są w błędzie ci wszyscy, którzy sprowadzają jej wymiary do roli jedynie sygnału przedbitewnego. Rytuał zresztą obowiązywał taki, że „Bogurodzica” już od najwcześniejszych zastosowań na polach bitew owym sygnałem być nie mogła i nie potrzebowała. „Gdy wytrąbiono hasło bojowe, wszystko wojsko królewskie zabrzmiało głośno pieśnią ojczyścią Bogurodzicę...” – tymi wszak słowami rozpoczął Długosz swój opis bitwy grunwaldzkiej.

Ile właściwie taktów pieśni zdołano odśpiewać, zanim z podniesionymi kopiami uderzono na wroga? O tym kroniki milczą. A szkoda, bowiem znając wymiary odśpiewanego tekstu moglibyśmy rozwinąć domysły nad zakresem Długoszowego terminu *patrium carmen*. Ha wiek XIV, XV i XVI przypada bowiem proces wzbogacania tekstu

pierwotnego „Bogurodzicy”, liczącej początkowo dwie strofy, zaś u schyłku renesansu doprowadzonej do strof aż dwudziestu czterech (tzw. przekaz „Bo”).

Bałamutnie brzmi komentarz Juliusza Willaume’a zawarty w popularnym szkicu „Jeszcze Polska...”, w którym autor z błędnych przesłanek wyprowadza błędny wniosek. Stwierdziwszy mianowicie, iż do najstarszych strof „Bogurodzicy” „*dorzucono trzy dalsze zwrotki w początkach lub w pierwszej połowie XIV w., nie później wszakże jak w XV w.*”, i przytoczywszy „ostatnią zwrotkę” –

Poprośmyż już Boga za króla polskiego

I za dziatki jego,

Aby je Bóg uchował ode wszego złego –

autor tych słów komentarza sugeruje, jakoby znajdująca się w cytowanej strofie modlitwa za rodzinę królewską „*nadała pieśni charakter hymnu państwowego, wyrażającego przede wszystkim utrwalone tradycją poczucie więzi narodowej oraz przywiązanie do rodzimych instytucji*”.

Byłoby to bardzo piękne, gdyby okazało się równie prawdopodobne. Wiemy bowiem skądinąd, iż „*trzy dalsze zwrotki*” „Bogurodzicy” (zaś właściwie cztery!) – to dokomponowana w pierwszej połowie XV w. pieśń wielkanocna; a zatem nie tylko rachunek przeprowadzony przez Willaume’a nie jest zgodny z prawdą, lecz i dopatrzenie się w końcówce tego czterozwrotkowego dodatku inkryminowanej modlitwy za króla. W rzeczywistości strofa, która według danych Willaume’a powinna zawierać temat królewski, koncentruje swoją uwagę na osobie ojca rodu ludzkiego – Adama.

Jenże trudy cirpiał zaśmiernie,

Jeszcze był nie przyśpiał zawiernie,

Ależ sam Bog zmartwychwstał.

Natomiast modlitwa za rodzinę królewską należy do późniejszych piętnastowiecznych uzupełnień „Bogurodzicy” związanych tematycznie z osobą Kazimierza Jagiellończyka i z „*dziatkami jego*”, czyli sprzed 1492 r.

Modlitwa za króla uzupełniająca niektóre przekazy „Bogurodzicy” nigdy nie zyskała prawa wstępu do tzw. tekstu kanonicznego, nie otrzymała też trwałego miejsca wśród najczęściej powtarzających się dopisków. Wystarczy przypomnieć, że na ogólną liczbę pięćdziesięciu znanych przekazów pieśni – strofa „królewska” pojawił się zaledwie czterokrotnie, w zapisach „Ac”, „Ae”, „Af” i „Bo”.

W następnym stuleciu znaczenie i popularność pieśni wyraźnie zmalały. Pod koniec XVI w. nie śpiewano już „Bogurodzicy” na polu walki. Z tym wiązał się m.in. nasz protest przeciwko pochopnemu wnioskowi historyka hymnu narodowego Juliusza Willaume’a. W dobie zmierzchu pieśni fastrygowanie „Bogurodzicy” modlitwą „*za króla polskiego i za dziatki jego*” pomóc już nie mogło, a tym bardziej nie było zdolne przywrócić przebrzmiałej sławy hymnicznej. Tak więc jeżeli „Bogurodzica” stała się kiedykolwiek hymnem polskim (przy założeniu anachroniczności tego pojęcia), to raczej

stała się nim wcześniej niż później, bardziej w w. XV, aniżeli w czasach zygmunto-wskich czy batoriańskich. Gest Jana Łaskiego czy Jana Szczęsnego Herburta, pomieszczenie „Bogurodzicy” na czele kodeksu praw, oznaczał wszak estymę wobec pieśni wypracowaną przez przodków.

8. Nie kwestionujemy natomiast wyłonienia się w złotym wieku nowej potrzeby społecznej, zaświadczonej wprowadzoną do tekstu „Bogurodzicy” modlitwą za króla. Był to niewątpliwie zabieg uwspółcześniający, może inspirowany przez samego monarchę lub przez jego dworskie otoczenie.

Do króla zwracali się poeci dość często w różnych intencjach i w różnych sytuacjach, a zwyczajowi temu patronowały wzory starożytne, twórcy polsko-łacińskiego wczesnego renesansu potrafili językiem poetyckim rozmawiać z głowami koronowanymi na rozmaite, nieraz nawet – wydawałoby się – kłopotliwe tematy.

Konrad Celtis nie wstydził się zwrócić „Do Boskiego Fryderyka” o wieniec wawrzynowy Apollina, obiecując w zamian (w. 5-8):

*[...] za dar twój tak szczodrobliw
Wszędzie po świecie i tu chwałę wyśpiewam twych dni.
Boskich potomków cesarza, dopóki mi życia stanie,
Będzie wynosić do gwiazd mej sławy rosnąca pieśń.*
(Przełożyła z łac. Kazimiera Jeżewska)

Andrzej Krzycki, poeta, biskup, dyplomata (również w sformułowaniach poetyckich), gdy z okazji święta Trzech Króli, 6 stycznia 1530 r., przemawiał do czwartego króla – dziewięcioletniego Zygmunta Augusta – obdarzył go odwrotnie proporcjonalną do chłopięcej powierzchowności porcją komplementów: „*Lepszym, szczęśliwszym, większym ponad ciebie – nikt*” („Do sławnego Zygmunta Augusta”, w. 6, przełożył z łaciny Edwin Jędrkiewicz).

Poeta o identycznych referencjach, Jan Dantyszek, specjalnym epigramatem polecał uwadze monarchy własną „Pieśń weselną na ślub Zygmunta z Barbarą”, zachowując jednak pozory skromności (w. 15-17):

*Niech inni dają złoto, klejnoty, jedwabie –
Ty złota, szat jedwabnych, klejnotów masz dość.
Ja ci tylko pieśń daję...*

(„Poeta poleca Zygmunto-wi «Pieśń weselną na ślub Zygmunta z Barbarą». Przełożył z łac. E. Jędrkiewicz)

Domyślamy się, że były to przeważnie wypowiedzi obliczone na doraźny efekt, choć przecież nie zawsze o charakterze czysto prywatnym. Ewolucja, jaką uwiadamiają następne apostrofy poetyckie do króla, zmierzała w kierunku sformułowań uniwersalnych, pozbawionych akcentów osobistych, natomiast jednoczących rzesze czytelników we wspólnym akcie szacunku i przywiązania wobec osoby panującego.

Domyślamy się też, że o kierunku obserwowanej ewolucji decydowali nie tyle może sami poeci, ile raczej ich dworscy opiekunowie, mecenasi, doradcy. Była to

świadoma akcja poetycka harmonizująca z tendencjami wzmocnienia władzy królewskiej; zaś forma modlitwy za króla, czyli za najwyższą władzę świecką, dodatkowo podnosiła jego rangę w oczach poddanych. Jakby dla postawienia znaku równości między obu potęgami – niebieską i ziemską – utarł się też obyczaj zamiennego stosowania epitetów: Pan (Bóg) – pan (miłościwie nam panujący monarcha); Król (Niebieski) – król (ziemski). Potwierdzają to niektóre zapisy „Bogurodzicy”. Przekaz „Ae” z pogranicza XV/XVI w. operuje dwiema sąsiadującymi ze sobą strofami o niemal identycznym brzmieniu (w. 44-49):

*Maryja dziewice, prosi syna twego,
Króla niebieskiego,
Aby nas uchował ode wszego złego.*

*Maryja dziewice, prosi syna twego
Za króla polskiego
I za brata jego, króla węgierskiego.*

Podobnie jak słowa pacierza jednoczyły współwyznawców, apostrofa do króla utrwalała poczucie więzi narodowej. Kiedy więc mówimy o kształtowaniu się wczesnych uczuć patriotycznych, należy również pamiętać o udziale w tym procesie pewnych szczególnych form poetyckich, takich jak skarga personifikowanej Rzeczypospolitej (Krzyckiego i Jarnicjusza), jak wiersze zajmujące się godłem państwowym (np. anonimowy epigramat z 1584 r. „O Orle” czy Andrzeja Trzecieckiego Młodszego „De Aquila Regla carmen” – „Pieśń o królewskim orle”), jak epigramaty portretowe (w stylu obrazków ze „Zwierzynia” Mikołaja Reja – np. „Sigismundus Augustus”), czy wreszcie – jak najbardziej nas teraz interesujące modlitwy za króla.

9. Jedną z nich doczekała się później najwyższego uznania, a jej wybitny gloryfikator, profesor Stanisław Łempicki, swój artykuł poświęcony tej modlitwie zatytułował wzniośle: „Pierwszy nasz hymn państwowy”.

Oto szesnastowieczny przekład polski hymnu z oryginału łacińskiego, dokonany przez Jakuba Lubelskiego w 1559 r.:

Modlitwa za Rzecz Pospolitą naszą i za Króla

*Bacz, Panie Chryste, z miłosierdzia Twego
Być sprawcą Polski i Księstwa Litewskiego,
Króla Augusta z jego poddanymi
Chowaj w łasce Twej miłościwie z nimi.*

*Aby szczęśliwie ta Rzecz Pospolita
Kwitnęła zawsze wszem dobrem obfita,
Byśmy w pokoju tu z Twej łaski trwali.
Wolę Twą świętą prawdziwie poznali.*

*Racze przedłużyć, Panie, żywot jego,
Aby doczekał potomstwa godnego,
A iżby zawsze tu mógł żyć w pokoju,
A był fortunny ustawicznie w boju.*

*K'temu skończenie tego tu żywota
Racz dać szczęśliwe bez wszego kłopotu,
A potem, z Tobą, nasz miły Panie,
Na wieki wieczne w Niebie przebywanie.*

Mimo że pierwodruk oryginału łacińskiego „Oratio pro Re Publica et Rege”, jak też pierwodruk przekładu polskiego, znajdujemy w kancjonale Jana Seklucjana („Pieśni chrześcijańskie dawniejsze i nowe...”, Królewiec 1559), autorem hymnu nie jest ów sławny pisarz reformacyjny i polemista luterński, lecz jego kolega – protestant, wyznawca doktryny Kalwina. „Oratio pro Re Publica et Rege” napisał bowiem Andrzej Trzeciecki Młodszy, urodzony przed 1530 r. w Krakowie lub okolicach, a odnotowany nieco powyżej przez nas jako autor łacińskiej „Pieśni o królewskim orle”.

Fakty z życiorysu Andrzeja Trzecieckiego Młodszego przystają dobrze do wymienionych wątków poetyckich. Otóż rok 1557 jest dla przyszłego autora „Modlitwy za Rzecz Pospolitą...” szczególnie pomyślny: ten utalentowany poeta, przyjaciel czołowych piór na Parnasie polskim – Reja, Kochanowskiego, a ponadto Modrzewskiego i Orzechowskiego – wchodzi właśnie w poczet dworzan Zygmunta Augusta. Król umie ocenić jego zdolności, wyręcza się nim w różnych misjach, z których najznaczniejsza to poselstwo do Turcji (1564 – 1565) u boku hetmana Jerzego Jazłowieckiego.

Tak więc „Modlitwa” Trzecieckiego była owocem służby dworskiej autora. Stały zaś za pobożnymi zwrotami tego „pierwszego hymnu” żywiły protestanckie, wiążące poważne rachuby z polityką wyznaniową Zygmunta Augusta, żywiły reprezentujące aktywny zbor małopolski o „wyraźnie narodowym obliczu”. Trzy ostatnie wyrazy poprzedniego zdania należą już do wypowiedzi profesora Henryka Barycza, z której warto przytoczyć jeszcze parę

następnych. Otóż według Barycza świadectwem nastrojów narodowych w zborze małopolskim stało się m.in. „wprowadzenie do nabożeństwa (protestanckiego) uroczystej modlitwy za króla i Ojczyznę” – dokonane decyzją Synodu w Seceminie z dnia 29 października 1556 r.

Znamy zatem okoliczności i porę funkcjonowania „pierwszego naszego hymnu państwowego” (określenie takie zastosował wobec „Modlitwy” Stanisław Łempicki), choć nie zgodzimy się z tak wysokim usytuowaniem społecznym utworu. Możemy też bez zbytniego ryzyka określić przyczyny niepowodzenia „Modlitwy za Rzecz Pospolitą naszą i za Króla”: w ogniu sporów i zmagani reformacyjnych, podczas nieskrępowanej gry poglądów, a później w toku nasilającej się reakcji kontrreformacyjnej – hymn protestancki poległ śmiercią przypadkową, lecz nieuniknioną, podobnie jak wszystko lub prawie wszystko, co można by zaliczyć do drugorzędnych, a nie „wojujących” rekwizytów kultury reformacji w Polsce.

W określeniu proponowanym przez profesora Łempickiego mieści się wiele kurtuazji: „Modlitwa za Rzecz Pospolitą...” właściwie nie zdążyła dorosnąć do wyżyn hymnu państwowego. Termin ten bowiem, zastosowany wobec części składowej nabożeństwa protestantów małopolskich, jaką niewątpliwie była omawiana pieśń, sprawiłby na nas raczej wrażenie popełnionego w dobrej wierze anachronizmu niż autentycznego komponentu rzeczywistości.

Z drugiej zaś strony „Modlitwa” Trzecieckiego nie spełniała również warunków innej, historycznie uprawnionej formuły, ani przez chwilę nie będąc „pieśnią ojczystą” w tym znaczeniu, w jakim była nią wcześniej „Bogurodzica”.

Wojciech Jerzy PODGÓRSKI



Obraz Józefa Brandta „Bogurodzica” (1909) – Wojska polsko-litewskie przed bitwą wspólnie śpiewają hymn „Bogurodzica”

CZŁOWIEK I ŚWIAT

W ZNAKACH KRZYŻA, TRÓJZĘBU I GWIAZDY

Symbole towarzyszą człowiekowi od zarania dziejów. Są wszechobecne, mają rozmaite formy i przeróżne znaczenia. W „Encyklopedii PWN w trzech tomach” możemy przeczytać, że *„symbol – znak umowny, pełniący funkcję zastępczą wobec pewnego przedmiotu (pojęcia, stanu rzeczy) i przywołujący ów przedmiot na myśl (budzący związane z nim reakcje)”* [1, 468]. Symbole kryją w sobie obiektywną, istotową treść, przywołują na myśl rzeczywistość nieznaną, w świecie *„wszystko jest symbolem, ponieważ każda rzecz jest na swój sposób wyrazem i nosicielem idei Bożej”* [2, 7], są czymś więcej niż znakami, ponieważ każdy symbol, poza znaczeniem dosłownym, jest również nośnikiem ukrytych znaczeń. Uważamy, że symbole mają bogatą treść i najważniejsze jest zrozumieć tę treść, zrozumieć, co za tym wszystkim się kryje. Przecież *„symbole niosą kolosalną informację”* [3, 235] [1], a największym błędem współczesnego zmaterializowanego świata jest obojętny, nieodpowiedni stosunek do znaków i symboli. *„Stąd i nasza niewiedza, często sprzeczność ducha i rozumu. Symbol i wiedza to wyrazy pokrewne: świat – otwarta księga, symbole – jej alfabet. Empiryczna historia bierze swój początek od artefaktu, i może dlatego często nie widzimy sensu w historycznym procesie. Historia duchowa bierze swój początek od symbolu, stara się zrozumieć i wytłumaczyć jego znaczenie”* [3, 235]. Większość ludzi nie może wyjaśnić treści tych czy innych symboli, co więcej – nawet nie zastanawia się nad ich pierwotnym znaczeniem. Gdybyśmy znali głęboki sens symboli – nasz stosunek do rzeczywistości kardynalnie by się zmienił. I w tym tkwi swoisty paradoks, że my, ludzie XXI wieku, mamy kłopoty ze zrozumieniem symboli, które stały się dla nas nieczytelne i niezrozumiałe. Może więc powinniśmy podjąć trud przypomnienia i ocalenia całej tej przebogatej spuścizny, wszak potrzebujemy symboli dla wyrażania rzeczywistości duchowej, tak trudnej do ujęcia w samych tylko słowach.

Chcielibyśmy zwrócić uwagę na istniejące tysiące lat przed przyjęciem chrześcijaństwa symbole, znane nie tylko ludności indoeuropejskiej, ale także wielu innym narodom świata. Są to m.in. najdawniejsze i niewątpliwie jedno z najważniejszych znaków, które symbolizują stworzenie, budowę oraz ewolucję Wszechświata: krzyż, trójkąt i gwiazda. Chociaż wizerunek każdego z nich jest lakoniczny – każdy podkreśla tę czy inną charakterystykę jedności trójcy, ten czy inny etap tworzenia kosmosu.

Mówiąc o krzyżu, musimy najpierw wspomnieć o podstawowym znaku – kole. To symbol słońca – otwartego

źródła światła, ciepła, a więc wszystkiego, co żywe – przyrody i człowieka. Nieznaczoną modyfikacją tego znaku jest koło z czterema promieniami. A to już krzyż – główny znak mitraistycznej (słonecznej) religii. Z biegiem czasu ten znak zaznał zmian: znika koło, zostaje tylko sam krzyż. Krzyż – dawny symbol, prastary znak życia, prawdy i zbawienia, później użyty przez chrześcijan jako symbol Chrystusa. Pierwotnie składał się z dwóch linii przecinających się zazwyczaj pod kątem prostym. Według „Słownika symboli” W. Kopalińskiego krzyż symbolizuje oś świata, jego cztery strony; źródło użyźniających opadów; ptaka z rozpostartymi skrzydłami, człowieka z rozłożonymi ramionami, elementy boskości; ogień, słońce; śmierć i mękę Chrystusa; połączenie przeciwieństw, życie i nieśmiertelność; wieczność, siłę stwórczą i in.

M. Pęczak w artykule „Przygody krzyża” pisze, że niemal w każdym zakątku Ziemi odkryto przedmioty związane z tym znakiem. Zazwyczaj wiązano go z jakąś formą kultu sił przyrody. Istnieją hipotezy, że powstał wtedy, kiedy pierwotny człowiek, kładąc polano na polano, aby mieć dobroczynny ogień, zaczął kojarzyć utworzoną formę krzyża z ziemskim ogniem, a później i niebieskim – słońcem. W każdym razie można twierdzić, że znak krzyża, jako symbol ognia i słońca, jest znany na całym świecie od bardzo dawna. Krzyż solarny był odnajdywany przez archeologów na prastarych rzeźbach w różnych częściach świata. Krzyż wpisany w koło był znakiem kosmicznym znanym u Hetytów i związanym z powszechnym wówczas kultem solarnym. W Babilonie i Asyrii znak krzyża był symbolem boga-słońca. Łączy się go z mistycznym znakiem „tau” – pierwszą literą imienia chaldejskiego boga Tammuza, która pierwotnie miała kształt X, a z czasem T z obniżoną poprzeczką. W Egipcie był popularny krzyż „anch” (T z pętlą u góry), który oznaczał życie. Krzyż był też symbolem wielu pogańskich bogów, m.in. greckiego Dionisa, nordyckiego Odyna. Indoeuropejskie ludy Indii i Persji w starożytności wykorzystywały krzyż, który symbolizował ogień i często przybierał formę swastyki. Do celów religijnych z krzyża korzystali także buddyści w Chinach. Krzyż był świętym symbolem używanym przez Azteków i Majów. U tych ludów był znakiem boga-słońca, był emblematem władcy czterech stron świata i czterech wiatrów, a dla niektórych dawnych narodów amerykańskich krzyż T był symbolem deszczu. Na długo przed rozpoczęciem się ery chrześcijańskiej krzyż był symbolem życia, zdrowia i ochrony przed śmiercią.

Znakiem krzyża posługiwali się Celtowie, ludy germańskie. Krzyż jako motyw ornamentalny i znak symboliczny używano w wielu kulturach, np. w celach dekoracyjnych, jako znak graniczny, umieszczano na grobach władców i bohaterów. Był obecny m.in. w kulturze Scytów, Asyryjczyków, Persów. Rzymianie również posługiwali się krzyżem od najdawniejszych czasów. Jednak największą popularność w Rzymie krzyż uzyskał w II i III wiekach n.e. wraz z rozwojem perskiego boga słońca Mitry.

Wobec znanej i dość powszechnej w różnych religiach solaryzacji bóstw, krzyż był znany m.in. w kulturze łużyckiej. U Słowian analogią krzyża było koło. Koło – symbol słońca, wieczności, doskonałości, wewnętrznej jedności. Przedmioty otoczone kołem z jednej strony symbolizowały ograniczoność, a z drugiego – ochronę od niebezpieczeństwa istniejącego w otaczającym człowieka świecie. To dawny amulet Słowian. Koło i krzyż, jako podstawa i początek wszystkiego, były jednym z głównych elementów ornamentu. Krzyż u Słowian, podobnie jak i u innych ludów indoeuropejskich, był powszechnie związany ze słońcem, ogniem, życiem oraz symbolizował równowagę wszechświata. Podobnie zapewniać miał szczęście, dobrobyt i przychylność bogów.

Należy jednak zauważyć, że chociaż krzyż jest polimicznym symbolem, jednak przede wszystkim jest to znak naszego trójwymiarowego wszechświata oraz życia. To symbol trójcy z dominantą synowskiej energii – miłości. Oprócz tego dwie inne energie (męska energia, czyli pionowa linia i kobieca – pozioma linia) łączą się w znak krzyża – symbolu przestrzeni w trzech wymiarach, miłości, dziecka. Innym wariantem schematu krzyża jest swastyka – słoneczny krzyż uznawany za wersję słonecznego kręgu. Wśród europejskich pogan był symbolem słońca, a także Thora i błyskawicy. Spotyka się go na całym świecie, od Indii aż do Ameryki Południowej, gdzie pojawia się na rysunkach skalnych. Swastyka jako krzyż, który się obraca, symbolizuje rozwój świata. Jeśli krzyż obraca się w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara, to symbolizuje ruch w górę, wschód, ruch od materialnego do duchowego tzn. ewolucję; a obrót w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówki zegara – ruch do dołu, zachód, ruch od duchowego do materialnego – inwolucję. Swastykę odnajdujemy w prakulturze znad Indusu, która to zgodnie z ideą cyklicznego czasu obdarzyła ją iluzją ruchu, zginając linią prostą albo łukiem w prawo lub w lewo; w buddyzmie, dżinizmie. Oprócz tego swastyka to także znak ognia. Często ten znak był nazywany swargą (od sanskrytu „svarga”), co znaczy niebo, słoneczne światło. Prawdopodobnie dlatego słowiański bóg nieba i niebieskiego ognia, ojciec Słońca, był nazywany Swarogiem. A jeszcze „svastyka” oznacza szczęście, może dlatego tak często była odbierana jak znak, który przynosi szczęście.

Tak więc krzyż jako święty znak, który symbolizuje ogień, słońce, zbawienie i życie wieczne, jest o wiele starszy niż religia chrześcijańska. „*Samego znaku krzyża nie wymyślili chrześcijanie*” [7, 22]. Pierwsi chrześcijanie nawet walczyli z nim, uważając za znak pogan. Znany

chrześcijańskim symbolem stał się on znacznie później, chociaż niektórzy teologowie uważają, że pierwsi zwolennicy chrześcijaństwa czcili krzyż jako święty znak. Tak naprawdę chrześcijanie czcili ten znak nie zawsze. Pierwsi chrześcijanie nawet gardzili nim, znieważali, bowiem przypominał im narzędzie męczeńskiej śmierci stosowane w Cesarstwie Rzymskim, a mianowicie belki z poprzeczką u góry, które napominały literę T. Chrześcijaństwo zaczęło uznawać krzyż jako jeden ze symboli swojej religii w III wieku, ale nie jako narzędzie egzekucji, na którym zginął Chrystus, lecz jako znak, który symbolizował postać Chrystusa Zbawiciela, „...*który przynosi życie i nim obdarza*” [5, 5]. W IV wieku poganie zaczęli stopniowo wyznawać nową religię, ponieważ chrześcijańskie symbole i obrzędy były podobne do symboliki i obrzędowości ich dawnej religii. Większość z nich nadal dalej nosiła krzyż, który wcześniej był symbolem ich bogów, a teraz Boga-Zbawiciela. Chrześcijanie czczą różne formy krzyża: „*krzyż łaciński – belki złożone ze sobą na wysokości 2/3 belki pionowej; krzyż grecki równoramienny; krzyż św. Andrzeja w kształcie litery X; krzyż arcybiskupi – łaciński z dwiema poprzecznymi belkami; krzyż papieski z trzema poprzecznymi belkami; krzyż jerozolimski – duży, równoramienny z czterema mniejszymi, symbolizuje 5 ran Chrystusa; krzyż maltański – równoramienny z rozwidlonymi zakończeniami ramion, symbolizuje 8 błogosławieństw; krzyż prawosławny – z dodatkową małą ukośną belką, służącą skazańcowi za podporę nóg*” [2, 13-15] i in. Jednak krzyż w kształcie litery T nigdy nie był przedmiotem czci. Na początku u chrześcijan postać Chrystusa była symboliczna i przybierała wygląd jagnięcia, pasterza niosącego baranka na plecach. Nieco później pojawia się postać Chrystusa z podobizną krzyża na głowie (podobnie były przedstawiane również pogańskie bóstwa). Nieco później powstał krucyfiks, czyli krzyż z wizerunkiem zawieszonego ciała Chrystusa. Natomiast w wiekach późniejszych symbol krzyża stał się jednym z najczęściej stosowanych motywów ornamentalnych i dekoracyjnych sztuki świata chrześcijańskiego. W taki oto sposób postać Chrystusa cierpiącego na krzyżu staje się głównym symbolem chrześcijańskiej religii. W kościołach chrześcijańskich, zwłaszcza w Kościele katolickim i prawosławnym, krzyż jest otaczany szczególną czcią. Krzyż umieszczany jest w centrum świątyni, przed nim modlą się wierni. W mistycznym sensie krzyż symbolizuje mękę Chrystusa, jest symbolem cierpienia, posłuszeństwa i miłości, wszystkiego tego, co jest bardzo ważne dla każdego człowieka, który pragnie zasłużyć na życie wieczne. Droga Krzyżowa Jezusa to wzorzec życiowej drogi chrześcijanina. Każdy człowiek powinien cierpliwie nieść swój krzyż, podobnie jak Chrystus, który szedł na miejsce śmierci dźwigał go na plecach. Znak krzyża w dalszym ciągu jest magicznym znakiem. I we współczesnym chrześcijaństwie krzyż jest czczony nie tylko jako symbol cierpienia Jezusa, ale także jako symbol zbawienia i życia wiecznego.

Ojcowie Kościoła podkreślali, że „*krzyż jest światłem, oświetlającym niebo i ziemię*” [cytat wg św. Jana Marii Vianey], mówili o kosmicznym znaczeniu krzyża, którego ramiona obejmują wszystkie czasy i narody, a pionowa belka łączy niebo i ziemię.

Krzyż jest uważany za oś Wszechświata. „*Krzyż stoi, podczas gdy świat się obraca*” [łacińska sentencja] – całe życie chrześcijańskie powinno być wpisane w krzyż, powinno być umieraniem dla grzechu, aby żyć tylko dla Boga. Krzyż przypomina, że śmierć i cierpienie nie są ostatecznym wymiarem ludzkiego życia, gdyż drugą stroną jest chwała zmartwychwstania, nowe życie, triumf nad złem. Niezależnie od tego, pod jaką postacią widzimy krzyż, czy jako przedmiot, czy też jako znak, który czynimy, ma on dla chrześcijan ogromne znaczenie. Już od X wieku w chrześcijańskim świecie krzyż był powszechnie używany: noszono go na ciele, stawiano na rozstajach dróg, ozdabiano nim świątynie i domy, stawiano na grobach. Jako symbol m.in. wiecznego życia i Chrystusa krzyż i dziś jest znakiem, który chroni wiernych nie tylko po śmierci, ale również w różnych momentach ich życia.

„*Nadzwyczaj złożonym znakiem jest również trójząb, który „kontynuuje” znak krzyża jako symbol Słońca. Słońce daje: 1) energię promieni; 2) światło; 3) ciepło. I wszystko to jest w jednym – nie można rozdzielić promieni, ciepła i światła, a jednocześnie to różne rzeczy. Tak jak i Trójca – jeden Bóg w trzech osobach*” [3, 243]. Jak widzimy, te znaki są ze sobą nierozdzielnie połączone. Słowianie zachowali tylko krzyż, jednak u Ukraińców, wschodnich Słowian, trójząb stał się godłem państwowym.

Symbol trójzębu, dziś dość zapomniany i prawie nie badany, to pradawny, jeden z najbardziej archaicznych i najbardziej rozpowszechnionych sakralnych znaków cywilizacyjnych. Jest on nie tyle oznaką intelektu, ale znakiem siły duchowej. Jest znakiem boga Mitry. „*W chrześcijaństwie trójząb symbolizuje św. Trójcę. Podobnie jak w mitraizmie, w chrześcijaństwie akt stworzenia nie może odbywać się tylko i jedynie przez Św. Ducha. Potrzebna energia Boga Ojca i Boga Syna, która jest wykorzystywana w imię Św. Ducha. Bóg Trójca to obowiązkowo jedyny Bóg w trzech postaciach. Historia trójzębu jest zazwyczaj podawana według mniej więcej takiego schematu: jego korzenie sięgają Atlantydy, później rozpowszechnia się w Egipcie, antycznym świecie, u Słowian (przede wszystkim wschodnich). Jednak do końca nie wyjaśniono, czy tak naprawdę ten znak był rozpowszechniony w Egipcie, gdzie wywyższano boga Tota z jego znakiem piramidy. Elementem symboliki nie mógł być i w antycznym świecie, ponieważ dla Neptuna trójząb to po prostu narzędzie kary, nie więcej niż widły, na które była nadziewana morska żywność. Inaczej mówiąc, w antycznym świecie głęboki sens trójzębu został mocno zniwelowany. Mimo to był w Tybecie, również u Słowian, przede wszystkim na Rusi Kijowskiej za czasów Włodzimierza Wielkiego*” [3, 239-240].

Jeśli mówić o znaczeniu trójzębu, to wymienić należy kilka najbardziej znanych określeń: 1) trójząb – rodzaj broni białej; używany niegdyś przez rybaków do polowania na

większe ryby i ośmiornice, składa się z drzewca i osadzonych na nim trzech metalowych zębów zakończonych hakami; 2) trójząb jest atrybutem Posejdona, używany był do rozbijania skał i tworzenia źródeł; 3) trójząb jest atrybutem hinduskiego boga Siwy; 4) trójząb był używany w walkach gladiatorów, dobijano nim spętanego siecią wroga; 5) motyw trójzębu występuje na herbie Ukrainy; 6) grecka litera „psi” ma wygląd zbliżony do trójzębu. Trójząb symbolizuje tróję twórczych energii potrzebnych dla życia, podobnie jak krzyż i sześciokątna gwiazda jest to mądrość, wiedza, miłość, jak również ogień, woda, życie. Ze znakiem trójzębu przedstawiano greckiego Posejdona, rzymskiego Neptuna, indyjskiego Siwę i Wisznu, boga plemion Scytów Tagymasyda. Trójząb jest jednym ze znaków Trójcy. Ma ten znak kilka odmian, m.in. trójkątnie korony, trójzębne wieże, potrojone znaki, każdy z których posiada niezliczoną ilość wariantów różniących się przeważnie rysunkiem. Trójząb do dziś jest rozpowszechniony w Tybecie. Tamtejsi mnisi, idąc w święte miejsca, biorą ze sobą trójząb. W Indiach jest święta góra z trzema szczytami, którą hindusi nazywają „Trykuta”. We wnętrzach góry, za trzema magicznymi kamieniami znajduje się ogromna figura z brązu, z trójzębem w prawej ręce. Jednym z elementów współczesnej narodowej hinduskiej symboliki jest podobizna trójzębu nazywana przez Hindusów „tryszub”. Od tysiącleci w Indiach trójząb jest utożsamiany z trzema bóstwami: prawe ostrze to Brahma – ojciec świata, jego stwórca; lewe ostrze to Wisznu – obrońca i wartownik świata; środkowe ostrze to Siwa – niszczyciel świata, bo świat, który gubi to, co duchowe, świat, który tonie w grzechu, wart jest tego, by został zniszczony. O trójzębie wspominał również Platon, gdy mówił o Posejdonie. Przecież właśnie on według mitologii był ojcem ludzi i bogów, twórcą, obrońcą i niszczycielem, dokładnie tak samo jak i w hindusko-mitraistycznej religii. Ten znak był znany w Iranie. Znany był ludności Urartu, Scytom, ludom kultury minojskiej (III-II tys. p.n.e.). Na terytorium dzisiejszej Ukrainy archeolodzy odnaleźli rysunki trójzębu wyryte na skałach (IV-III tys. p.n.e.) oraz na kamiennych bryłach pradawnej świątyni zwanej Kamienną Mogiłą. Również na terytorium Ukrainy odnaleziono ceramiczne dzbany z wizerunkami bóstwa w kształcie przypominającym trójząb. Obecnie istnieje ponad czterdzieści wersji, które w ten czy inny sposób wyjaśniają pochodzenie i tłumaczą znaczenie trójzębu. O. Bojko w „Historii Ukrainy” [2] zwraca uwagę na to, że zależnie od tego, co stanowi podstawę uzasadnień każdej z wersji, można je umownie podzielić na trzy grupy: przedmiotową, graficzną i filozoficzną. Według przedmiotowych hipotez w wizerunku trójzębu widzimy konkretne cechy żywych i nieżywych przedmiotów. Niektórzy widzą w nim górną część berła monarchów bizantyjskich, berła carów scytyjskich, formę korony – to znaczy przedmiotów, które symbolizują władzę państwową. Inni badacze twierdzą, że trójząb przypomina sylwetkę ptaka, być może normandzkiego kruka lub sokoła, a nawet gołębia – symbol

Ducha Świętego. Większość naukowców uważa, że ten symbol związany jest z konkretnym przedmiotem życia i działalności człowieka – kotwicą, normandzkim hełmem, siekierą, flagą, rybackim narzędziem, łukiem ze strzałą, kłosem i in. Logiczną kontynuacją hipotez przedmiotowych, wyjaśniających pochodzenie trójkębu, jest hipoteza graficzna. Jeśli wersja przedmiotowa wyraża stanowisko, że trójkęb niemal idealnie odtwarza konkretne zarysy tego lub innego przedmiotu, to według hipotezy graficznej jest to tylko i wyłącznie uproszczony, umowny stylizowany wizerunek. Właśnie ta hipoteza proponuje szerokie spektrum wariantów wyjaśniających pochodzenia trójkębu. Z jednej strony jest to monogram, tzn. połączenie kilku początkowych liter imienia, słowa, wyrażenia. Autorstwo tego monogramu jest przypisywane Bizantyńczykom, Scytom, Grekom, Ukraińcom i in. A z drugiej strony jest to wizerunek trójkębu z ornamentem stworzonym z rytmicznej kolejności i jedności elementów geometrycznych lub ze stylizowanych wizji żywych i nieżywych przedmiotów. Przypuszcza się, że ten ornament może mieć bizantyjskie, wschodnie, słowiańskie lub nawet wareskie pochodzenie. Istnieje jeszcze jedno przypuszczenie, a mianowicie, że trójkęb to cyfra „3”. Ciekawe warianty rozwiązania problemu pochodzenia i znaczenia trójkębu proponuje hipoteza filozoficzna. Zwolennicy tej hipotezy traktują trójkęb nie jako lustrzane czy stylizowane określenie przedmiotu, a jako symboliczne przedstawienie idei, pojęcia lub zjawiska: idei władzy państwowej; symbol władzy nad trzema światami – niebiańskim, ziemskim i podziemnym; symbol – klucz do zrozumienia alfabetów pisma różnych ludów; znak – przypomnienie o prawach przyrody, rozwoju ludzkiej aktywności oraz odpowiedzialności za ten rozwój. Najbardziej gruntownymi wydają się te wersje, zgodnie z którymi trójkęb obrazuje trójjedność budowy świata. Otaczający świat zbudowany jest w oparciu o współdziałanie trzech elementów: trzy typy elementarnych cząstek tworzą atomy i molekuly, będące fundamentem wszystkich ciał fizycznych; trzy kolory – żółty, niebieski, czerwony, współdziałając tworzą barwy tęczy, różnobarwność świata; trzy wymiary – szerokość, długość, wysokość, które charakteryzują objętość i przestrzeń w budowie świata. Abstrakcyjna idea Trójcy, jednym z wizerunków której stał się trójkęb, jest podstawą kanonizowanej chrześcijańskiej doktryny o jedności Boga Ojca, Boga Syna i Boga Ducha Świętego. Znak Trójcy (trójkębu) posiada jedno z pierwszych miejsc wśród symboli budowy świata. Jedni badacze widzą w nim symboliczny wizerunek ognia, wody i życia, inni – jedności mądrości, wiedzy i miłości albo mądrości, piękna i rozumu. Dla niektórych trójkęb jest symbolem życia, ponieważ ma wspólną podstawę: lewą figurę jako symbol pozytywnego ojcowskiego pierwiastka, symetryczną prawą figurę – symbol negatywnego macierzyńskiego pierwiastka i centralną figurę jako symbol dziecka. Trójkęb jest symbolem, który ma dawną historię sięgającą w głąb tysiącleci i może dlatego tak trudno o nim mówić. Jednak

na pewno wiemy, że jako znak istniał na długo przed pojawieniem się chrześcijaństwa. Do dziś nie ma jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, co spowodowało rozwój trójkębu jako symbolu: konkretny przedmiot, zwykły symboliczny znak czy może filozoficzne uogólnienie. Jedno jest pewne, że jako znak przetrwał; znajduje się na godłach narodowych wielu europejskich państw w postaci trójkątnej korony, trójkębnych wież, potrojonych znaków czy też trójliści.

Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden ważny znak, wcale nie łatwy do zinterpretowania i nie mniej tajemniczy niż krzyż i trójkęb. Jest to gwiazda. Gwiazda symbolizuje przede wszystkim słońce jako najjaśniejszą gwiazdę; to znak nieba, który wyznacza porządek ciał niebieskich i panowanie słonecznego bóstwa. Gwiazdy są pięciokątne, sześciokątne, siedmiokątne, ośmiokątne, dziewięciokątne. Pentagram (gwiazda Salomona) to jeden z najdawniejszych symboli ludzkości. Ten symbol, rysowany jedną linią, w różnych historycznych czasach miał mnóstwo tłumaczeń. Był sumerskim i egipskim znakiem gwiazd. Trochę później zaczął symbolizować pięć zmysłów człowieka; pierwiastek męski i żeński; harmonię, zdrowie, siły mistyczne. Pentagram także jest symbolem zwycięstwa pierwiastka duchowego nad materialnym, symbolem bezpieczeństwa, ochrony, bezpiecznego powrotu do domu. Z jednym końcem u góry i dwoma w dole jest znakiem białej magii, znanym jako „noga druida”, a odwrotnie, z jednym końcem do dołu, a dwoma do góry – to tak zwane „kopyto kozła” i rogi diabła. To w symbolicznie typowy przykład zmiany znaczenia znaku z pozytywnego na negatywny po odwróceniu go. *„Gwiazda Salomona to i neutralny, ogólnoludzki symbol”* [3, 241 – 242] – symbol człowieka doskonałego, który stoi na dwóch nogach z wyciągniętymi rękami. Możemy powiedzieć, że człowiek to żywy pentagram. I tak chyba jest naprawdę: zarówno w sensie fizycznym, tak i duchowym – człowiek posiada pięć zalet: miłość, mądrość, prawdę, sprawiedliwość i dobroć. Prawda należy do ducha, miłość – do duszy, mądrość – do intelektu, dobroć – do serca, a sprawiedliwość – do woli. Podwójny pentagram, w którym mały jest wpisany w duży, uważany jest się za symbol harmonii ludzkiego organizmu z pięcioma elementami: ziemią, powietrzem, wodą, ogniem i eterem. Człowiek jest związany z kosmosem, może z nim współpracować i współistnieć w pełnej harmonii; człowiek żyje i tworzy w centrum Wszechświata. Pięciokątna gwiazda jako bardzo dawny znak jest interpretowana w bardzo różny sposób. Między innymi jest to symbol radości i szczęścia; jest emblematem semickiej bogini Ishtar w jej wojowniczym wcieleniu. Dla Egipcjan pięciokątna gwiazda także miała ważne znaczenie, o czym świadczy tekst, który zachował się na ścianie świątyni Hatszepsut. Dla masonów pięciokątna gwiazda symbolizuje mistyczne centrum. W starożytnych religiach jednym z najbardziej znanych znaków był heksametr – symetryczna figura składająca się z sześciu małych, osobnych trójkątów zgrupowanych wokół wielkiego centralnego sześciokąta. W ten sposób tworzy się gwiazda,

przy czym poszczególne trójkąty zachowują swoją indywidualność. Ten z dwóch trójkątów, którego wierzchołek zwrócony jest ku dołowi, symbolizuje zstępowanie pierwiastka boskiego w materię. Trójkąt, którego wierzchołek zwrócony jest ku górze, symbolizuje wszystko, co ponownie powraca do boga. Razem te dwa trójkąty symbolizują człowieka, który łączy dwa światy; również jest symbolem ślubu, który łączy mężczyznę i kobietę; ewolucji człowieka; doskonałego związku ducha i materii. Ta gwiazda, nazywana gwiazdą Dawida, znajduje się na fładze państwa Izrael oraz jest jednym z najważniejszych jego symboli. „Gwiazda Dawida zasługuje na osobliwą uwagę. Oprócz tego, że jest to „męski znak”, jednocześnie jest znakiem wybranych, znakiem genialności – i w tym znaczeniu występuje on jako „neutralny” ogólnoludzki znak. Niektórzy, w tym antysemita, wkładają w ten znak złośliwą treść (...zmowę przeciwko ludzkości, panowanie nad światem). To nonsens. Gwiazda Dawida jest na nagrobkach wielu wybitnych osobowości jako „Boży znak” genialności. Przecież ci, którzy idą pierwsi, są najbardziej utalentowani, duchowo zapładniają, programują cały naród. Innym nonsensem jest traktowanie gwiazdy Dawida jako antychrześcijańskiego i szatańskiego znaku. Wybrani przez Boga, „odznaczeni” gwiazdą Dawida to wybitni przedstawiciele ludzkości, idee, wiedza, myśli, których są wpisane w ludzką świadomość; oni – to światło ludzkości. Przypomnijmy chociażby utwory wybranych – Biblię, Wedy, Awestę, Koran, dzieła Konfucjusza, Homera, Dantego, Shakespeare’a, Goethego, przecież są to programy dla wszystkich nacji i każdego nas. Czytamy je, uczymy się, badamy, wchłaniamy i jako rezultat – formujemy swój duch i intelekt” [3, 241-242].

Gwiazda od niepamiętnych czasów była również bardzo pozytywnym słowiańskim symbolem. Nazywana często różą, gwiazda symbolizowała Słońce jako najjaśniejszą gwiazdę. W folklorze są nazywane trzy gwiazdy: poranna, wieczorna i południowa. Są one symbolami oznaczającymi pewne odstępstwa czasu. Kiedyś darowano na szczęście pisanki z rysunkiem gwiazdy, która symbolizowała życie i dobrobyt. Paganie uważali gwiazdy oknami nieba, przez które bogowie patrzyli na świat. Dla nich był to znak nieba wyznaczający porządek niebieskich ciał i umocnienia słonecznego bóstwa. Dla chrześcijan natomiast gwiazda jest znakiem królestwa Chrystusa; symbolem opieki, ochroną człowieka, ponieważ każdy człowiek w momencie narodzin otrzymuje na niebie gwiazdę. Ośmiokątna gwiazda jest chrześcijańskim symbolem i nazywana jest betlejemską gwiazdą (zwyczaj czekania na pierwszą gwiazdę w Wigilię). Oprócz tego jest to symbol ósmego dnia („czasu” po czasie); symbol wiecznego królowania Mesjasza [wg R. Hryń-Kuśmirek, „Zwyczaj i obrzęd. Rok polski”].

Obecnie dla nas wiele symboli utraciło swoje pierwotne znaczenie. Bardzo często odrzucamy to, co wydaje się nam obce, niezrozumiałe, a wręcz pogańskie. Dla współczesnego człowieka, człowieka żyjącego w XXI wieku, oprócz dawnego znaczenia, powinien być ważny

obecny sens danego symbolu. „Gdybyśmy chcieli unikać wszystkiego, co pochodzi od pogan, doprowadzilibyśmy nasze życie do absurdu. Ważne jest też, co dany symbol wyraża tu i teraz” [6, 256]. Wszak symbole kryją w sobie obiektywną treść, przywołują na myśl rzeczywistość, której nie znamy. Znaki, symbole są wyrazem pamięci narodów, mieszczą w sobie głęboką treść. I tylko wtedy, gdy będziemy umieli prawidłowo je odczytać i pojąć – uda nam się zrozumieć sakralne, inaczej mówiąc główne, tajemnicze, ukryte, święte fundamenty historii. Nie ma bowiem wątpliwości, iż „sacrum” człowieka to jego rdzeń, niewidzialne źródło duchowej siły, jej wewnętrzny sens. A symbol stanowi duchowy fundament człowieka, odzwierciedla jego światopoglądy i sens jego istnienia we Wszechświecie.

Ludmiła PIETRUSZKA

Andrzej PIETRUSZKA

Drohobycz

Przypisy

1. Cytaty z książki „Шлях аріїв” wykorzystane w danym artykule, są tłumaczone z języka ukraińskiego przez autorów.
2. Wg Бойко О., „Історія України”, Київ 2002.

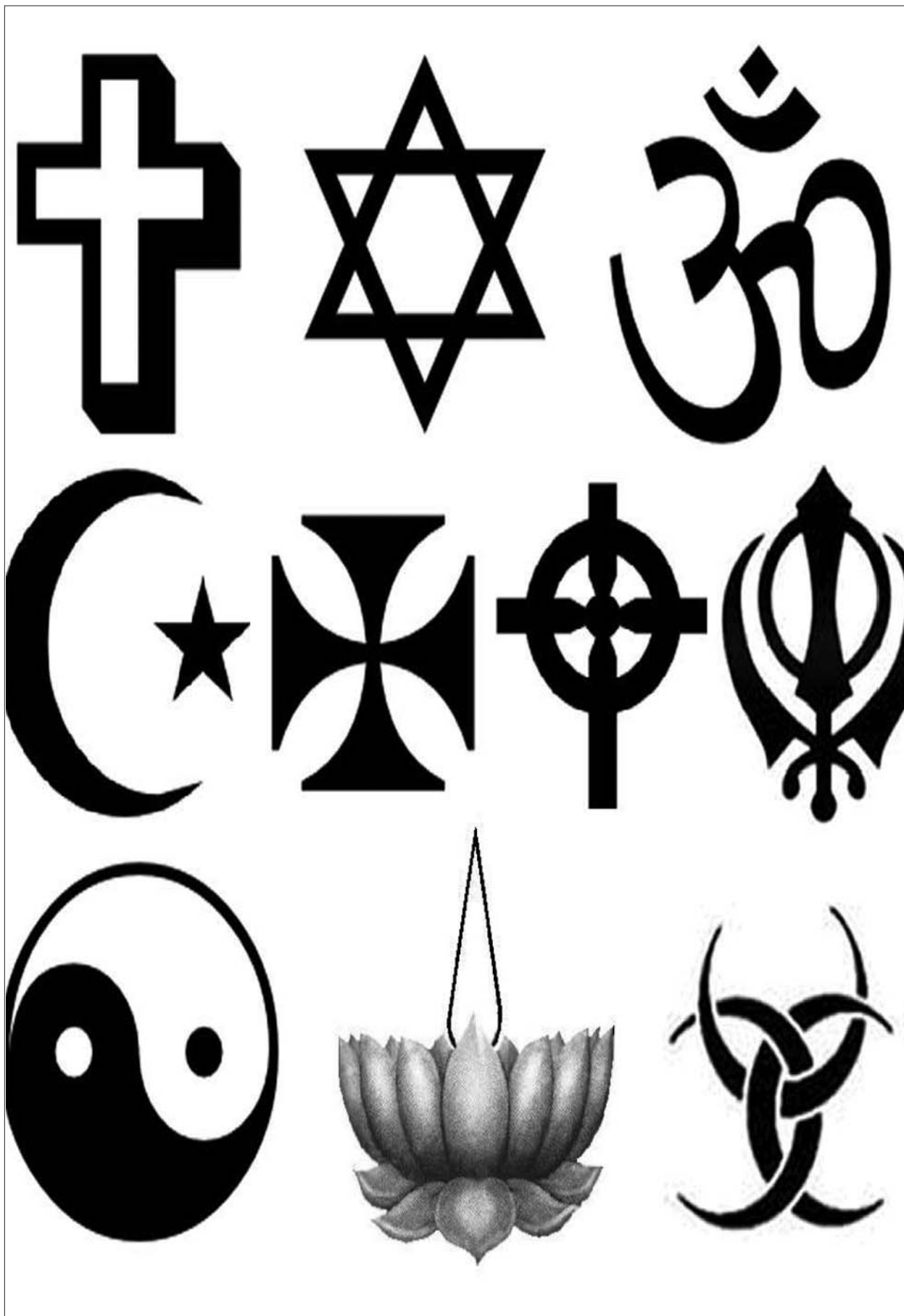
Bibliografia

1. Encyklopedia PWN w trzech tomach, t.3.
2. Forster D., „Świat symboliki chrześcijańskiej”, Warszawa 1990.
3. Канигін Ю., „Шлях аріїв”, Київ 2005.
4. Kopaliński W., „Słownik symboli”, Wiedza Powszechna, Warszawa 1991.
5. Kudasiewicz J., „Logos i etos krzyża”, Warszawa 1980.
6. Lurker M., „Słownik obrazów i symboli biblijnych”, Poznań 1989.
7. Pęczak M., „Przygody krzyża”, Polityka, nr 17, 2011.
8. Radziszewski G., „Historia i symbolika znaku krzyża”, Wyższe Seminarium Duchowne Towarzystwa Salezjańskiego w Łodzi 1991.
9. „Słownik 100 tysięcy potrzebnych słów” pod red. J. Bralczyka, PWN, Warszawa 2008.

Od Redakcji

Pani Ludmiła Pietruszka mieszka w Drohobycz. Jest wykładowcą na Wydziale Języków Obcych Uniwersytetu Pedagogicznego w Drohobycz oraz uczy języka polskiego i wiedzy o narodzie polskim w Polskiej Sobotniej Szkole.

Andrzej Pietruszka jest synem Pani Ludmiły. W ubiegłym roku ukończył studia licencjackie na Uniwersytecie Jagiellońskim; obecnie jest studentem I roku studiów magisterskich (UJ, wydział europeistyki).



Uchwałą Sejmu RP rok 2014 uznano „ROKIEM OSKARA KOLBERGA”

Decyzję uzasadniono następująco: *„Dorobek naukowo-badawczy Oskara Kolberga dokumentujący kulturę ludową XIX wieku jest imponujący ze względu na wszechstronny zakres jego zainteresowań kulturą ludu oraz geografie badań, obejmującą Polskę przedrozbiorową i obszary ludowych kultur Ukrainy, Białorusi, Litwy, Śląska, Słowian południowych, Łużyczan, Czechów i Słowaków. Oskar Kolberg zebrał i opracował 33 tomy monografii regionalnych i tematycznych, opublikował około 200 artykułów z zakresu etnografii, folklorystyki, językoznawstwa, muzykologii. Spuścizna Oskara Kolberga stanowi fundament, do którego odwołują się pokolenia twórców i badaczy kultury”.*

Henryk Oskar KOLBERG urodził się 22 lutego 1814 roku w Przysusze, w powiecie opoczyńskim. Był synem przybyłego do Polski z Prus w 1796 roku inżyniera kartografa, Juliusza Kolberga i urodzonej pod Warszawą Karoliny Mercoeur, pochodzącej z rodziny francuskiej.

Po kilkuletnim pobycie w Opoczyńskim Juliusz został powołany na stanowisko profesora Uniwersytetu Warszawskiego. Rodzina na trwałe związała się ze środowiskiem intelektualnym i artystycznym Warszawy. Kolbergowie zamieszkali w oficynie Pałacu Kazimierzowskiego, sąsiadując z Chopinami i K. Brodzińskim.

W latach 1823 – 1830 Oskar uczęszczał do Liceum Warszawskiego, którego dyrektorem był S.B. Linde. Uczniami tej szkoły byli także dwaj jego bracia: starszy Wilhelm, przyszły inżynier, młodszy Antoni, późniejszy malarz, oraz Fryderyk Chopin.

Równocześnie z edukacją w Liceum Oskar pobierał naukę gry na fortepianie, najpierw u T. Głogowskiego, później w latach 1824 – 1830 u F. Vettera, a także u J. Elsnera. Rok 1830 kończy młodzieńczy okres w życiu Oskara: wybucha Powstanie Listopadowe, a w 1831 roku umiera Juliusz Kolberg.

Młody Kolberg podjął pracę urzędnika, równocześnie kontynuując w latach 1835 – 1836 studia muzyczne u I.F. Dobrzyńskiego oraz u K.F. Girschnera i K. Rungenhagena w Berlinie. Po powrocie do Warszawy uczył muzyki. Początkowo wiązał swoją przyszłość z karierą kompozytorską. Oprócz liryki wokalnie-instrumentalnej w centrum jego

zainteresowań pozostawała muzyka fortepianowa. Szczególne znaczenie mają jego mazurki i kujawiaki, nawiązujące do motywów ludowych, ujęte we wczesnoromantycznym stylu „brillant”. W roku 1853 odbyła się premiera jego opery *„Król pasterzy”*. Z czasem Kolberg zarzucił twórczość kompozytorską i skierował swoje zainteresowania wyłącznie w stronę dokumentowania folkloru.

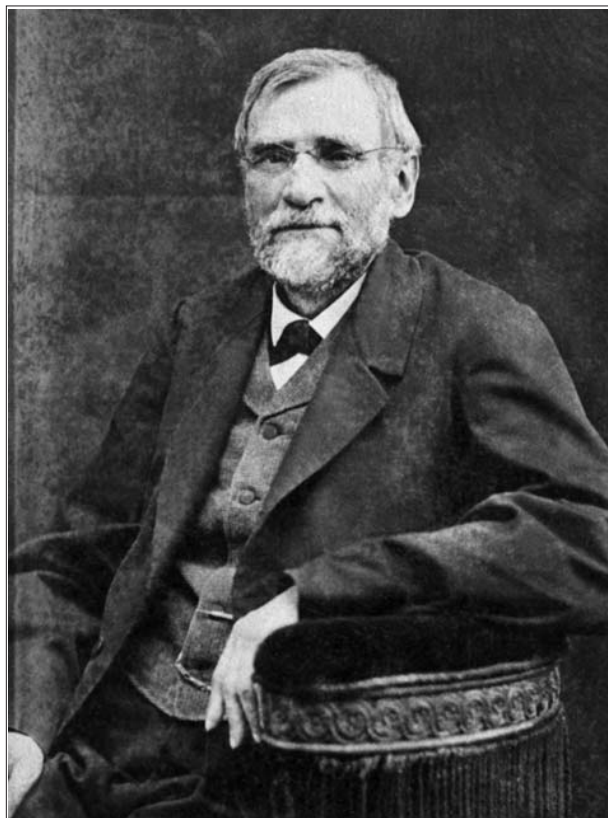
Już pod koniec lat trzydziestych zaczął zapisywać pieśni i melodie ludowe. Pierwsze wyprawy w okolice Warszawy odbywał w gronie literatów, malarzy, muzyków, m.in. J. Konopki, E. Jenikego, T. Lenartowicza, L. Norwida, W. Gersona, A. Kolberga. Do roku 1840 zgromadził kilkaset zapisów pieśni. W latach 40. wydał też pierwsze zbiory pieśni ludowych przeznaczonych do śpiewu.

Od roku 1845 przez dwanaście lat pracował jako urzędnik w zarządzie kolei żelaznej warszawsko-wiedeńskiej. Jednocześnie podjął systematyczne badania terenowe, początkowo na Mazowszu, z czasem objął nimi cały obszar dawnej Rzeczypospolitej.

Kolberg współpracował z warszawskimi czasopismami, przede wszystkim z redakcją „Biblioteki Warszawskiej”, stanowiącą w ówczesnych warunkach swoisty salon literacko-intelektualny stolicy. Był współredaktorem *„Encyklopedii powszechnej”* S. Orgelbranda, opracował dla tego wydawnictwa większość haseł poświęconych muzyce.

W roku 1857 wydał *„Pieśni ludu polskiego”*, zawierające ponad 400 ballad i tyleż melodii tanecznych. Zbiór ten, w którym muzyka ludowa podana była w formie autentycznej, bez opracowania harmonicznego, został już ówczesnie bardzo wysoko oceniony. Kolberg planował wydawanie dalszych tomów pieśni, ale w 1865 roku opracował i zaczął realizować wielki plan zebrania źródeł dla nowej dziedziny nauki – etnografii. W tym samym roku ukazała się pierwsza część jego dzieła *„Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusta, zabawy, pieśni, muzyka i tańce. Seria I. Sandomierskie”*. Odtąd konsekwentnie realizował tę nową koncepcję poprzez serie monografii regionalnych, tworzących w sumie obraz XIX-wiecznej kultury ludowej.

W latach 1867 – 1869 wydał *„Kujawy”* jako serię III i IV *„Ludu”*, traktując tym samym *„Pieśni*



Oskar Kolberg, fot. W. Rzewuski, ze zbiorów Muzeum im. Oskara Kolberga w Przysusze, za zgodą IMIT

ludu polskiego” z 1857 roku jako serię I i „*Sandomierskie*” jako serię II swego dzieła. Bezskutecznie szukał jednak wsparcia finansowego dla swego przedsięwzięcia. Brak materialnego poparcia dla edycji, sytuacja polityczna w Królestwie po Powstaniu Styczniowym oraz obietnica subwencji ze strony Krakowskiego Towarzystwa Naukowego skłoniły Kolberga do opuszczenia na zawsze Warszawy w roku 1871.

Oskar Kolberg zamieszkał pod Krakowem, najpierw w Mogilanach, u przyjaciela, towarzysza pierwszych wędrówek, Józefa Konopki, a następnie w Modlnicy we dworze Juliana, brata Józefa. Bliskość Krakowa, związek z jego środowiskiem naukowym, uzyskanie przez Galicję autonomii także w sferze nauki i kultury, stwarzały znacznie lepsze możliwości pracy, niż te, na które pozwalała sytuacja w zaborze rosyjskim.

W 1873 roku Kolberg został członkiem korespondentem Akademii Umiejętności, a następnie przewodniczącym Sekcji Etnologicznej Komisji Antropologicznej Akademii. W roku 1878 udał się na światową wystawę do Paryża. Za swe wydawnictwa, eksponowane w dziale etnograficznym pawilonu austriackiego, otrzymał brązowy

medal. Był jednym z patronów naukowych zorganizowanej w 1880 roku Wystawy Etnograficznej w Kołomyi.

Był to okres intensywnych badań w terenie oraz pracy naukowej i edytorskiej. Prowadził badania w Wielkopolsce i na Pomorzu, a także w całym zaborze austriackim od Małopolski po Podole i Pokucie (nie mógł jednak przekroczyć granic Królestwa Polskiego). Podczas pobytu w Modlnicy ukazały się kolejne tomy „*Ludu*”, m.in. „*Krakowskie*” (seria V-VIII), „*Wielkie Księstwo Poznańskie*” (seria IX-XV) i „*Lubelskie*” (seria XVI-XVII), współfinansowane przez Akademię Umiejętności.

W Modlnicy Kolberg mieszkał do jesieni 1884 roku, skąd przeniósł się do Krakowa, gdzie żył i pracował w warunkach niezwykle skromnych. Ostatnią podróż badawczą odbył w roku 1885 w Sanockie i Przemyskie. W latach 1885 – 1890 opublikował monografie: „*Kieleckie*” (seria XVIII–XIX), „*Radomskie*” (seria XIX–XX), „*Łęczyckie*” (seria XXII), „*Mazowsze*” (seria XXIV–XXVIII) i „*Pokucie*” (seria XXIX–XXXII), a także pierwszą część „*Kaliskiego*” (seria XXXIII) i „*Chetmskiego*” (seria XXXIII).

31 maja 1889 roku Oskar Kolberg obchodził jubileusz pięćdziesięciolecia pracy zorganizowany przez krakowskie środowisko naukowe i artystyczne. W lipcu tegoż roku zamieszkał w domu swego przyjaciela, a później wykonawcy testamentu, Izzydora Kopernickiego.

Zmarł 3 czerwca 1890 roku, pochowany został na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Po śmierci Kolberga z pozostawionych przez niego materiałów Kopernicki zdążył wydać drugą część „*Chetmskiego*” (seria XXXIV) i „*Przemyskie*” (seria XXXV). Na początku XX-go wieku J. Tretiak wydał jeszcze „*Wołyn*” (1907), a S. Udziela – „*Górny Śląsk*” (1906) i „*Tarnów. Rzeszów*” (1910). Reszta materiałów pozostała w rękopisach aż do podjęcia edycji „*Dzieł wszystkich Oskara Kolberga*”.

Zarówno opublikowane przez Kolberga tomy jego „*Ludu*” i „*Obrazów etnograficznych*”, jak i pozostawione w manuskryptach materiały, stanowią bezcenne źródło do dziejów kultury narodowej. Opracowaniem i wydaniem tej spuścizny zajmuje się Instytut im. Oskara Kolberga w Poznaniu. Dotychczas ukazało się 85 tomów „*Dzieł wszystkich*”.

W wykorzystano materiały z Internetu

Aleksander Bohomolec: ŻYCIODAJNA KREW

Była to starożytna szlachta Ziemi Witebskiej, od XVI wieku słynąca z męstwa i czynów rycerskich, używająca godła rodowego „Bogorya”.

A. Boniecki (Herbarz Polski, t. 1, Warszawa 1899, s. 360-361) notuje:

„Bohomolec herbu Bogorya. Senko, bojar witebski 1530 r. Iwan Semenowicz B. w województwie witebskim 1593 r. Semen Iwanowicz B. sprzedał 1633 r. część swoją Pohostyszcz bratu Grzegorzowi. Aleksander, ich brat. Samuel pisał się z województwem witebskim na elekcję Jana Kazimierza a Dymitry i Jan, pisarz grodzki witebski, na obiór Jana III. Aleksander i Jan wzięci do niewoli po zdobyciu Witebska 1654 r., i Dymitry pozostawali w niewoli w Kazaniu 1655 r. Jan podpisał elekcję Augusta II-go. Paweł Józef, stolnik, pisarz grodzki i poseł witebski, podpisał akt konfederacji warszawskiej 1733 r. Owdowiawszy został Jezuitą. Synowie jego urodzeni z Franciszki Cedrowskiej: Franciszek, Józef, Piotr, Joachim i Klemens. Synami jego byli także Jan i Ignacy, Jezuiti. Franciszek, prokurator Jezuitów prowincji mazowieckiej, wniósł do grodu czerskiego 1765 r. akt fundacji kolegium Jezuitów w Warszawie. W 1733 r. otrzymał przywilej na założenie drukarni w Warszawie. Znany z czasów Stanisława Augusta autor licznych komedii i wielu dzieł, zmarł 1784 r.

Leon, stolnik witebski 1712 r., żonaty z Krystyną Bartoszewiczówną. Józef, koniuszy witebski 1769 r. Piotr Tadeusz, stolnik witebski 1764 r., następnie pisarz ziemski witebski, podpisał elekcję Stanisława Augusta. Joachim, sędzia grodzki połocki 1785 r. i starosta boblewski. Syn jego Antoni, właściciel Wietrzyna w województwie połockim 1799 r. Piotr, kawaler orderu Św. Stanisława 1789 r. Cypryan, szambelan dworu polskiego, właściciel wsi Zalesie w województwie połockim 1799 r. Jan, Jezuita, a po skasowaniu zakonu proboszcz skaryszewski i pragski 1789 r.

Piotr Tadeusz z Dołż z Eleonory Wysznińskiej miał synów: Stanisława, marszałka szlachty powiatu witebskiego, i Romualda, marszałka szlachty guberni witebskiej. Stanisław z Doroty Felkerzambówny pozostawił: 1) Juliusza, po którym z Kotłubajówny syn Eugeniusz; 2) Antoniego, właściciela Jannmujży, żonatego z Maryanną z Kaczanowskich, z której synowie: Aleksey i Ksawery, i córka Marya; 3) Stanisława; 4) Teresę za Antonim Chelchowskim; 5) Eugenię za Michałem Nitosławskim i 6) Walentynę za Eugeniuszem Kietpsem.

Romuald z Teresy z Felkerzambów pozostawił córkę Józefę, zaślubioną 1836 r. Justynianowi Niemirowiczowi-Szczytowi, i syna Michała, który z Adeli Depret ma synów: Romualda, Filipa, Michała, oraz córki: Maryę i Adelę”.

Julian Bartoszewicz pisał o kilku przedstawicielach tego rodu:

„Bohomolcowie. Paweł i Józef Bohomolec starosta dworzycy, był najprzód deputatem na trybunał, potem pisarzem i stolnikiem witebskim, posłem po kilkakrotnie na sejmy z tegoż województwa, na koniec podziękowawszy za podkomorstwo, na które był obrany, został jezuitą i przed skasowaniem tego zakonu umarł kapłanem. Zostawił siedmiu synów, to jest Franciszka, Józefa, Jana Chryzostoma Antoniego, Piotra Tadeusza, Joachima, Klemensa, Ignacego. Z tych: Franciszek, Jan i Ignacy wstępując w ślady ojca byli jezuitami. O Franciszku, autorze sławnych w swoim czasie komedii i redaktorze Wiadomości Warszawskich to jest gazety, której w r. 1773 ustąpił Łuskinie, czytać w Życiorysach K. Wł. Wojcickiego Tom I, umarł ten uczony i dowcipny ex jezuita w Warszawie 24 marca 1784 roku, narodzony 29 stycznia 1720 r. Wstąpił w Wilnie do jezuitów 21 czerwca 1737 r. – O Janie Chryzostomie zaś, sławnym dobroczynnością proboszczu pragskim, czytać w „Kościołach Warszawskich rzymsko-katolickich”: szczegóły znajdują się w kronice kościoła pragskiego.”

Pochodzący z tej rodziny Franciszek Bohomolec urodził się 19 lub 29 stycznia 1720 roku w posiadłości rodowej pod Witebskiem, zmarł w Warszawie 24 kwietnia 1784 roku, w rozkwicie sił twórczych, przeżywszy zaledwie lat 64. Był wybitnym działaczem oświecenia polskiego w dziedzinie szkolnictwa, literatury, teatru. Studia ukończył w Akademii Wileńskiej, następnie – już jako członek zakonu jezuitów – po powrocie z Włoch rozpoczął wykłady w zakresie elokwencji na Akademii Św. Jana w Wilnie. Będąc człowiekiem wybitnie uzdolnionym, wywierał znaczny wpływ na życie umysłowe Wilna, a nawet całej Rzeczypospolitej.

Jeden z późniejszych krytyków pisał o Bohomolcu:

„On to pismami swemi zaprawdę najwięcej przed Krasickim wpływał na opinię publiczną, kierował nią i wiodł do szlachetnych celów. Bohomolec wykorzenił wiele szkodliwych przesądów, rozbudził naród ze zgubnego snu letargicznego; jemu winien język tę ogładę i czystość, jakimi zajaśniał w wieku Stanisława Augusta. Król ten rad go zapraszał na „czwartkowe obiady”.

W „Rozmowie o języku polskim” (1752) Fr. Bohomolec bronił mowy ojczystej przed dominującą łaciną, dawał wyraz przekonaniu, że w polskich szkołach powinno się nauczać po polsku, oraz, wbrew obiegowym opiniom,



Franciszek Bohomolec

dowodził, że Polacy wcale nie są przysłowiowym „stadem owiec”, lecz inteligentnym, dzielnym i pracowitym narodem. Dzięki jego staraniom język polski zdomowił się niebawem w szkolnictwie wszystkich poziomów w całej Rzeczypospolitej, a młodzież była wychowywana w duchu roztropności moralnej i szacunku dla swej ojczyzny. „Zabawy oratorskie” (1759) tego poety i pisarza odbiły się dodatkowo na procesie powolnego odradzania się w XVIII wieku poezji i – szerzej – literatury polskiej.

Wiersze F. Bohomolca cechuje elegancja, bezpośredniość, poczucie humoru, ale pobrzmiewa w nich zawsze nutka filozoficzna, jak np. w utworze pt. „O życiu szczęśliwym”:

*Powiedz mi, jaką w życiu rozkosz czujesz?
Miałeś zupełnie dzień szczęśliwy kiedy?
Jeśli się z sobą dobrze porachujesz,
Wyznasz, że nigdy nie byłeś bez biedy.*

*Czy w niskim człowiek, czy w wysokim stanie,
Czy już siwizną okryty, czy młody,
Zawsze go troska natrętna dostanie,
Różne na niego zwałając przygody.*

*W dziecinnym wieku ustawnie płaczemy,
Dorostych miłość i fortuna dręczy,
Gdy zaś sędziwych lat miary dojdziemy,
Trwoga, troskliwość i sam wiek nas męczy.*

*Ci, którzy chęciom swoim dogadzają,
W ustawnym sami z sobą żyją boju.*

*Tym zaś, co cnoty usilnie szukają,
Zazdrość i zdrada nie dają pokoju.*

*Raz bojaźń jakiejś rzeczy utracenia,
Drugi raz dręczy nas chęć jej szukania.
Błędy, sny, mary, próżne omamienia
Są celem naszej żądzy i starania.*

*Skoro zaś na tym kresie lat staniemy,
Na którym rozum zwykł się nam otwierać,
Skoro zaś prawdy poznawać zaczniemy,
Wnet kończym życie i musiem umierać.*

Jest to wiersz znajdujący się w potężnym nurcie twórczości poetycko-refleksyjnej, obecnej w wielu kulturach narodowych Europy.

Ludzie, także – a może przede wszystkim – poeci, często uciekają przed lękiem egzystencjalnym stosując znany środek „psychoterapeutyczny” – wino. Tak się stało, że i Franciszek Bohomolec niejednokrotnie wracał do tego „wdzięcznego tematu”. W „Pochwale weselości”, mającej podtytuł „Do wina”, pisał:

*Ten mym zdaniem dobrze żyje,
Ten na długie lata godzi,
Kto pod miarą winko pije
I piosnkami troski słodzi.
Po szklaneczce do piosneczki.
Po piosneczce do szklaneczki.*

*Ustępuje wnet frasunek,
Znika serca utrapienie,
Skoro usta czują trunka,
A uszy wesole pienie.
Po szklaneczce do piosneczki.
Po piosneczce do szklaneczki.*

*Aleksander tak żył Wielki
Skoro umilkła Bellona,
Przynoszono mu butelki,
Przy nich szły śpiewaczek grona.
Po szklaneczce do piosneczki.
Po piosneczce do szklaneczki.*

*Tak czynił i nasz Batory,
Miłośnik uczonych hojny:
Lubił piosnki i likwory,
Nawet podczas trudów wojny.
Po szklaneczce do piosneczki.
Po piosneczce do szklaneczki.*

*Precz posępne mędrców czoła,
Naukom zły humor szkodzi;
Milsza jest mądrość wesola,
Wino dobre myśli rodzi.
Po szklaneczce do piosneczki.
Po piosneczce do szklaneczki.*

*Pitagor muzyki brzmieniem
Z przywar serce swe wybawił,
A Diogenes beczki cieniem
I siebie i drugich bawił.
Po szklaneczce do piosneczki.
Po piosneczce do szklaneczki.*

*Powraca nauk wiek złoty,
Pracujących pan posila;
Pan dodaje nam ochoty;
Czwartek dla nas złota chwila.
Po szklaneczce do piosneczki.
Po piosneczce do szklaneczki.*

*Trudy rozkosz nie przeplata,
Umiejmy czas dobrze trawić,
Bodajbyśmy w setne lata
Tak się mogli jak dziś bawić.
Po szklaneczce do piosneczki.
Po piosneczce do szklaneczki.*

Tenże wątek podjął F. Bohomolec w jednym z najśłynniejszych wierszy bakchicznych w literaturze polskiej zatytułowanym „Kurdesz nad kurdeszami”, który też jest od ponad dwóch wieków wykonywany jako pieśń towarzyska.

*Każ przynieść wina, mój Grzegorzu miły,
Bodaj się troski nigdy nam nie śniły.
Niech i Hanulka zasiądzie tu z nami,
Kurdesz nad kurdeszami.*

*Skoro się przymknie ręka do butelki,
Znika natychmiast z serca smutek wszelki.
Wołajmy tedy dzwoniąc kieliszkami:
Kurdesz nad kurdeszami.*

*Nieźle to winko! Do ciebie, mój Grzelu!
Cieszymy się, póki możemy, Przyjacielu.
Niech stąd ustąpi nudna myśl z troskami.
Kurdesz nad kurdeszami.*

*Patrzcie, jak dzielny skutek tego wina!
Już się me serce weselić poczyną.
Pod stół kieliszki, pijmy szklenicami,
Kurdesz nad kurdeszami.*

*I ty, Hanulko, połowico Grzela,
Bądź uczestniczką naszego wesela.
Nie folguj sobie, a chciej wypić z nami,
Kurdesz nad kurdeszami.*

*Już po butelce, niech tu stanie flasza.
Wiwat ta cała kompanija nasza!
Wiwat z Maciusiem i przyjaciółkami.
Kurdesz nad kurdeszami.*

*Maciuś jest partacz, pić nie lubi wina,
Milsze jest jemu złoto i dziewczyna.
Dajmyż mu pokój, pijmy sobie sami,
Kurdesz nad kurdeszami.*

*Odnówmy przodków ślady wiekopomne,
Precz stąd szklenice, naczynie ułomne!
Po staroświecku pijmy pucharami,
Kurdesz nad kurdeszami.*

*Już też to, Grzelu, przewyższasz nas wiekiem,
A wiesz, że wino jest dla starych mlekiem.
Chłystnij, a będziesz huczał z młodzikami.
Kurdesz nad kurdeszami.*

Był też ksiądz Franciszek ojcem nowoczesnej publicystyki polskiej, a jego świetne eseje udanie łączyły w sobie klarowność eleganckiego stylu z poważnymi treściami intelektualnymi.

Charakterystycznym przykładem twórczości Franciszka Bohomolca jest jego psychologiczno-poetycka miniatura pt. „Młodość”, którą warto przypomnieć tu w całości...

„Niemasz piękniejszej, ale też równie i niebezpieczniejszej rzeczy, jak młodość. Jest to róża wiosny życia ludzkiego co do piękności, ale też łatwo pogrążona być może w przepaści występku przez niewiedomość na świecie rzeczy i zbytnią swą żywiość. Jest to morze nawałnościami ustawicznie zaburzone, tysiącznych skał pełne, które każdy człowiek przebywać musi wpośród niezliczonych niebezpieczeństw, chcąc dopłynąć pożądanego portu, męskiego wieku. Jeżeli, jako niektórzy utrzymują, szczęście zawisło od imaginacji go osiągnięcia, tedy w tej porze wieku człowiek jest najszczęśliwszy, lubo podtenczas nieroztropność jego jest wielka, niewiedomość gruba, rozumienie o sobie śmiechu godne, rozsądek słaby, uwagi omylne, upór niezwykły, pojętność tępa, namietności wyuzdane, a przezorność nie bardzo daleko sięgająca.

Młodość rozumie, że wszystko umie, nie chcąc się niczego dać nauczyć, i chce teorię, czyli dochodzenie rzeczy, dowcipem na końcu kłaść praktyki. Bawi się i zaprzęta fraszkami i całą głupstwu się oddaje. Nieczułość jest jej wezwłowie, a rozpusta łóżem spoczynku, występkę jej asystują, a próżność w towarzystwie z nią chodzi. Przytomne ją tylko rzeczy bawią, do przyszłych starania swego nie rozciąga, które niepewnemi być sądzi. Sama nie wie, czego żąda, ponieważ za wiatrem się uganiam. Przedsięwzięcia jej nie są stałe, gdyż nic trwałego sobie nie zakłada. Raz, wszystko co widzi, kocha, bo się na niczym nie zna; drugi raz wszystko nienawidzi, bo nie przywykła uwagi czynić, co dla niej byłoby męką.

Nakoniec, mimo tego wszystkiego, szczęśliwy, kto młodość swoją w uczeniu się mądrości przepędza, w przyłożeniu pilności do nauk, które ona podaje, i ćwiczeniu się w cnocie, gdyż taki nieochybnie zachowa w starości wiele

uciech swej młodości. Włosi mówią, że ten kto sobie życzy być starym, trzeba aby wcześniej starzeć się zaczynał; i że rozpustna młodość przywodzi starość chorowitą i niedołężną. Kończę ten artykuł wierszami:

W czasie młodości myśl płocha
W uciechach się tylko kocha;
A zaś w dojrzałym wieku i starości,
W inne się wprzęgą człowiek namiętności.

Tak w sen ze snu idąc, błędu
Niewolnik, bez prawdy względu
Stawa nakoniec u wieczności bramy!
Pono i my się tamże zmykamy.
Łóżmyż, co nam zbywa, złoty
Czas, na poprawę ślepoty!”

Lubił Fr. Bohomolca i cenił jego talent król Stanisław August Poniatowski, jak zresztą i szereg innych osobistości tego wieku. Ignacy Krasicki w jednym z listów tak pisze o Bohomolcu:

„Nie była dziką cnota jego: używał się towarzystwu i wielce miły w posiedzeniu dobranych przyjaciół, umiał łączyć wesołość żywą z przykładnością nienagannego życia. Nie nadęty czczym pozorem mędrzec, ani gardził dobrym imieniem, ani się o jego zbyteczność starał, i choć urodzenie, przymioty i wziętość dawały mu sposobność do wzniesienia się, obrał sobie mierność i w tej trwał do śmierci. Umierając, małość zbioru swojego poświęcił nieszczęśliwym; tży słodkie wdzięczności uwielbiać będą pamięć jego.”

W pamięci potomnych Franciszek Bohomolec pozostaje przede wszystkim jako autor ciętych i wciąż aktualnych komedii: „Pijacy”, „Małżeństwo z kalendarza”, „Pan dobry”, „Staruszkiewicz”. Były to, co prawda, utwory powstałe pod wpływem francuskiej kultury literackiej – wówczas cała Europa znajdowała się pod tym wpływem. Dzięki jednak realiom i imionom polskim cieszyły się te sztuki dużym powodzeniem i wpływały na kształtowanie się światlejszej i rozumniejszej, niż zwykle w Polsce, opinii publicznej.

Książd Wł. Wójcicki pisał:

„Bohomolec miał świetne dni sławy i popularności w kraju: późniejsze znakomitości literackie w cień przeszłości usunęły szanowną postać tego męża. Sprawiedliwa potomność, umiejąca oceniać sumiennie zasługi każdego pracownika na polu umysłowym, ze czcią zawsze wspominać będzie imię Bohomolca.”

Nie wypada tej przemyślanej opinii obalać, jest ona bowiem sprawiedliwa.

Do tejże rodziny należał Jan Bohomolec (1724-1795), brat Franciszka, który ukończył studia matematyczno-astronomiczne w Pradze, a następnie kilkadziesiąt lat profesorował w warszawskim Collegium Nobilium; zasłynął jako autor poczytnych broszur popularnonauko-

wych pt. „Prognostyk zły czy dobry komety” (1770) oraz „Diabeł w swej postaci” (1772).

Reprezentantem ukraińskiej gałęzi rodu był Aleksander Bohomolec, wybitny patofizjolog, autor szeregu fundamentalnych prac naukowych z zakresu fizjologii i patologii wegetatywnego układu nerwowego, endokrynologii, transfuzji i konserwowania krwi, onkologii, a także poświęconych zagadnieniom reaktywności, diatezy, gerontologii, roli tkanki łącznej w immunitecie itd.; prezydent Akademii Nauk Ukrainy w latach 1930 – 1946, wiceprezydent Akademii Nauk ZSRR od 1942 do zgonu 19 lipca 1946. Aleksander Bohomolec był też rzeczywistym lub honorowym członkiem m.in. Akademii Nauk Białorusi, Gruzji. Zasłynął w świecie przede wszystkim z dość udanych prób przedłużenia życia ludzkiego przy pomocy wynalezionej przez siebie surowicy „ACS” (antyrektykularna cytotoksyczna surowica).

Ten wybitny uczony urodził się 12 maja 1881 roku w inteligenckiej rodzinie o szlacheckich korzeniach. Ojciec przyszłego profesora był lekarzem, matka Zofia (też szlacheckiego pochodzenia) za udział w ruchu antycarskim została skazana na dziesięć lat katorgi. Syna urodziła przebywając w więzieniu Łukjanowskim w



Olek Bohomolec z ojcem przed wyjazdem na Sybir, na spotkanie z mamą. Kijów, 1890 – 1891

Kijowie. Zmarła na gruźlicę na syberyjskiej katordze w 1892 roku, tuż przed zakończeniem okresu odbywania kary. Jej syn Olek miał wówczas dziesięć lat.

Nauki gimnazjalne młody człowiek pobierał w rodzinnym mieście, studia natomiast odbył w latach 1901 – 1906 na wydziale lekarskim Uniwersytetu Noworosyjskiego w Odessie. Podczas studiów i w pierwszych latach pracy naukowej na tymże Uniwersytecie Noworosyjskim młody człowiek miał za nauczycieli wybitnych uczonych, zasłużonych dla nauki polskiej, ukraińskiej i rosyjskiej: W. Podwysockiego, L. Tarasiewicza, M. Uszyńskiego, którzy też bardzo życzliwie traktowali A. Bohomolca, gdy bronił swej rozprawy doktorskiej *„Zagadnienie mikroskopicznej budowy i fizjologicznego znaczenia nadnerczy w zdrowym i chorym organizmie”*. Po kilku latach praktyki lekarskiej, łączonej z pracą naukową został mianowany w 1911 roku profesorem katedry patologii ogólnej Uniwersytetu Saratowskiego, które to funkcje pełnił przez czternaście lat.

W latach 1925 – 1931 A. Bohomolec zajmował posadę profesora wydziału medycznego 2-go Uniwersytetu Moskiewskiego, a jednocześnie (1928 – 1931) dyrektora Instytutu Hematologii i Transfuzji Krwi.

Wyrażenie „życiodajna krew” ma nie tylko obiegowe, ale i prawdziwe znaczenie, gdyż to właśnie ona rzeczywiście jest substancją podtrzymującą życie. Nieustannie krąży w całym organizmie, dostarczając każdej żywej komórce pożywienie potrzebne do wytworzenia energii, a także budulec do rozrostu i regeneracji tkanek. Krew spełnia także funkcję służb oczyszczających, usuwając z komórek wszystkie odpady, a zwłaszcza dwutlenek węgla będący produktem ubocznym spalania substancji odżywczych w obecności tlenu w celu uzyskania energii. „Życiodajna substancja” spełnia także trzecią funkcję sił obronnych organizmu, niszcząc lub unieszkodliwiając bakterie i inne zarazki z zewnątrz. System naczyń krwionośnych człowieka ma długość sto kilometrów, a w ciągu doby przepływa w nim do 14 ton krwi.

Teozof Rudolf Steiner twierdził, że we krwi znajdują się płytki będące nośnikami informacji o pracy całego organizmu, poszczególnych jego ogniw, a nawet danych o świecie zewnętrznym. Potoki krwi niosą ku sercu to, co potem staje się naszym „ja”. Jeśli w całości zastąpić krew jednego człowieka krwią innego, następuje kompletna metamorfoza fizyczna i psychiczna. Erytrocyty gromadzą informacje o funkcjach organów wewnętrznych, która jest odczytywana przez serce, będące organem myślenia i czucia. Według Steinera to właśnie serce „magazynuje” uczucia przyjaźni i miłości, a we współpracy z mózgiem tworzy i określa całokształt i typ osobowości.

Krew to około 1/14 ciężaru ciała. Jej ilość w organizmie zależy od wielkości człowieka. Mężczyźni mają jej średnio 5 litrów, kobiety odrobinę mniej. Około 45% objętości krwi to różnorakie wyspecjalizowane

komórki, każda przeznaczona do spełniania innego celu. Najważniejszymi z nich są ciała czerwone, czyli erytrocyty, i ciała białe, czyli leukocyty.

Są one zanurzone w substancji zwanej plazmą. Organizm każdego człowieka zawiera tylko niecałe 3 litry tej klejącej, jasnobursztynowej cieczy, składającej się w większości z wody oraz protein, soli i glukozy. Jej głównym zadaniem jest przenoszenie białych i czerwonych krwinek. Większość składników odżywczych z pożywienia przenika do krwi przez ściankę jelita cienkiego; następnie niektóre mogą zostać skierowane bezpośrednio do komórek, inne muszą zostać poddane obróbce chemicznej w wyspecjalizowanych „fabrykach” – wątrobie i innych gruczołach – zanim staną się pożyteczne dla organizmu. W obu przypadkach transport odbywa się przez układ krwionośny.

Krew krąży wokół organizmu w zamkniętym systemie rur, czyli naczyniach krwionośnych, tętnicach, żyłach i naczyniach włosowatych. Tętnice i żyły nie przepuszczają wody. Jednak woda, cukry, kwasy tłuszczowe i inne składniki chemiczne są w stanie przeniknąć do tkanek przez ścianki maleńkich naczyń włosowatych, które pozwalają także krwi przepłynąć z tętnic do żył.

Woda przecieka z powrotem do naczyń włosowatych w takim samym tempie, jak je opuszcza; zatem jej całkowita objętość nie ulega zmianie. Ta powracająca z komórek woda przynosi ze sobą uboczne produkty działalności komórek, przeznaczone do wydalania. Krew jest nieustannie „filtrowana” przez nerki, które wydobywają z niej niepotrzebne substancje (ostatecznie wydalane wraz z moczem).

Cząsteczki białka w plazmie są zbyt duże, żeby przecisnęły się przez ścianki naczyń włosowatych. Występują w 3 rodzajach: albumina, globulina i fibrynogen. W największej ilości występuje albumina, której zadanie polega na utrzymaniu ciśnienia osmotycznego krwi. Ciśnienie to – działające w przeciwnym kierunku do ciśnienia wytworzonego przez serce – wciąga do naczyń włosowatych wodę i uboczne produkty przemiany materii przed powrotną podróżą krwi przez żyły do serca.

Przeciwciała, wyspecjalizowane związki chemiczne neutralizujące zarazki, składają się z białek zw. gammaglobulinami. Są produkowane w śledzionie lub naczyniach limfatycznych i nie przestają krążyć we krwi po zlikwidowaniu pierwszej inwazji, dzięki czemu organizm staje się odporny w razie kolejnego ataku. Fibrynogen, który jak albumina powstaje w wątrobie, jest ważnym elementem procesu krzepnięcia krwi.

Kolor czerwonych krwinek pochodzi od pigmentu zw. hemoglobina. Każda komórka ma około 7,2 mikrona (jedna trzysiatysięczna cała) przekroju i jest kształtu okrągłej poduszeczki z wgłębieniem po każdej stronie. Hemoglobina wychwytuje tlen w płucach i przenosi go do każdej komórki organizmu, gdzie zmienia kolor z jaskrawoczerwonego na ciemnoczerwony bądź szkarłatny. Następnie zabiera niepotrzebny dwutlenek węgla i transportuje go do płuc, skąd zostaje usunięty podczas

wydechu. Czerwone krwinki są produkowane w szpiku kostnym, ich życie trwa od 3 do 4 miesięcy. Jest ich tak wiele, że co sekundę zostaje rozłożonych pięć milionów erytrocytów. Zostają rozłożone na czynniki pierwsze, z których część przydaje się do budowy nowych komórek.

Zbyt mała ilość krwinek czerwonych w organizmie może prowadzić do wielu chorób, ogólnie określanych jako anemia. Organizm nie jest w stanie wyprodukować nowych erytrocytów bez odpowiedniej ilości żelaza, a chociaż większość ludzi posiada dostateczne zapasy tego pierwiastka, wolny, ale nieprzerwany wpływ krwi – na przykład przy wrzodzie żołądka – może wywołać anemię. Kobiety są bardziej skłonne do anemii niż mężczyźni – częściowo z powodu bardzo obfitych krwawień miesięczkowych lub w okresie ciąży, kiedy matka dostarcza żelaza rozwijającemu się w jej łonie dziecku.

Białe krwinki zwane są inaczej leukocytami, a miejscem ich produkcji jest także szpik kostny. Mają kształt kulisty, są nieco większe od czerwonych, a ich funkcja polega na ochronie organizmu przed infekcjami. Istnieją dwa główne rodzaje leukocytów: granulocyty, zwane tak dlatego, ponieważ składają się z wielu małych granulek rozproszonych w ich komórkach, i limfocyty, które również powstają w śledzionie i układzie limfatycznym. Granulocyty atakują napastników takich jak bakterie w ten sposób, że je otaczają i pożerają. Są siłami przeznaczonymi do natychmiastowej obrony, zawsze gotowe do działania i zdolne do szybkiego rozmnażania się w razie infekcji lub uszkodzenia ciała. Limfocyty przypominają bardziej defensywny system rozpoznania – ich reakcja zabiera więcej czasu gdyż muszą przejść proces adaptacji, zanim zaczną obronę. Limfocyty zajmują się produkcją przeciwciał. Białe krwinki wędrują swobodnie przez ścianki naczyń włosowatych – wiele z nich można spotkać w tkankach, które swoje zdrowie zawdzięczają właśnie tym komórkom.

W razie choroby lub uszkodzenia organizm produkuje nawet trzy do czterech razy więcej białych krwinek. Badanie krwi bywa pomocne w postawieniu właściwej diagnozy. Niewielka próbka krwi zostaje zbadana w laboratorium w celu stwierdzenia rodzaju i ilości występujących w niej komórek, na przykład dokuczliwy ból brzucha może zwiastować niestrawność albo zapalenie wyrostka robaczkowego. Jeśli morfologia krwi stwierdzi obecność znacznej ilości białych krwinek, ta druga możliwość staje się bardziej prawdopodobna. Badanie krwi przydaje się też do sprawdzenia poziomu hemoglobiny. Współczesne mikroskopy o dużej mocy są w stanie zbadać, czy komórki nie wykazują pewnych fizycznych nieprawidłowości. Czasami można w ten sposób stwierdzić występowanie ropy. Jest to mieszanina martwych białych krwinek i wchłoniętych przez nie mikroorganizmów. Białe ciała krwi mogą się także rozpaść i usunąć z organizmu nieożywione ciała obce, nawet tak duże jak kolec czy drzazga. Jeśli powstanie zbyt wiele białych krwinek, efektem bywa choroba nowo-

tworowa zwana białaczką. Szpik kostny jest bardzo wrażliwy na trucizny i promieniowanie, więc każdy z tych czynników upośledza produkcję białych i czerwonych krwinek, doprowadzając do niebezpiecznej, choć rzadkiej choroby, anemii aplastycznej.

Jeśli układ krwionośny zostanie uszkodzony, nastąpi krwotok wewnętrzny albo zewnętrzny. Piętnastoprocentowe zmniejszenie objętości krwi nie powoduje poważnych problemów zdrowotnych, większy upływ może zagrozić życiu. Powolna, ale stała utrata krwi prowadzi do anemii. Gwałtowny krwotok wywołuje szok, ponieważ ciśnienie krwi spada tak bardzo, że krew przestaje dopływać do serca.

Organizm jest wyposażony w mechanizm powodujący krzepnięcie. Szpik kostny produkuje małe, wyspecjalizowane komórki, zwane płytkami krwi, mniejsze nawet od czerwonych krwinek. Jeśli jakieś naczynie krwionośne zostanie uszkodzone, płytki gromadzą się w tym miejscu i przyklejają się jedna do drugiej i do brzegów rany. W ten sposób powstaje tama dla dalszego krwotoku.

Przyklejając się do siebie płytki krwi wydzielają substancje, które kontynuują proces krzepnięcia – podobne zadania spełnia sama uszkodzona tkanka. Płytki wydzielają także hormon serotoninę, powodujący zwężanie naczyń krwionośnych, co zmniejsza upływ krwi.

Krzepnięcie zachodzi wtedy, kiedy fibrynogen, jedno z białek zwykle rozpuszczonych w plazmie, zostaje pobudzone przez płytki krwi do przekształcenia się w nitki nierozpuszczalnego białka, fibrynę. Fibryny ząbają się wokół komórek krwi, tworząc półpłynną masę. Następnie płatnina nitek zaciska się wydzielając przezroczysty żółty płyn zwany surowicą i tworząc twardy skrzep. Po ustaniu krwawienia, krew powraca do normalnej objętości w ciągu kilku godzin, ale kilka tygodni musi minąć, zanim odnowią się wszystkie komórki krwi.

Najbardziej znanym zaburzeniem krzepliwości krwi jest hemofilia, choroba dziedziczna. Chorują na nią wyłącznie mężczyźni, chociaż kobiety mogą być nosicielami i przekazywać ją swoim synom. Wielu ludzi słyszało o hemofilii w związku z brytyjskim rodem królewskim i cesarskim rodem Rosji – chorowało na nią dziesięciu książąt potomków królowej Wiktorii oraz syn ostatniego monarchy rosyjskiego Mikołaja II – jednak występuje bardzo rzadko; chory bywa jeden chłopiec na dziesięć tysięcy.

Hemofilię wywołuje brak jednego z czynników krzepliwości krwi, białko plazmy zwane globuliną antyhemofilową albo czynnikiem VIII. Najmniejsze skaleczenie może doprowadzić do trudnego do opanowania krwotoku, a chorzy często mają krwotoki wewnętrzne bez wyraźnej przyczyny. W przeszłości większość hemofiliaków umierała w dzieciństwie. Dzisiaj otrzymują transfuzje krwi i zastrzyki brakującego czynnika uzyskanego z plazmy i prowadzą normalne życie. Tragiczny spłot wydarzeń sprawił, że zanim rozpoczęto badania oddawanej przez dawców krwi na obecność wirusa HIV, niektórym chorym na



Aleksander Bohomolec

hemofilię wstrzykiwano krew lub czynnik VIII zarażone śmiertelnościami wirusem.

Krew każdego człowieka należy do określonej grupy. Podział na grupy odbywa się na podstawie chemicznego składu cienkich ścianek czerwonych krwinek. Choć istnieje kilka różnych systemów klasyfikacji, najczęściej używany jest podział wprowadzony w 1900 roku przez Karla Landsteinerja. Podział ten wyróżnia cztery grupy: A, B, AB i O.

Ustalenie grupy krwi ma szczególnie istotne znaczenie, jeśli pacjentom potrzebna jest transfuzja krwi. Choć niektóre rodzaje krwi można bez skutków negatywnych podawać ludziom, w których żyłach płynie krew innej grupy, w niektórych przypadkach mogą wystąpić niepożądane reakcje. Wtedy własna krew pacjenta uznaje nową za obcą z powodu jej innego składu chemicznego i zaczyna niszczyć czerwone krwinki, jak gdyby były atakującymi bakteriami.

W 1940 r. Landsteiner rozwinął klasyfikację grup krwi odkrywając system Rh. Obejmuje on 6 czynników, z których najważniejszym jest czynnik D. Czerwone krwinki u 85% populacji ludzkiej mają czynnik D (Rh dodatnie). Pozostałe 15% ludzi nie ma czynnika D, stąd mają ujemne Rh. Jeśli osoba mająca czynnik Rh- otrzyma na drodze transfuzji krew z czynnikiem dodatnim, jej własna krew rozpozna czynnik D jako substancję „obcą” i zacznie

produkować przeciwciała w celu zneutralizowania go. Podczas pierwszej transfuzji przeciwciała powstają zbyt wolno i nie powodują większych kłopotów, ale dana osoba nabywa trwałą odporność na czynnik D. Przy kolejnej transfuzji krew szybko tworzy przeciwciała, by zniszczyć obce komórki.

Szczególnie zagrożone są kobiety z Rh-. Grupy krwi i czynnik Rh jest dziedziczny. Jeśli kobieta z Rh- i mężczyzna z Rh+ poczną dziecko, może ono mieć czynnik dodatni.

Ponieważ komórki krwi są za duże, by przemieścić się z organizmu dziecka do organizmu matki podczas ciąży, komórki z czynnikiem dodatnim płodu nie mają możliwości pobudzenia organizmu kobiety do tworzenia przeciwciał. Dzięki temu zdrowie matki nie jest zagrożone, o ile wcześniej nie miała transfuzji krwi z Rh+. Podczas porodu matka krwawi przez łożysko i część komórek dziecka może przedostać się do żył matki. W takim przypadku jej organizm wytworzy przeciwciała i nabierze ona odporność na czynnik D. Aby temu zapobiec, kobiety z Rh- otrzymują po urodzeniu pierwszego dziecka przeciwciała przeciwko czynnikowi D, co sprawia, że przestają produkować własne przeciwciała.

Opisane dwie metody podziału krwi na grupy zwykle są wystarczające, by stwierdzić, czy można przeprowadzić transfuzję, ale jeśli pozostają jakiegokolwiek

wątpliwości, próbka krwi pacjenta i krwi dawcy zostają skrzyżowane w laboratorium.

Można było to osiągnąć dzięki badaniom i odkryciom wielu lekarzy i naukowców, w tym profesora Aleksandra Bohomolca.

Od około 1930 roku uczony intensywnie opracowywał – jako jeden z pierwszych uczonych europejskich – również temat stosunku wzajemnego między organizmem a guzem onkologicznym. Wówczas w środowisku lekarskim dominowało przekonanie, że jakoby rozrost wszelkiego rodzaju guzów stanowi proces autonomiczny, a więc jest niezależnym od reszty organizmu zjawiskiem patofizjologicznym. Właśnie tą „autonomicznością” usiłowano też wyjaśniać niekontrolowany rozrost komórek złośliwych. W przeciwieństwie do tego punktu widzenia profesor A. Bohomolec interpretował także organizm dotknięty nowotworem jako jedyny złożony układ i uważał, że możliwość powstania i postępowego rozwoju komórek rakowych jest mocno uzależniona od ogólnego stanu organizmu, przede wszystkim zaś od stanu jego systemu immunologicznego. Uczonemu udało się wówczas ustalić, że jeśli w organizmie powstał guz złośliwy, wywołuje to nieomal natychmiast bardzo istotne zmiany w funkcjach najważniejszych organów. Badając pod względem patoanatomicznym ciała zmarłych na raka pacjentów, Bohomolec ustalił, że np. zawsze są w nich zwiększone nadnercza, timus natomiast, czyli gruczoł w dużym stopniu odpowiedzialny za obronne reakcje organizmu, jest zawsze znacznie zmniejszony, a więc albo jego poprzednie osłabienie umożliwiło atak choroby, albo też został on dotkliwie zużyty na skutek wzmoczonej walki z komórkami złośliwymi. To trzeba było wyjaśnić. Przeprowadzono więc liczne doświadczenia laboratoryjne na zwierzętach, które pozwoliły ustalić, że każde oddziaływanie na organizm (np. bólem, zimnem, toksynami, agresją werbalną itp.) powoduje obok wyspecjalizowanej reakcji ochronnej (np. uderzenie powoduje odruch pocierania miejsca bolącego, zatrucie – wymioty itp.) także reakcję gruczołów wewnątrz organizmu. Reakcja ta nie jest specyficzna, to jest nie jest zróżnicowana w zależności od charakteru negatywnego oddziaływania zewnętrznego, ale skierowana jest ogólnie przeciwko każdemu uszkodzeniu, a ma na celu przywrócenie ogólnej równowagi organizmu. A. Bohomolec równocześnie z kanadyjskim uczonym Hansem Selye ustalił, że podstawowym gruczołem w tym systemie obronnych reakcji organizmu na stres jest przysadka mózgowa, gruczoł mieszczący się w czaszce w okolicy kostnego zagłębienia nazywanego siodłem tureckim. Od niego zależy długi szereg obronnych odruchów organizmu, tylko przednia jego część syntetyzuje sześć ważnych hormonów, od których zależy całokształt wydzielania wewnętrznego i które wywierają regulujący wpływ na funkcjonowanie wielu organów i tkanek. Gdy w organizmie powstają jakieś istotne naruszenia (np. zjawiają się komórki złośliwe), funkcje przysadki mózgowej zostają

zakłócone. A. Bohomolec zadał więc sobie pytanie, czy wzmocnienie funkcji tego gruczołu nie spowoduje wyhamowania rozrostu tkanek złośliwych. Okazało się, że tak, że w ten właśnie sposób można również (obok stosowania innych metod) zwalczać rozrost guza onkologicznego. Natomiast ogólne wzmocnienie organizmu i usprawnienie jego funkcji np. dzięki zdrowemu trybowi życia, racjonalnemu odżywianiu, uprawianiu sportów, poniechaniu używania tytoniu i alkoholu – stanowi jeden z kamieni węgielnych zdolności organizmu do przeciwstawienia się nie tylko rozmaitym infekcjom, ale też agresji komórek nowotworowych. Toteż profesor A. Bohomolec wiele uwagi poświęcał w swych tekstach właśnie zagadnieniom zdrowego stylu życia, który prowadzi do jego wydłużenia i ulepszenia pod względem jakości. Profesor uważał, że życie ludzkie powinno naturalnie trwać 125-150 lat, przedwczesna zaś śmierć w wieku dwa razy młodszym następuje wyłącznie ze względu na niekorzystne okoliczności zewnętrzne. Wystarczy stworzyć bardziej dogodne socjalne warunki życia, a ono się samorzutnie znacznie przedłuży, twierdził uczony w książce *„Przedłużenie życia”* (Kijów 1940).

W 1930 roku rząd ZSRR skierował A. Bohomolca na Ukrainę, gdzie został wybrany na stanowisko prezesa tamtejszej Akademii Nauk, jak też mianowany dyrektorem dwóch dużych organizacji naukowych: Instytutu Biologii Doświadczałnej i Patologii oraz Instytutu Fizjologii Klinicznej, znajdujących się w składzie AN Ukraińskiej SRR, które, nawiasem mówiąc, noszą dziś jego imię.

Aleksander Bohomolec był wynalazcą szeregu nowych leków (w tym surowic przeciwzapalnych), postępowych metod leczenia i teorii naukowych, które pozwoliły wdrożyć do praktyki skuteczne sposoby leczenia ran, złamań, ciężkich schorzeń onkologicznych i innych. Badania jednak skierowane na odkrycie „eliksiru młodości”, na które Józef Stalin kazał wyasygnować ogromne sumy, nie powiodły się, a gdy uczony zmarł nie dożywszy nawet siedemdziesięciu lat, generalissimus na wiadomość o zgonie uczonego rzekł: *„Obmanuł mierzawiec!”*...

Do dziś w Rosji, Białorusi, na Ukrainie i Litwie działają liczni uczniowie i kontynuatorzy dzieła A. Bohomolca, jego zaś „szkoła” w dziedzinie patofizjologii należy do najbardziej znanych w skali międzynarodowej.

Dzieła naukowe A. Bohomolca były wielokrotnie wydawane w szeregu krajów. Trzytomowe *„Rukowodstvo po patologiceskoj fizjologii”* po raz pierwszy opublikowano w Moskwie w latach 1935 – 1937; w okresie późniejszym było ono wielokrotnie wznawiane. W latach 1956 – 1958 wydano w Kijowie *„Izbrannyje trudy”* (Rozprawy wybrane) A. Bohomolca w trzech tomach. W Rosji i Ukrainie ukazały się też książki poświęcone życiu i zasługom tego wybitnego uczonego, laureata m.in. Nagrody Stalinowskiej ZSRR (1941), kawalera dwóch Orderów Lenina i szeregu innych odznaczeń, przyznanych mu przez rząd radziecki za wybitne osiągnięcia w dziedzinie medycyny.

Dr Jan CIECHANOWICZ

Konkurs „Kresy – polskie ziemie wschodnie w XX wieku. Dramatyczne Losy Polaków na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej w latach 1943-44” został zorganizowany przez Instytut Pamięci Narodowej, Uniwersytet Papieski im. Jana Pawła II i Kuratorium Oświaty w Krakowie dla uczniów gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych w ramach Małopolskiego Programu Edukacji Patriotycznej i Obywatelskiej. Począwszy od roku 2013 Konkurs ma charakter cykliczny.

Praca Weroniki WEJSZLE „Byliśmy Polakami” została napisana specjalnie na ten Konkurs.

BYLIŚMY POLAKAMI

*Piękne dziecię, słońce moje
Widzę, jak się trzęsiesz
Ja Ci serce oddam swoje
W mych objęciach będziesz*

*Dziecię moje, kwiecie mały
Nie opowiem Ci dziś baśni
Bo już broni słyszę strzały
Więc bez tego, proszę, zaśnij*

*Ma siostrzyczko najpiękniejsza
Proszę, nie płacz dłużej
Mamy nie ma, taty nie ma
Acz jest Bóg na górze*

*Podejdź tu wnet, ma dziecino
Łez twych ślady otrę
Ciała, a nie dusze zgina
Słyszysz marsz za oknem*

*Wiem, że brak Ci jest matuli
Bierz więc z lica mego
Anioł Stróż do snu Cię tuli
Najdłuższego, bo wiecznego*

*Krew naszą ziemia pochłonie
Kości w proch obróci
Wołyn w zbrodni dzisiaj tonie
Polska tu nie wróci*

*Zamknij oczęta swe zapłakane
Zanuć fragmenty baśni
Nie patrz na siostry ciało zbrukane
Zaśnij, kochanie, zaśnij...*

Ostrówki, 3 listopada 1990 r.

Wysiadając z autokaru miałam jedno postanowienie: chłonąć wszystkimi zmysłami to, co zastanę. Nie wiem czego się spodziewałam. W duszy zachowałam jedynie gorejącą tęsknotę za miejscem moich narodzin, miej-

scem, w którym się wychowałam, dojrzałam, z którego musiałam uciekać. Niech Bóg ma mnie w swej opiece, jeśli to źle, że tyle razy chciałam tu wrócić!

I wróciłam. Stałam na piaszczystej drodze, ściskając różaniec między palcami. Oczy miałam zamknięte; może próbowałam sobie przypomnieć każdy detal tego miejsca, nim je zobaczę, a może po prostu się bałam, że gdy rozchylę powieki, będę znów w swoim mieszkaniu w Krakowie. Zrobiłam krok do przodu, mocno zaciągając się tutejszym powietrzem.

Mieszkaliśmy blisko lasu, w dużym, wspaniałym gospodarstwie pełnym malinowych krzewów i biegających kur. Każdego ranka budziło nas pianie koguta, który – mimo sędziwego wieku – był głośny jak żaden inny. O świcie biegłam po jajka, mama doila krowę, a tata wychodził do pracy, upijając kilka łyków zbożowej kawy. Uwielbiałam poranki. Uwielbiałam patrzeć jak wszystko budzi się do życia, jak kolejni sąsiedzi wychodzą przed swoje domy, jak leniwe koty przeciągają się z pomrukiem. Ostrówki były cudownym miejscem, pełnym niesamowitych ludzi, dbających o równie niesamowite ogrody i pola. Każdy miał tu coś, czym chętnie dzielił się z innymi. Pan Wilczur, na przykład, każdego lata dawał nam pełne kosze czereśni, a pani Wiśniowska robiła z naszego mleka wyśmienity ser, znany w całej wsi. Tu wszyscy byliśmy rodziną – to kochałam najbardziej. Wiele czasu spędzałam pod płaczącą wierzbą, którą mój pradziadek zasadził w ogrodzie. Była doprawdy wielka. Mogłam się pod nią schować, ale mogłam też usiąść tak, aby wszyscy mnie widzieli. Czasem wdrapywałam się na jej konary, z których obserwowałam całą okolicę i dziękowałam Bogu za życie, jakim mnie obdarzył. Za rodzinę, za sąsiadów, za czereśnie pana Wilczura i nieco oddalone ule. Za...

– Znajdujemy się na terenie polskiej wsi Ostrówki. Jest ona jednym z miejsc, w którym banderowcy dokonali masowych mordów na ludności polskiej. Liczbę zabitych Polaków szacuje się na około pięćset. Do zbrodni doszło trzydziestego sierpnia 1943 roku. Następnie wieś była stopniowo niszczone i rozbierana... – głos przewodnika nie wzbudzał we mnie emocji.

Znałam całą tę historię. Mieszkalam tu! Żyłam! Nie musiałam słuchać relacji, której byłam częścią. Zadrżałam jednak, gdy ogrom słów: „niszczona i rozbita” powoli do mnie docierał. W głowie miałam jedynie obrazy sprzed pięćdziesięciu lat; nadal nie otworzyłam oczu, tym razem z powodu braku odwagi. Jednak w końcu musiałam to zrobić.

Gdy rozchylałam powieki, moje serce biło jak oszalałe. Głos przewodnika dudnił mi w uszach, jednak zdawałam się go nie słyszeć. Właśnie stanęłam twarzą w twarz z moimi cudownymi Ostrówkami, a jedyne co widziałam, to szeroką linię horyzontu oddzielającą błękitne niebo od zielonych łąk. Ponad nią wychodził jedynie ciemny las; on jeden nadal tu stał. Po za nim – nie było nic. Żadnego gospodarstwa, ogrodu czy też pola. Moja wierzba zniknęła, tak samo jak czereśnie pana Wilczura i kolorowe ule. Na łąkach co prawda rosły kwiaty, ale zupełnie inne niż te, które rosły tu pięćdziesiąt lat temu. Gdyby nie żywa, paląca tęsknota, przez tyle czasu przypominająca mi o tym miejscu, zapewne nie pamiętałabym gdzie stał mój dom. Teraz jednak wpatrywałam się w dobrze znajomy mi punkt, który niegdyś był rodzinnym gospodarstwem mojego pradziadka i jedyne co tam widziałam – to... nic.

Właściwie nie wiedziałam, czemu tak zawiódł mnie ten widok. Przecież z relacji i opowiadań wiedziałam, co zastanę. Może po prostu nie wierzyłam w słowa innych, a może... nie chciałam uwierzyć? Teraz to wszystko nie miało znaczenia. Ostrówki zniknęły, pozostawiając po sobie łąkę, wyrosłą na polskich prochach, pojoną niewinną krwią.

Kraków, 8 grudnia 2012 r.

– Naprawdę? – moja wnuczka patrzy na mnie z wysoko uniesionymi brwiami. – Nie było nic...? Ale tak kompletnie nie? – jest zszokowana i poruszona. Nic dziwnego; po raz pierwszy słyszy tę historię. W rodzinie od dawna do tego nie wracamy.

– Naprawdę, naprawdę – powtarzam, kładąc przed nią talerz z kanapkami. – Łyse pole, zasypane chwastami. Ukraińcy zniszczyli wszystko. Ogrody. Uprawy. Gospodarstwa, które przecież stały tam od pokoleń. Ślad po Polakach nie został.

– A co zrobili z ciałami? – pyta, zainteresowana. Zdecydowanie jest zbyt dociekliwa, ale nie powiem, cieszę się, że jako pierwsza z moich wnucząt zainteresowała się tym tematem.

– Wrzucili do wykopanych dołów i zasypali – wzruszam ramionami, tym samym powstrzymując falę wspomnień. – Nie trudzili się pochówkiem. Zresztą – prychnę z ironią – po tym co zrobili, pogrzeb ofiar byłby nie na miejscu.

Weronika milczy przez chwilę. Odnoszę wrażenie, że mocno się nad czymś zastanawia. Bierze kęs kanapki i znów kieruje na mnie swój wzrok.



Weronika WAJSZLE urodziła się w Krakowie 16 czerwca 1995 roku. Od dziecka zainteresowana pisaniem – realizowała swą pasję, pisząc opowiadanie w zwykłym zeszycie. Teraz pisze dużo więcej: wiersze, artykuły, felietony, recenzje etc.

Obecnie jest uczennicą Technikum Ekonomiczno-Hotelarskiego w Krakowie na kierunku „technik obsługi turystycznej”. W przyszłości planuje studiować historię sztuki i reżyserię dramatu.

Jej pasją jest teatr, książki, pisanie i podróże. Regularnie bierze udział w konkursach literackich.

– Chciałabym, żebyś opowiedziała mi całą tę historię ze szczegółami, babciu – mówi, a ja nie odpowiadam. Mogłabym od razu przejść do opowieści, ale nie wiem czy powinnam. Chcę to opowiedzieć – umówmy się, każda osoba w moim wieku lubi, gdy młodzież chce wiedzieć, co działo się za starych, niekoniecznie dobrych czasów – a ona chce posłuchać, ale wiemy, że obu nam będzie trudno.

– Dlaczego? – pytam w końcu.

– Biorę udział w konkursie, którego tematem jest ludobójstwo na Wołyniu. Z żadnych relacji i książek nie dowiem się tyle, co od ciebie – zaskakuje mnie. Nie spodziewałam się konkursu na ten temat. Co do historii XX wieku, wszyscy mówią o Hitlerze i Stalinie, przymusowej germanizacji oraz obozach koncentracyjnych na terenie Polski. Wołyń został zapomniany.

– Dobrze – odpowiadam w końcu. – Zaparzę herbatę.

Stawiam czajnik na kuchence i opieram się o blat. Patrzę na swoją wnuczkę, układając w głowie pierwsze słowa.

– Wołyń jest krainą geograficzną położoną na Wschód od Lwowa. Początkowo zamieszkiwany był przez Rusinów, a następnie również przez Żydów, Czechów i w największej ilości Polaków. Stosunki między zamieszkującymi te ziemie Ukraińcami a polską ludnością były bardzo dobre. Na tyle dobre, że małżeństwa między jednymi a drugimi nie należały do rzadkości. Jednak w 1929 roku na terenie Ukrainy



Kościół p.w. Trójcy Świętej i Świętego Michała Archanioła. Poryck. Rys. Fircak Borys

powstała Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, która za cel postawiła sobie stworzenie niepodległego, zjednoczonego państwa, czyli tak zwaną „Ukrainę dla Ukraińców”. Za przeciwników niepodległości uważali Polaków. Przedstawiali nas jako swoich wrogów, jako jednostki zbędne, a nawet niebezpieczne. Było to przyczyną masowych mordów, których organizacja dopuściła się od 1939, aż do 1945 roku. W samym tylko 1939 zostało zamordowanych co najmniej tysiąc trzydziestu sześciu Polaków na Wołyniu i ponad dwa tysiące w Małopolsce Wschodniej. Sytuacja nieco „złagodniała” w roku 1941, kiedy to zginęło nieco ponad czterysta osób. Najwięcej ludzi wymordowali banderowcy w późniejszych latach – brzmie jak obeznany wykładowca z pierwszej lepszej uczelni.

– Skąd określenie „banderowcy”? – pyta Weronika, gdy przez chwilę milczy, parząc herbatę.

– Od nazwiska ich przywódcy, Stephana Bandery. W 1940 roku została utworzona jedna z frakcji OUN, zwana OUN-B. Była to frakcja nieformalna, jednakże odegrała największą rolę w organizacji i przeprowadzeniu ludobójstwa na terenie Wołynia. Natomiast w 1942 roku banderowcy założyli formację zbrojną, zwaną OUN-UPA, czego skrót oznacza Ukraińską Powstańczą Armię. To ona brała udział w ogromnej kumulacji mordów, które przypadły na rok 1943. Wydarzenia z tamtego roku są zwane Rzezią Wołyńską. Chyba nie muszę mówić, dla-

czego. Banderowcy masowo palili wsie. Jednej nocy potrafili zmieść z powierzchni ziemi kilkanaście polskich miejscowości, mordując przy tym tysiące Polaków, z czego większość stanowiły kobiety i dzieci...

Znów przerywam.

– Mordując... – powtarzam po chwili. – Żeby tylko! Co oni robili... Nawet... nawet nie masz pojęcia, jakim okrucieństwem się wykazali.

– Jak mordowali? – znów słyszę głos Weroniki. Wiedziałam, że o to zapyta. Wiem też, że odpowiem na jej pytanie, mimo iż myślę: „Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, dziewczyno!”.

– Och, brutalnie – odpowiadam z grozą. – Podrzynali gardła, odcinali uszy, wargi i nosy. Wylupiali oczy, rozcinali brzuchy, wsypując doń kamienie, szkło lub wlewając wrzącą wodę. Gwałcili młode dziewczyny, dzieciom rozcinali łona zostawiając je na wykrwawienie. Wieszali, podpalali żywcem. Przebijali gwoźdźce przez uszy, aż wyszły drugą stroną. Łamali szczęki i rozrywali usta. Bili narzędziami do uboju bydła. Przybijali ludzi do podłogi, a nawet wieszali na kościelnych krzyżach. Czasem byli nieco bardziej łaskawi, po prostu strzelali – nie mogąc powstrzymać ironii. – Gdy się zbliżali, człowiek nie bał się śmierci. Bał się jedynie sposobu, jakim zostanie ona zadana. Krążyła bowiem pogłoska, że zabójcy dostają nagrody za wymyślanie coraz to brutalniejszych tortur.

Wnuczka wzdryga się. Mogę zauważyć gęsią skórkę na jej ramionach.

– To straszne – mówi.

– Mimo wszystko całkiem dobrze to przyjmujesz. Mało znam ludzi, którzy są w stanie tego wysłuchać.

– Ale ja jestem. I chcę. Opowiedz mi swoją historię, babciu – mówi. Wzdycham głęboko, stawiając przed nią kubek z herbatą. Chwilę później siadam, przypatrując się dziewczynie. Chyba nie wie, na co się pisze.

– Jesteś tego całkiem pewna? To nie jest wesoła opowieść o pięknej królewnie i królewiczu, którzy żyli razem długo i szczęśliwie po tym, jak pokonali złą wiedźmę. Tu dobro nie zwycięża. Występuje w śladowych ilościach, zbyt słabe, by się obronić.

– Jestem pewna – powtarza uparcie, wiedząc, że zaraz się przełamie. – Gdybym chciała posłuchać bajek, poszłabym do kogo innego. Proszę, babciu.

Wzdycham głęboko i przymykam powieki. Widzę znajome obrazy, słyszę dźwięki, czuję zapachy i już wiem, że mogę mówić.

– O złej sytuacji Polaków na Ukrainie wiedziałam od dłuższego czasu, jednak nie miałam pojęcia o tym, jak przybrała na sile. Uświadomiono mnie dopiero w kwietniu 1943 roku...

Ostrówki, 3 kwietnia 1943 r.

Głośnie zamknięte drzwi wyrwały mnie z chwilowej drzemki. Od dwóch godzin przebywałam w swoim pokoju, rozmyślając nad wakacyjnym wyjazdem do Haliny i Wandzi Chrzanowskich – moich przyjaciółek, które obecnie mieszkały w Kutach nad Czeremoszem. Znałam je niemal od dziecka; nasze rodziny były zaprzyjaźnione. Każde wakacje w Kutach były dla mnie nie lada rozrywką.

Uniosłam głowę i podeszłam do okna. Ojcowski wóz zaprzężony w nakrapianego konia stał przed płotem, co oznaczało, że tata wrócił. Nareszcie! Uśmiechnięta ruszyłam ku schodom, aby przywitać go w kuchni. Nim jednak dotarłam do barierki, moich uszu dobiegł podniesiony głos taty. Rzadko bywał zły. Przystanęłam więc, nasłuchując.

– Wiedziałem. Wiedziałem, że to poważna sprawa odkąd odważyli się zabić księdza Majewskiego z Mielnicy. Ale nie, będzie ćmok z rady mówił, że nic się nie dzieje, że to żadne ataki. Nic, tylko grajcar brać, a o bezpieczeństwie nie myśleć!

– Nieważne teraz kto miał rację. Adamscy... Biedni, pocziwi Adamscy! – dało się słyszeć cichy płacz matki.

– Żeby tylko Adamscy. Wszyscy z Zaułka! To zaczyna wymykać się spod kontroli. Co gorsza, nic nie możemy z tym zrobić.

Nastała chwila ciszy, podczas której moje serce biło jak oszalałe. Rodzice milczeli. Nie słyszałam już nic, oprócz urywanych oddechów i ciężkich kroków. Nie wiedziałam co się dzieje. Byłam zdziwiona i zmartwiona.

O jakich atakach mówił tata? I co z Adamskimi? Czy coś się stało Czesi? Pragnąc jak najszybciej otrzymać odpowiedź, weszłam do kuchni i stanęłam naprzeciw zalanej łzami matki i czerwonego z gniewu ojca.

– Przepraszam. Usłyszałam krzyki i chciałam zobaczyć co się stało – powiedziałam od razu. – Czy wszystko w porządku u wujka Mariana i Czesi?

Nikt mi nie odpowiedział. Przynajmniej przez chwilę.

– Musimy jej w końcu powiedzieć – rzekł ojciec. Mama nie odpowiedziała. Zamiast tego ukryła twarz w dłoniach.

– Co powiedzieć? – zapytałam zmartwiona.

– Usiądź, kochanie – mężczyzna nagle złagodniał.

Wykonałam jego polecenie. Siedziałam tak, jakbym czekała na wyrok śmierci, wierząc się i podrygując z nerwów. Popatrzyłam nieśmiało na tatę.

– Niedługo uważałem to miejsce za najszczęśliwsze dla Polaków – powiedział, obserwując krajobraz za oknem. – Pięknie, przyjemnie. Przywoici ludzie. Nikt nie kiwał, ani nie kolędował. Ot, nie było się czego kucać. Takoj teraz wszystko się zmieniło.

– Co masz na myśli, tato? – zapytałam niespokojnie.

– Nie chcę paszczkować ci tu w nieskończoność, więc powiem wprost... Polacy giną. Są zabijani przez ukraińskich skurczybyków. Istny rejtach panuje na Wołyniu od jakiegoś czasu. Zamordowali księdza Majewskiego niedawno, a kilka dni temu... – urwał.

– Co? Co kilka dni temu? – byłam coraz bardziej zdenerwowana.

– Mieczysię i wuja Mariana Adamskich zabili.

Nie odpowiedziałam. Poczułam, jakby ciężki kamień spadł mi na głowę. Czysia... Moja Czysia nie żyje! I wujek! Nie do końca to do mnie docierało. Nagle brutalna rzeczywistość stała się dla mnie abstrakcją, czymś nieosiągalnym. Tata widząc, że chwilowo odpłynęłam, kontynuował:

– Na tym nie kończą się złe wieści. (Od razu oprzytomniałam.) – Ci Ukraińcy nie mordują przypadkowych, pojedynczych osób; mordują Polaków. Atakują polskie wsie i miejscowości. Nie jesteśmy już tutaj bezpieczni.

Wciągnęłam głośnie powietrze, nie chcąc uwierzyć w to, co słyszę. Patrzyłam nieprzytomnie w jeden punkt, po to, by chwilę później podnieść wzrok na tatę.

– Czy my zginiemy?

– Nie wiem – odparł szczerze. Znów nastała cisza. Chwilowa, bo zaraz kucnął przede mną i rzucił mi zaniepokojone spojrzenie. – Posłuchaj... Jest jeszcze coś.

Zerknęłam na niego.

– Twój absztyfikant, Nikołaj, jest Ukraińcem – nie musiał kontynuować, żebym wiedziała co mi powie. – Bardzo możliwe, że kiedy oni dotrą tutaj... każą mu cię zabić. Albo, że sam to robi. Nie wiadomo po czyjej jest stronie, więc...

– Nikolaï nigdy by mi tego nie zrobił – przerwałam stanowczo. Tata westchnął.

– Po prostu uważaj na siebie. Teraz nie wiemy, komu możemy ufać.

Po tych słowach nie powiedział już nic więcej. Mama również się nie odezwała. Ja natomiast wstałam i opuściłam kuchnię wychodząc na zewnątrz. Stojąc na ciemnym podwórku, rozglądałam się dookoła nieobecnym wzrokiem. W domach paliły się światła. Światła, które upewniały mnie w przekonaniu, że wszyscy mają się dobrze. Przynajmniej teraz. Ale jak długo? Przed oczami widziałam coraz to nowe twarze. Tych, co umarli, i tych, co mogli zginąć. Powstrzymując łzy, wymówiłam słowa modlitwy:

Aniele Boży, Stróżu mój! Ty zawsze przy mnie stój...

Kraków, 8 grudnia 2012 r.

– Po tej stosunkowo niedługiej rozmowie z ojcem postanowiłam: po pierwsze, porozmawiać z Nikolaïem, a po drugie – dowiedzieć się ilu Polaków już zginęło i które wsie zostały zaatakowane – mówię rzeczowo, upijając łyk herbaty.

– Dowiedziałas się? – pyta wnuczka, nie kryjąc zaciekawienia.

– Oczywiście, że tak. Jednak, gdy znałam już odpowiedzi, byłam zdania, że wołałabym ich nie poznać. Pytając ojca i Nikolaïa a także innych znajomych mi ludzi – dowiedziałam się prawie wszystkiego. Między innymi tego, że pierwszy masowy mord na ziemi wołyńskiej miał miejsce już dziewiątego lutego 1943 roku, czyli aż dwa miesiące przed moją rozmową z tatą. Wtedy to ukraińscy nacjonaliści zaatakowali kolonię Parośla, zabijając ponad sto pięćdziesiąt osób. Wyobrażasz to sobie? Od tamtej pory ofiar było znacznie więcej. Banderowcy byli coraz to pewniejsi siebie, coraz brutalniejsi, coraz bardziej pozbawieni skrupułów.

– A jak przebiegała twoja rozmowa z Nikolaïem?

– Przyjechał do mnie z miasta, kilka dni później. Wiedział o wszystkim, co się dzieje...

Ostrówki, 10 kwietnia 1943 r.

Nikolaï trzymał mnie w ramionach, głaszcząc uspokajająco moje włosy. Jak zwykle był opanowany i pełen empatii.

– Twój tato ma rację, nie budź się na niego. Ma prawo się kucać. Ty jego córka, ale i moja binia, więc nic ci z mojej strony nie grozi – powiedział. Potrzebowałam tych słów. Odrobiny ulgi i nadziei, której mogłabym się trzymać.

– Wiesz coś więcej o tym, co się dzieje? – zapytałam, unosząc głowę, by na niego spojrzeć.

– Pięć dni temu zabito dwóch duchownych. Jeden to Józef Szostak z Małych Hołob, a drugi Piotr Mojsionek z Lubieszowa, takoj nic więcej nie wiem.

– Co zrobimy, gdy tutaj dotrą?.. – ta kwestia nie dawała mi spokoju.

– Uciekniemy załom. Spokojnie, binia. Nie pozwolę cię skrzywdzić.

Nie rozmawialiśmy więcej na ten temat. Przymknęłam powieki, oddając się całkowicie małemu nasionku nadziei i marząc, aby rozkwitło.

Ostrówki, 10 czerwca 1943 r.

Zabójstwo za zabójstwem. Mord za mordem. Kostucha zbierała krwawe żniwo w coraz to większej ilości.

Dwudziestego trzeciego kwietnia 1943 roku w Janowej Dolinie zginęło sześćset Polaków.

Dobry Jezu, a nasz Panie, daj im wieczne spoczywanie...

Dwunastego maja spalono cztery wsie w powiecie sarneńskim.

Dobry Jezu, a nasz Panie, daj im wieczne spoczywanie...

Dwudziestego czwartego maja w Niemodlinach zamordowano sto siedemdziesiąt osób.

Dobry Jezu, a nasz Panie, daj im wieczne spoczywanie...

Te słowa stały się moją mantrą. Powtarzałam je codziennie po tysiąc razy. Za każdą z osób, której nie znałam, a która umarła. Codziennie coraz ciszej, coraz smutniej. Nasionko nadziei nie rozkwitło we mnie, ale również nie zginęło, mimo że tata był coraz bardziej przygnębiony a mama coraz chudsza. Sąsiedzi coraz bardziej podejrzliwi a ja coraz bardziej przestraszona.

Ojciec miał rację. Wśród zaprzyjaźnionych Ukraińców znaleźli się tacy, co porzucili Polaków, przechodząc na stronę wroga. Słyszałam o mężach mordujących żony i żonach mordujących mężów. Nie mogłam im mieć tego za złe; w pewien sposób ratowali własne życie. Tylko co to było za życie ze świadomością, że zdradzili ukochane osoby?

Byli też tacy, którzy pomagali Polakom. Ukrywali ich w swoich piwnicach i stodołach, organizowali ucieczki i okłamywali banderowców, często z tego powodu ginąc. Oni również pielęgnowali moją nadzieję, mimo iż teraz życie wydawało się być najdelikatniejszym z motyli, lecącym między płomieniami.

Poryck, 11 lipca 1943 r.

Tata powiedział, że powinniśmy z mamą odpocząć. Zawiózł nas obie do Porycka, do swojej siostry, abyśmy wraz z nią wyprawiły urodziny jej syna. Przyjęłam ten wyjazd z entuzjazmem. Mimo iż kochałam Ostrówki, chciałam opuścić je choć na chwilę. Mama zresztą też. Musiałyśmy odetchnąć, zająć się czymś, zapomnieć. Ciotkę bardzo ucieszył nasz przyjazd.

Jednak nie dane nam było cieszyć się długo.

Niedzielnego poranka udaliśmy się do kościoła. Był piękny, słoneczny dzień. Humory nam dopisywały. W

końcu Staś kończył już dziesięć lat. Tak mało było powodów do świętowania, że każdy najmniejszy zdawał się być idealny. Mszę prowadził ksiądz Szawłowski. Uwielbiałam jego kazania. Zawsze gdy byłam w Porycku, z chęcią chodziłam na msze, wiedząc, że znów usłyszę piękne słowa pełne uświęconej Bożej łaski.

Spokojną melodię organów przerwał huk.

Witraże przy wejściu do kościoła rozsypały się w drobny mak wraz z kawałkiem ściany. Kilka osób upadło, przysypanych gruzem. W kościele zawrzało. Jedni krzyczeli, inni cofnęli się gwałtownie, ja natomiast odwróciłam głowę w stronę wejścia. Co się dzieje? Nie tylko ja zadawałam sobie to pytanie.

Coś małego wleciało do środka i... BUM!

Granat trafił prosto w tylne ławki. Około dwudziestu osób upadło na ziemię. Nie byłam w stanie określić czy żyją, czy nie. Żadna z nich nie wstała. Mama złapała mnie za rękę i pociągnęła w bok. Wszyscy zaczęli uciekać w popłochu ku bocznym drzwiom i zachrystii, jednak nim wyszli, kolejny granat trafił w sam środek tłoczących się ludzi. Krzyknęłam przerażona, wśród dymu widząc zakrwawione twarze umierających.

Nie miałam pojęcia, co się dzieje. Przestraszona stałam w miejscu, wśród tłumu ludzi nie wiedzących co ze sobą zrobić.

– Schowaj się! – krzyknęła mama. Popatrzyłam na nią ze strachem.

– A ty?.. Chodź ze mną, przecież nie możesz tu zo...

– Powiedziałam, schowaj się! – krzyknęła jeszcze głośniejszym, tonem nie znoszącym sprzeciwu. Przestraszona cofnęłam się i uciekłam, szukając miejsca, gdzie pozostałabym niezauważona. Kilka sekund później wskoczyłam do wnęki przy bocznej nawie, tuż za konfesjonalem. Wzrokiem szukałam mamy, Stasia lub cio... Odruchowo zatkałam dłonią usta, gdy moim oczom ukazał się straszny widok. Ciocia leżała na ziemi z głową zalaną krwią. Oczy miała zamknięte, klatka piersiowa pozostała w bezruchu, a to znaczyło, że... Do oczu napłynęły mi łzy. Nawet nie zauważyłam, kiedy zaczęłam się trząść. Mama! Gdzie mama? Bombardowanie granatami ustało. Do kościoła weszło kilkunastu mężczyzn z bronią w ręku. Moje serce zabiło mocniej.

Nagle wszystkie elementy układanki złożyły się w całość i już wiedziałam kim są owi ludzie. Wiedziałam też czego chcą: naszej śmierci.

A więc teraz nadszedł ten czas, pomyślałam. To dzisiaj zgine.

Moje oczy chaotycznie rozglądały się na wszystkie strony. Widziałam roztrzaskane ławki, rozbite szyby, biały tynk, gruz, leżących ludzi i krew. Usłyszałam strzał. Jeden, drugi, trzeci. A potem głucho uderzenia ciał o posadzkę. Wcisnęłam się mocniej we wnękę, czując, że serce wyskoczy mi z piersi. Nagle ujrzałam Stasia schowanego za organami. Zaciskał mocno powieki, zwinęty w kłębek. Był ledwie zauważalny.

– Nie! – moich uszu dobiegł histeryczny krzyk. Spojrzałam na środek kościoła. Na kolanach klęczała brudna od krwi dziewczyna. Twarz miała czerwoną, wykrzywioną bólem i cierpieniem. Z oczu płynęły jej łzy. – Zabiliście, zabiliście ich... – wypłakała. – Zabiliście moją matkę, zabiliście mojego ojca, zabijcie... zabijcie więc i mnie.

Patrzyłam jak rozkłada ramiona. Słyszałam ironiczny śmiech i strzał. Widziałam jak pada na podłogę. Grymas bólu zniknął z jej twarzy i już nigdy miał nie powrócić.

Niedługo potem strzały ustały. Usłyszałam kroki, a potem nastała cisza. Trzęsąc się jak osika, wyszłam z wnęki. To, co zastałam sprawiło, że prawie zwymiotowałam. Posadzkę stanowiła płaskorzeźba ciał umalowanych polskimi barwami: białą od tynku i czerwoną od krwi. Wszystkie okna były wybite i wszystkie ławki połamane. Rozglądałam się między gruzami i wtedy ją zobaczyłam.

Leżała na schodach przy ołtarzu. W białej sukience, z uczesаныmi blond włosami. Jej twarz była piękna i mimo wszystko wciąż młoda. Cofnęłam się do tyłu i osunęłam po ścianie nie wierząc w to, co widziałam.

Właśnie patrzyłam na swoją mamę. Piękną. Cudowną. Opiekuńczą. Wspaniałą. Zamordowaną.

Kraków, 8 grudnia 2012 r.

Czuję pojedynczą łzę na policzku. Weronika patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Co się potem stało? – pyta cicho, nieśmiało. Chyba nie wie, czy powinna.

– Wyszadli kościół w powietrze. Nic z niego nie zostało – odpowiadam.

– To jak stamtąd uciekaś? I co ze Stasiem? – dziwi się.

– Siedział skulony pod organami i nie otwierał oczu odkąd zobaczył, że jego mama nie żyje. Wzięłam go na ręce i wyszłam przez zachrystię. Schowaliśmy się w zbożu. Po kilku minutach usłyszeliśmy huk. Kościoła już nie było. A wraz z nim blisko stu ciał.

– Aż tyłu? – wnuczka jest przerażona.

– Aż? Dla nich to pestka. Tego samego dnia wróciłam do Ostrówek złapanym po drodze powozem. Stasia oczywiście zabrałam ze sobą. Tata był załamany na wieść o śmierci mamy, ja nic nie pojmowałam. Dowiedziałam się, że w noc przed wysadzeniem Kościoła w Porycku, banderowcy zaatakowali dziewięćdziesiąt dziewięć polskich miejscowości, niszcząc je doszczętnie i mordując wszystkich mieszkańców. Dominopol, Gucin, Orzeszyn, Zagaje, Sądowa... To nazwy tylko niektórych z nich. Tamta noc wraz z porankiem nazywana jest Krwawą Niedzielą.

Weronika nie jest w stanie powiedzieć ani słowa. Patrzy na mnie oniemiała, więc kontynuuję.

– W ciągu całego lipca banderowcy zaatakowali około pięciuset trzydziestu miejscowości, zabijając siedemnaście tysięcy Polaków. Ostrówek nadal pozostał nietknięty.

Ostrówki, 10 sierpnia 1943 r.

Siedziałam pod wierzbą, skrobiąc w kajeciku ogromnego kocura. Pozował mi nie kto inny, jak ogromny kocur, a właściwie dobrze odżywiony rudzielec pani Jachymowej. Często przychodził pod naszą wierzbę, gdyż było to miejsce zapewniające mu więcej cienia niż każde inne.

Nie mogłam się pozbyć po śmierci mamy. Całymi dniami przesiadywałam pod tą wierzbą, szkicując i pisząc, całkowicie wyprana z emocji. Wieczorami usypiałam Stasia, który wciąż pytał, czy jego mama na pewno jest w niebie. „Tak, Stasiu. Na pewno jest w niebie” – odpowiadałam.

Ile zostało polskich miejscowości? Tego nie wiedział nikt. Kolejne wsie znikwały z powierzchni ziemi. Ostatni atak miał miejsce drugiego sierpnia w Leonówce. Śmierć zabrała sto dziewięćdziesiąt istnień. Wołyńska ziemia stawała się potwornym cmentarzyskiem, pełnym zbrukanych ciał. Byli tacy, którzy próbowali się bronić. Byli też tacy, co próbowali się mścić. Ginęli oni śmiercią tak potworną, że trudno to sobie wyobrazić. Chociaż... słyszałam o jednym mężczyźnie, który po powrocie z pracy zastał dom w płomieniach. Jego żona i dzieci leżały nieruchomo na podwórku, splamione krwią. Podobno ów mężczyzna wpadł w furję. Czym prędzej pojechał do miasta, gdzie stacjonowali banderowcy. Na oczach wielu zastrzelił jednego z nich, a żaden nie ośmielił się go zatrzymać. Byli zbyt zszokowani. Ludzie pytali: „Czy ten człowiek się nie bał?”, a ja odpowiadałam w myślach: „Ci mordercy odebrali mu wszystko. On nie miał się czego bać, bo po prostu nie miał już nic do stracenia.”

Wraz z początkiem sierpnia mordy ustały. Nastął dziwny spokój. Jednak był on zdradliwy i zwodniczy, jak żaden inny. Znaleźli się tacy, co uwierzyli, że to koniec ataków i porzucili plany ucieczki, jednak zdecydowana większość przygotowywała się na najgorsze. Po prostu nie mieli złudzeń: jak się coś zaczyna, trzeba to skończyć. I banderowcy na pewno zamierzali to zrobić.

Doskonale wiedziałam, że gdyby nie ja, ojciec popadłby w depresję. Jednak ze względu na „swoją ukochaną córeczkę” starał się. Zresztą nie tylko on: Nikołaj praktycznie nie opuszczał naszego domu. Swoją postawą i zaangażowaniem zyskał wreszcie zaufanie taty. I choć nie było to nic wielkiego, dodawało otuchy, a niczego tak nie potrzebowałam jak właśnie jej. Zgubiłam gdzieś moje ziarenko nadziei, jednak gdy Nikołaj z tak wielką pasją opowiadał o naszej ucieczce, znajdowałam je na nowo. Bezsennymi nocami siadałam przy biurku i pisałam wiersze. Większość z nich kierowałam do mamy. Desperacko wierzyłam w to, że mnie słyszy.

Gdzie teraz jesteś?

Czy jesteś w niebie?

Jak mam Cię znaleźć?

Żyć nie chcę bez Ciebie

Czy Bóg Cię zabrał?

Czy kiedyś Cię zwróci?

Powiedz mi, proszę

Że tata się smuci

Tutaj jest pięknie

Zawsze tak było

Lecz z Twoją śmiercią umarło

Coś co we mnie żyło

Ostrówki, 30 sierpnia 1943 r.

Do kuchni wpadł Nikołaj. Był zdyszany, miał czerwone policzki i mówił coś niezrozumiale, walcząc z oddechem. Przyjechał prosto z miasta. Był przerażony.

– Binia, moja binia... Knaję tu z karabinami. Niedługo będą! Musimy uciekać! – krzyknął, łapiąc mnie za rękę.

Serce zabiło mi mocniej. A więc zaczęło się.

Zanim się obejrzałam, zanim w ogóle zdążyłam odpowiedzieć, do kuchni wszedł tata. On też już wiedział.

– Nikołaj, weź ją i Stasia – powiedział rzeczowym tonem. – Weźcie mój powóz i megajcie do Lubomla, tam się wami zajmą.

Nikołaj pociągnął mnie za rękę w stronę wyjścia, ale ja ani drgnęłam. Przestraszona, popatrzyłam na tatę. Powoli zaczynałam słyszeć oddalony tętent kopyt.

– A ty, ojczu? Co z tobą? – zapytałam. Nie mogłam pozwolić na to, aby tu został i czekał na śmierć.

– Muszę zostać. Tu moje miejsce, tu mój dom, lola. Wy sobie poradzicie – odparł, biorąc mnie w ramiona i mocno przytulając. Tętent był coraz głośniejszy. Wiedziałam, że nie mam nic do powiedzenia, ale...

– Czasu nie ma! Czas megać, binia! Staś! Staś! Sztajguy tu zaraz! – krzyczał Nikołaj, chodząc tam i z powrotem. Dziesięcioletni chłopiec pojawił się w kuchni natychmiast. Spokojny, cichy, acz ze łzami w oczach i trzęsącymi się rączkami.

– Boję się – powiedział cicho. Od razu podskoczyłam do niego i wzięłam go na ręce.

– Ciii, spokojnie. Nie bój się – wyszeptalam mu do ucha, chcąc zagłuszyć coraz wyraźniejsze kroki mordercy. Podeszłam do drzwi. Spojrzałam jeszcze raz na tatę. Stał nieruchomo, ze smutnym uśmiechem wymalowanym na twarzy. W jego oczach widziałam strach, w dłoni trzymał podręczną siekierkę. Chciałam mu coś powiedzieć, jeszcze dwa słowa, ale Nikołaj wypchnął mnie za drzwi i pociągnął do starego powozu.

– Wsiadać, zakryć się dekami i ani rusz, aż nie powiem – rozkazał, a ja wykonałam polecenie. Najpierw starannie zakryłam Stasia. Dopiero, gdy upewniłam się, że go nie widać, sama wskoczyłam pod pled i zaciśnęłam powieki.

Wjechaliśmy do lasu. Kilka minut później usłyszałam pierwsze huki, a przez niewielką szparę ujrzałam leniwe języki ognia obejmującego kolejne domostwa. Miejsce

moich narodzin, miejsce, w którym się wychowałam, dojrzewałam i z którego właśnie uciekałam rozpadało się w drobny mak, a ja nic nie mogłam na to poradzić. Moi sąsiedzi, moi znajomi i mój tata znajdowali się w samym środku piekła, którego część rozrywała mi serce, gdy powoli odjeżdżałam coraz dalej i dalej...

Wieczny odpoczynek, racz im dać, Panie, a Światłość Wiekuista niechaj im świeci.

Na wieki wieków, Amen.

Kraków, 8 grudnia 2012 r.

Pojedyncze łzy spływają po moich policzkach na straszne wspomnienia. Weronika nadal milczy. Opiekuńczym odruchem kładzie swoją dłoń na mojej i uśmiecha się nieśmiało.

– Nie musisz dalej mówić, babciu.

– Nie. Ale jak się coś zaczyna, trzeba to skończyć. Tak jak oni skończyli – mówię, po czym wycieram zagubioną łzę i patrzę na wnuczkę. – Dzień dwudziesty dziewiąty i trzydziesty sierpnia porównywany jest do Krwawej Niedzieli. Wymordowano bowiem wszystkich mieszkańców Ostrówek i Woli Ostrowieckiej. Łącznie około tysiąca osób, z czego blisko połowę stanowiły dzieci do czternastego roku życia – przerywam, upijając łyk herbaty i oddychając głęboko. – W sierpniu 1943 roku zabito co najmniej osiem tysięcy dwustu Polaków, spalając trzysta jedną miejscowość.

– Gdzie zabrał cię Nikołaj? – pyta.

– Pojechaliśmy do Lubomła, tak jak polecił ojciec. Nie byliśmy jedynymi. Spotkałam tam kilkanaścioro innych ocalałych z Ostrówek. Kilkoro życzliwych Ukraińców użyczyło nam noclegu, jedzenia i wody... Zostaliśmy tam dopóki sytuacja się nie poprawiła. Luboml nie był siedzibą Polaków, nie interesował więc banderowców.

– Twój koszmar się skończył – podsumowuje Weronika.

– Skończył? Straciłam matkę, ojca i ukochany dom. W dodatku ataki nie ustały. Trwały aż do początku 1944 roku. W kwietniu dowiedziałam się o śmierci najukochańszych przyjaciółek: Hali i Wandzi Chrzanowskich. Halinę zgwałcono, zmasakrowano i powieszono na skraju lasu. Nie wiem, jak zamordowano Wandę. Byłam załamana. Jedyne osoby, jakie mi pozostały to Nikołaj i Staś. Tylko oni trzymali mnie przy życiu. Wszyscy moi przyjaciele, moja rodzina, miejsca... Wszystko co znałam i kochałam znikło z powierzchni ziemi.

– Ilu zginęło Polaków w ciągu tych wszystkich lat?

Zastanawiam się przez chwilę, próbując przywołać odpowiednią liczbę.

– W latach od 1939 do 1948 roku na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej zostało zamordowanych ponad osiemdziesiąt osiem tysięcy Polaków. Przynajmniej tyle mordów zostało udokumentowanych. Prawdopodobna liczba wynosi sto trzydzieści tysięcy.

Z pobłażliwym uśmiechem reaguję na szeroko otwarte usta wnuczki.

– Mucha ci wleci – mówię, by rozluźnić napięcie. Dziewczyna opanowuje się. – Coś jeszcze? Dziadek Nikołaj niedługo wróci, a nadal nie ugotowałam obiadu.

Weronika zastanawia się przez chwilę.

– Myślisz, że możliwe jest wybaczenie win i porozumienie? – pyta.

– Ja już dawno im wybaczyłam. Choć przez całe życie marzyłam, aby usłyszeć jedno, krótkie „przepraszam”.

– Powiedz mi, babciu... Za co oni nas mordowali? – pyta, a moje rysy tężeją. Patrzą na nią i bardzo cicho odpowiadam:

– Za to, że byliśmy Polakami, wnusiu. Byliśmy Polakami.

*... i odpuść nam nasze winy,
jak i my odpuszczamy naszym winowajcom...*

Weronika WAJSZLE



WSZYSTKO MIJA...

Wiersze Barbary Zajdel

Oderwana od źródeł,
rzeko-mowo, nie uschnij.
Serca nasze przetoczą
życiodajne słowo
ku spragnionym ustom:
Matko-Mowo-Ojczyzno...

Jak Mojżesz, o skały różdżki uderzeniem,
z bożej woli źródło wydobył,
tak i my, serca naszego pragnieniem,
dobądźmy miłość ku tobie,
i słowo z polem skojarzywszy swojsko,
szepnijmy – Polsko...

A potem słodko, śpiwnie i chropawo
wymówmy – Warszawo!
I rozbudzeni z wiekowych letargów, –
– „krew na śniegu... powstanie kona...” –
do Boga oczy wzniosłszy ze skargą,
westchnijmy: „Biało-czerwona”...

Modlitwę Pańską w Świętej ojców mowie
wspomnijmy sobie słowo po słowie,
niech zabrzmie promienna i czysta!
Nad zaorany polem
wolnym lotem sokolim
Mowo odwieczna – z m a r t y c h w s t a ń !

Człowiek, gdy się rodzi,
dziwi się wszystkimu,
„O!” – woła w zachwycie
na widok swego palca,
muchy, kota, dziury w płocie...
Potem mu wszystko powszednie,
woli niszczyć, burzyć,
niż wpadać w podziw
od tajemnic bytu,
bezmiaru przestworzy
i pulsującego życiem
serca Ziemi...
Boże!
Kto wołanie gwiazd nocą wyczuł,
i nie umiera z tęsknoty –
chyba oszalał z zachwyty...

U nas?
Zwyczajnie, jak w każdym innym mieście.
Wieże wznoszą dumne głowy ku chmurom,
czas uchodzi śpiesznie,
bo zegar wciąż wydzwania godziny z ratusza
beznamiętnie...
Przez wiele pokoleń
tłum ludzi przechodzi w dole,
stada gołębi – w górze...
Wieczorem z żerowisk powracają wrony
na rodzinne drzewa,
zachód odbija się w szybach czerwony,
i już, nie wiadomo dokładnie skąd,
pewnie z Czartowskiej Skały mrocznej otchłani,
stada czarownic mkną
ku Łysej Piaskowej Górze,
sterując miotłami
lub na Wysoki Zamek,
gdzie śpi telewizyjna wieża znużona...
Skrzypi wiatrak w nowym skansenie
(specjalnie dla Don Kichotów wzniesiony),
brama-szubienica ni stąd, ni zowąd
ze wschodniej strony,
jak dekoracja na scenie.
I lew stary z cmentarza skradziony,
nudzi się srodze na drodze,
ziewając skrycie...
A wokół – nowe budowy
wznoszą ręce dźwigów ogromne, zaczepne,
startują w niebo samoloty srebrne,
lecz ja nie patrzę w górę...
Witam pocziwą naszą budę
(jaskrawo wymalowaną,
jak podstarzała panna młoda),
z której kochani starzy belfrzy
już odeszli...
Stoję, zawiedziona, u jej progów
i odchodzę...
Głucho dudnią na bruku
spóźnione kroki...

Powrót Madonny na Plac Mariacki

Powróciłaś Niepokalana,
Chociaż inna, lecz wciąż ta sama –
Śliczna Gwiazdo mojego miasta
W śnieżnobiały zakłętą Kamień...

A więc witaj, łaskawa Pani,
Gdy się w postać Twoją zapatrzę –
Nie dosięgnie mnie smutku anioł
Ani czarny demon rozpaczy...

Pójdźcie do mnie, – dłonie wołają, –
Rozproszonych wygnańców rzesze,
Ja was wszystkich przygarnę, pocieszę,
Tych, co poszli, tych, co wracają...

A więc witaj, łaskawa Pani...!

Przed Pomnikiem Mickiewicza

Wielkość zawsze jest bezbronna przed małością,
bo, po prostu, jej bronią nie włada –
Małość zdradliwie się skrada,
każdą intencję wypaczy –
– ona nie może inaczej...
Wielkość jej strasznie przeszkadza –
– zbyt kontrast,
więc pomniejszyć trzeba:
dobroć nazywa głupotą,
miłość wyśmiewa.
Wypuszcza zjadliwe słowa,
celne – jak strzała zatruta,
Choć sama zwykle jałowa
lecz czynna – jakaż wielkość nie była opluta?!
Lepi łatki:
jesieni – że płodna, wiosnie – że zbyt płocha,
chełpi się bezgrzesznością –
– nie wierziel! –
ona po prostu – NIE KOCHA!
Pod jej lepkiem brudnym dotykiem
stoisz, Mistrzu, bezbronny i cichy...
/„... ty nad poziomy wylatuj!” –
głosisz światu, boś „tylko” Wieszczem,/,
wszystkim wrogim wiatrom odkryty,
na pomniku, jak pod pręgierzem...

Ach, dość już! –
z wysiłku napęczniały żyły,
mdleją ręce,
konają ramiona
Atlara i Kariatydy,
podtrzymujących balkony...
Gdzieś tam niebo
i gwiazdy czy słońca,
Gdzieś tam kwiaty i śpiew słowika,
A tutaj – męka bez końca
Kamiennego filaru – człowieka...
Ach, dość już!
Zakłęci w kamienie,
ani żyć, ani umrzeć nie mogą,



Barbara ZAJDEL – współczesna poetka lwowska.

Urodzona we Lwowie 14 listopada 1951 roku. Absolwentka polskiej ośmioletniej wówczas szkoły Nr 10. Świadectwo dojrzałości otrzymała w polskiej szkole Nr 24.

Po ukończeniu studiów wyższych w Lwowskiej Akademii Leśnictwa uzyskała dyplom inżyniera gospodarki leśnej.

Wiersze pisze od najmłodszych lat.

Laureatka Konkursu Literackiego im. Kazimierza Wierzyńskiego dla Polaków na Wschodzie oraz Konkursu „U progu Kresów”.

Wiersze poetki weszły do antologii poezji religijnej „Miłość jak ziarno odwagi” (Białystok 2000), „Habemus Papam” (Lwów 2001), antologii współczesnej poezji lwowskiej „My, ludzie Lwowa” (Lwów 2006). Poza tym poezja Barbary Zajdel publikowana była w czasopiśmie Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie „Nasze Drogi”.

Współpracuje z autorami scenariuszy do Teatryku „Zielona Żabka”.

Mieszka we Lwowie.

ani zrzucić przeklęte swe brzemie –
o pomstę wołają do Boga!

Gwiazdy są zawsze samotne,
choć jest ich tak wiele –
zda się, niebo całe
gwiazdami się mieni...

Lecz zbyt oddalone
w kosmicznej przestrzeni,
jak zew duszy bratniej,
ślą sobie promienie
w mrok nocy pogodnej...

I o czym tak rozmawiają?
– Chyba tęsknią ogromnie...

Lecz gdy wyciągną ramiona,
(jak ja do ciebie, ty do mnie)

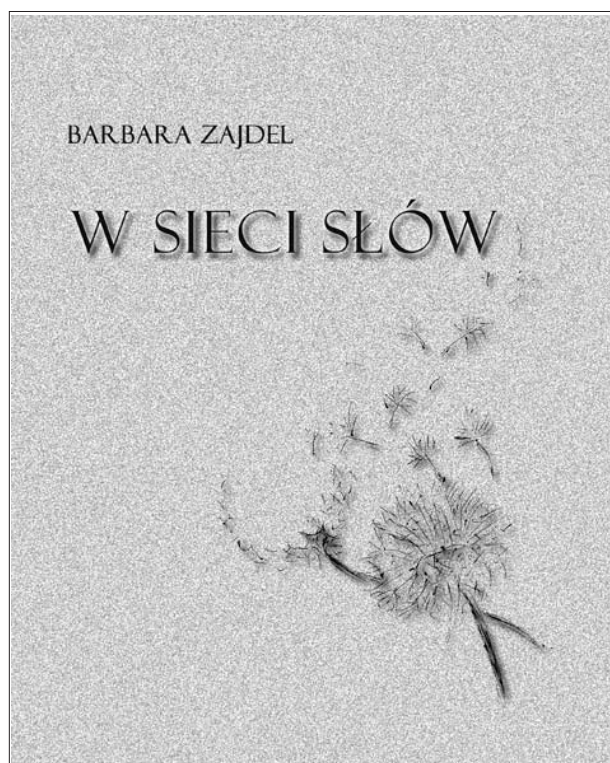
to spadają, spadają, spadają
meteorytów deszczem –
na Ziemię...

Wstąp na Wuleckie Wzgórze,
gdzie wybujały drzewa
w chmurach chowają zadumane głowy...

To nic, że niejedno lato spłonęło
nad lwowską Gólgotą,
gdzie w gliniany dół –
ciało i krew,
ciało i krew –
jak dojrzałe kłosy
spadało polskie słowo...

Widoczne mocne jest,
Że tak je zniszczyć trzeba!
z nienawiści?...
ze strachu?...

Na Wóleckich Wzgórzach drzewa
Patrzą w niebo,
A pod nimi liści bzu czarnego
Pachną ostro i gorzko...
Jagody ich – są jak krew...



Czas
nie jest tylko
pojęciem z kalendarza,
ilością obrotów w tańcu
matki-Ziemi wokół ojca-Słońca
ani jej położeniem
wobec gwiazd zamieszkujących Niebo.
Ruchem strzałki zegarka też nie jest,
choć tak właśnie się zdaje,
gdy sprinter dobiega do celu.
Nie opada drobinkami piasku w klepsydrze,
nie jest wędrówką cienia od wschodu do zmroku
ani odbiciem obłoków
w błękitcie twojego wzroku...
Czas mierzy się nasyceniem
Molocha-żywojada,
krzyżami na cmentarzach,
pajęczyną dróg,
poprzecinanych losem,
myślą, mową, uczynkiem, wzruszeniem...
Czas – to n i e o d w r a c a l n o ś ć wydarzeń...

Gdy wertuję po raz który książkę Hioba,
wielkie mnie nawiedza zwątpienie
w szczęśliwy koniec tej historii...
Panie! Zabierz mu pamięć!
Przysyp wszystko piaskiem zapomnienia!
Nigdy Hiob nie przebaczy Bogu,
że dopuścił, że nie uratował...
Bo ten się tylko upora z cierpieniem
kto nigdy nie kochał nikogo...

Spóźniony powrót

Poruszamy się dzięki latarniom –
ja i mój cień,
gdy odjeżdża ostatni tramwaj
bez pożegnania...
Idziemy we dwoje,
nagle cień się rozdwaja –
jeden naprzód wybiega,
jak swawolny psiak,
drugi – w tył się cofa i blednie,
I na przemian tak –
to zanika, to nabiera głębi...
Jest coraz weselej!
Dudnią kroki na bruku,
echem oddając...
jest nas coraz więcej –
po niebie sunie pijany księżyc,
przygód szukając...

Śpij, synku, krótka noc czerwcową...
 Księżyc jasną buzię już za chmury schował,
 by nikt nie widział, jak ziewa.
 Szumią drzewa...
 Dla mego syneczka
 ta kołysaneczka...
 Śpij. A gdy będziesz duży jak tato,
 znów przyjdzie lato
 i noc świętojańska w okna znów zastuka,
 pójdziesz razem z bratem
 kwiatu szczęścia szukać,
 bo wiesz, że gdzieś tam
 w ciemnym lesie się złoci
 zaklęty kwiat paproci...
 Śpij już, gwiazdka mruga,
 jedna, druga...
 Wiesz czemu?
 Chce ci obwieścić,
 że szczęście
 o tu, w twym serduszku się mieści,
 nie w lesie.
 Tam tylko wiatr szeleści
 i bajki na drogi niesie...

Mamie

Nie widziałś morza,
 stopy nie tykały gorącego piasku
 nie byłaś żaglem na wietrze
 i wiatr nie rozwiewał ci włosów.
 Miłość była gorzką
 a nienawiść bez smaku
 Błękit oczu nie znał ukojenia
 Dłoni twych nie zdobiły pierścienie
 A głos Twój... Twego głosu
 mogły ci pozazdrościć anioły
 gdy śpiewałaś
 Serce rozdawałaś garściami
 bez zastanowienia
 zdziwiona, że wciąż jeszcze mało
 Zniewolona bólem
 uśmiechałaś się jednak
 Mamo!
 Tak było
 tak zawsze być miało...

Szpital

Schody
 czy są po to
 by prowadzić
 krok za krokiem
 szybciej

ku nadziei
 jesteś przecież
 TAM
 a już Cię nie ma
 Jakżeż teraz
 na dół zejść
 bez Ciebie...

Ślad Twoich dłoni
 na każdym sprzęcie
 na bluzeczce cera
 na obrusie hafcik
 rękawice ciepłe
 włóczkowe kapcie
 doniczka z kwiatkiem
 medalik z Matką Boską
 książki książki książki
 i listy i kartki i wiersze
 i szalik na drutach dziergany
 i czapka
 – Ślad Twej dłoni wszędzie,
 kochanej...

.....
 Tylko Ciebie nie będzie

Przedwiośnie

Daremnym wniebowołaniem
 wznoszą drzewa obcięte ramiona –
 sny przedwiośnia spadają na ziemię.

Uganiają się za mną wspomnienia
 niespokojnych minionych wiosen,
 które przeszły obok niespełnione...

Cóż, że chłody oddalają chwilę –
 gdzieś kielkuje już życie nowe
 i bezwzględnie weźmie w posiadanie
 każdą piędź rozmarzniętej ziemi.

Już parują południowe zbocza,
 kępki traw gdzieniegdzie zielenieją,
 a w kąciku, niezauważony,
 podniósł główkę podbiał złotopłowy...

Jabłoń
 w ogrodach raju –
 od najbielszych tonów wiosny
 ku latu,
 płonącemu czerwieni...
 Jabłka się złocą, człowieku,

czas zbioru
owocu zakazanego.
Słodycz ustom twoim –
ugaś pragnienie,
spokój oczom twoim –
oddal niepokój...
Ja, wygnana Ewa,
ramię przy ramieniu
pójdę z tobą poprzez niepogodę,
ściskając w dłoniach obu
jabłko –
rumiany owoc jesieni,
plon gasnącego roku...

Do nieba? Do szczęścia prowadzi?
złota droga, usiana mleczem,
między ogrodów półkami –
– Droga Mleczna –
usiana gwiazdami,
co się miękko kładą pod stopami...
Iść tą drogą
nie pytając celu
– dokąd?
– po co?
Sama w sobie celem...
Aż rozwianym się stanie
Złudzeniem,
gdy się mlecz w dmuchawce zamienia...

Byłam...
Tylko byłam jedną małą chwilę –
kolorowym motylem,
powojem, wspinającym się na próg,
białym śniegiem u twoich nóg,
księżycową smugą w twoim oknie,
co przez firankę spłynąć się odważy,
smutnym ptakiem, co na deszczu moknie,
lustrem, które tęskni do twojej twarzy...
Będę...
Tylko będę
szepcem i niczym więcej...
Wspomnieniem... Może kamieniem
w twojej ręce?...

Słonecznik

Słonecznik zakwitł
w ogrodzie moim.
Twarz złotą
zwrócił w stronę słońca,
jak ja – w twoją...

Rozstanie

Pójść sobie
spokojnie i cicho,
z nibyśmiecchem przyjaznym i szczerym,
I unieść w sercu stopudowy kamień,
nie zgiąć się przed jego ciężarem,
nie zatoczyć się,
nie upaść
twarzą na ziemię,
nie zapłakać...

.....

Wsiąść w wagon pierwszy lepszy
i, przy oknie,
na skasowanym bilecie,
skreślić kilka wierszy –
najmarniejsze w świecie
dywidendy wspomnień...

Moje życie nie czeka na ciebie,
ucieka,
kropla po kropli,
noc za nocą,
dzień za dniem,
westchnienie za westchnieniem...

Uśmiech jest taki daleki
jak wróbel na gałęzi
i łatwo go spłoszyć,
choć niby zuchwały i swojski.

A przecież wystarczy
dłoń tylko wyciągnąć,
by przyszła nieufna, nieśmiała,
jak głodna, zmarznięta sarna –
miłość...

Gdyby jakiś straszny sen
przyśnił się nam obojgu –
mnie i tobie, mój wrogu, –
że w noc zmienił się dzień,
że śmierć się z nieba leje
zamiast słońca, deszczu i wiatru,
że już nie będzie kwiatów,
wiary, miłości, nadziei... –
– O, jakież słodkie będzie przebudzenie!
/Z niedowierzaniem spojrzymy na ziemię
zdrową i całą,
na uśmiechnięte dzieci,
radując się, że słońce jest, że świeci,
że nic się nie stało.../
I wyciągniemy ku sobie dłonie –

Ja – do ciebie, ty – do mnie,
i padniemy sobie w objęcia,
krzycząc i płacząc ze szczęścia,
i zapewniając wszystkich najgoręcej,
że „naprawdę”, „na zawsze”
i że „nigdy więcej”...

Jabłonek białych
pachnący kwiat
w lesie tu, na polanie?
Ale ślad,
wysadzonej lipami
i stopni kilka –
tu był próg...
Dom stał za hortensjami...
A gospodarzy,
gdzie zniósł wiatr?
Na wschód?
Na zachód z uchodźcami?
A może padli twarzą w dół
i śpią między drzewami?
Jabłonek białych
lekki puch
w słońcu lśni rosą...
Tak żal warkoczy
jasnych dwóch
przeciętych kosą...

Do Mariny Cwietajewej

Twój wiersz mi duszę rozorał.
Wszystko, co będzie jutro,
wszystko, co było wczoraj –
w nim.
Najtajniejsza z tajemnic,
bardziej od prawdy – naga,
sól ziemi, serce dzwonu,
stwierdzenie i zagadka...
Przedrostki i rdzenie – sensem.
Słowa wcielenie w istotę rzeczy
już samym dźwiękiem:
zgrzytem, jękiem.
Międzyrzecze dźwięków i znaczeń –
słowo.
Moją ojczystą mową
z nim się zmagam.
Za wysokie progi
na moje nogi...
Amen.

P. S. Krytyku surowy mój, wiedz –
Nie zwrotki tłumaczę, a wiersz...
samotne...

We wstępie do tomiku „W sieci słów” Barbara ZAJDEL napisała:

„Mimo, że w chwili narodzin przynoszę na świat wraz ze sobą swój los, gdzieś tam w gwiazdach zapisany i nic go nie może zmienić, to jednak moje „ja” musi czemuś służyć, gdyż wszystko jest użyteczne we wszechświecie. Przedłużenie życia na ziemi? Ale – po co? Ewolucja człowieka w jego drodze do doskonałości? – przeważnie jest odwrotnie...”

Ale tak, chyba w tym jest cel – udoskonalić się. I następne pytanie: po co?

– By nie zniknąć bez śladu we Wszechświecie, a przyłączyć się do Doskonałości.

– W jaki sposób?

– Mam Dekalog. Z tym drogowskazem trzeba przepychać się przez życie i cierpieć, cierpieć, cierpieć, dopóki Bóg-Jubiler nie wyszlifuje nas na brylant, godny Jego zbiorów...

Coś tam jednak myśli, odbiera, reaguje, do czegoś dąży, czegoś pragnie. Coś człowieka boli, czymś się zachwyca. Dlatego kupuje sobie notesik i zapisuje.

Utrwała. Chociaż dobrze wie, że i tak wszystko mija i tonie w „rzece zapomnienia...”

No i takie notatki, „kardiogramy codzienności szarej”, zalegają mu szuflady, torebki... Odnajduje się je pomiędzy kartkami książek, rachunkami, listami...

Czasami zbiera się je i zszywa w tzw. „historię choroby”, nieodłączną przeciwieństwo od osobnika, i rozpoznaje się według niej nie tylko jego, ale i czas, i miejsce, i otoczenie, i wydarzenia...

Z tych fragmentów nie da się jednak odbudować całości, gdyż zazwyczaj brak jest tam rzeczy najważniejszych, o których mówić „ani się chce, ani może...”

W naszych warunkach pisanie w mowie ojczystej, posługiwanie się nią, jest wielkim wyzwaniem, radością, rozkoszą, sprawą odpowiedzialną i, można by rzec, niemal patriotyczną. Bo czyż będzie język dość giętki, by wyrazić „wszystko co pomyśli głowa” i czy ta głowa, zapatrzona w błękitny ekran, zdolna jest w ogóle do samodzielnego myślenia?

A więc, wyciągając ze starej szuflady zwierzenia pensjonarki czy „wymądrzałki” starej babki, proszę o dozę wyrozumiałości”.

NIEZWYKŁY ALBUM Z ZAKRESU HERALDYKI I GENEALOGII

Wydawnictwo „Kolumb” z siedzibą w Siemianowicach Śląskich opublikowało piękny album z zakresu genealogii i heraldyki pt. „Księga herbowa Białej, Czarnej i Czerwonej Rusi, Inflant, Litwy, Moskwy, Polski, Ukrainy i Żmudzi”. Czytelnik znajdzie w tym niezwykłym dziele informacje o około dziesięciu tysiącach rodzin szlacheckich, zamieszkujących do dziś nie tylko tereny dawnej Rzeczypospolitej, ale też ziem ościennych.

Autor woluminu – dr Jan CIECHANOWICZ we wstępie wywodzi herby szlacheckie narodów europejskich z dawnych znaków runicznych ludów celtyckich, germańskich i słowiańskich, przytacza też wizerunki około 60 run, podając ich znaczenie i interpretację. W sumie sygnalizowana niniejszym „Księga herbowa” zawiera dwa tysiące ilustracji, w tym 700 kolorowych, przedstawiających m.in., co stanowi zupełne novum na polskim rynku wydawniczym, oryginalne zdjęcia kolorowe malowanych odręcznie w XVII – XIX w. godeł szlacheckich ze zbiorów archiwalnych Polski, Litwy, Białorusi, Niemiec, Rosji, Ukrainy, Łotwy. Po raz pierwszy w Polsce czytelnik może się też zapoznać z interesującą rodzimą heraldyką szlachty ukraińskiej i inflanckiej.

Książka ma charakter popularnonaukowy, a jej lektura i oglądanie sprawia przyjemność zarówno dojrzałemu, jak i młodemu odbiorcy interesującemu się dziejami kultury ojczystej i jej przemożnym wpływem na znaczną część Europy i nie tylko Europy.

Kontakt z Autorem:
+48 608 531 266
e-mail: ciechanowicz.jan@gmail.com

Dr Jan CIECHANOWICZ, wieloletni współpracownik i przyjaciel kwartalnika „Krynica”, jest również autorem niezwykle pouczających aforyzmów, których lekturę proponujemy naszym Czytelnikom.

– Nie ma takiej mądrości, której by nie potrafił wydrwić głupiec, i nie ma głupca, który by się nie uważał za mędrca.

– Poznał samego siebie: i zarumienił się ze wstydu.

– I garbaty nos można zadzierać.

– Dopiero w obliczu śmierci zaczynamy kochać życie.

– Gdyby nie było mędrców, nie wiadomo by, co to jest głupota.

– Przyszłość to przeszłość, a przeszłość to przyszłość.

– Nie postanawiaj, że od jutra już nie będziesz sobą. Nie dasz rady.

– Im tańsze mydło, tym skuteczniej mydli oczy.

– Odejdź sam, nie czekaj, aż cię wyniosą.

– I wędkarz może połknąć haczyk.

– Nieudany muzyk odgrywa się na instrumencie.

– Wy jesteście solą tej ziemi, a my jej cukrem.

– Trudno powiedzieć, czy w głupie sytuacje popadają częściej głupcy czy mędracy.

– Promienie chwały są parzące.

– Optyzmizm to postawa nader pesymistyczna.

– Ludzie nauczyli się mówić przed 45 tysiącami lat, a milczeć nie umieją dotychczas.

– Nieszczęśliwe bywają skutki szczęścia.

– Kłamstwo ma krótkie nogi, ale bardzo grube.

– Kto kontroluje teraźniejszość, ten ma władzę nad przeszłością.

– Bankier – człek o złotym sercu.

– Śmiech to zdrowie, ale nie wystarczy się śmiać, by być zdrowym.

– Czy pies podobny do pana, czy pan do psa?..

– Wszystkie drogi prowadzą do śmierci.

– Czarny humor cechuje nie tylko murzynów.

– Ociemniali też mają światopogląd.

– Niewielu jest chętnych do obcowania z nagą prawdą.

– Zapominanie o długach nie koniecznie świadczy o sklerozie.

- Żyli zgodnie: jak pies z kotem.
- Arystokryzizm nie polega na tym, że wszystkimi się gardzi, lecz na tym, że każdemu oddaje się należny mu szacunek.
- Gdy dureń czegoś nie rozumie, zaraz zaczyna się śmiać, ale nie z własnej głupoty, lecz z tego, czego nie rozumie i przez co właśnie jest głupi.
- Jeśli przypadek jest rzeczywiście przypadkiem, a więc czymś, co się staje poza koniecznością, to przeznaczenia nie ma. Jeśli zaś przypadek jest tylko formą manifestowania się konieczności, to przypadku nie ma, a wszystko dzieje się na mocy przeznaczenia i nieuchronnej konieczności.
- „Co głowa, to rozum”, zwykł był mawiać kat, przykładając topór do karku ofiary.
- Czym jest prawda? Kłamstwem, któremu wierzymy.
- I zwątpienie ma swoich entuzjastów.
- Sama ludzka zdolność do podziwiania jest godna podziwu.
- Dla wielu awans zawodowy polega jedynie na tym, że się osiąga zaawansowany wiek.
- Prawo życia: jeden na wszystkich, wszyscy na jednego.
- Słabości nasze są bardzo silne, a siły bardzo słabe.
- Głupcy nie podziwiają nikogo prócz samych siebie.
- Role przyjaciół najlepiej są grane przez wrogów.
- Ludzie powszechnie znani z reguły są też powszechnie nieznani.
- Uśmiech to tylko grymas maskującej się wrogości. Strzeż się uśmiechniętych!
- Szybkość mroku jest wyższa niż szybkość światła.
- Prawie wszystkie oszczerstwa i plotki są dziećmi zawiści.
- Szczury łączą w sobie odwagę lwa i przebiegłość lisa.
- I słońcu się zarzuca, że ma plamy.
- Z małych słabości wyrastają wielkie zbrodnie i grzechy.
- Aby ukryć piętę Achillesową, nie wystarczy kupić nowe buty.
- Na manię wielkości najczęściej zapadają karzełki.
- Myszy oczywiście mogą stanowić prawa, lecz poprawki do nich zawsze wnosi kot.
- Podświadomość też ma swą podświadomość; jest nią nieświadomość.
- Obecnie także głupota jest mocno wyspecjalizowana i wyrafinowana.
- Dopiero po zmianie naszego życia na lepsze uświadamiamy sobie, jak dobre ono było.
- Często śmiejemy się, gdy chcemy płakać.

- Komplement to najtańszy sposób korupcji.
- Nie lecz się u lekarza, który wygląda gorzej niż ty.
- Nie bądź egoistą, nie okłamuj tylko siebie.
- Głos sumienia z reguły mija bez echa.
- Ręka rękę myje, a noga nogę kopie.
- Owoce zwycięstwa są zakazane dla zwyciężonych, ale przez to nie stają się dla nich słodkie.
- Kto głośuje za czymś obiema rękami, ten się poddaje.
- Pomniki wznoszone za życia, często znosi się niebawem po śmierci.
- Gdy okulista opanuje też zawód dentysty, zaczyna stosować zasadę talionu: „oko za oko, ząb za ząb”.
- Kamieniem filozofów rozbito niejedną głowę.
- Kolumb był odkrywcą, lecz za nim przyszli oprawcy.
- Demokracja polega na tym, że obywatel ma prawo wyboru gałęzi, na której zostanie powieszony.
- Głupia kura poucza jaja, mądra je sprzedaje.
- Nawet mając wielkie pieniądze, mały człowiek pozostaje małym człowiekiem.
- Gdy głupiec udaje mądrego, wygląda to tak, jak gdyby paralytyk udawał akrobatę.
- Co jest lepsze: być królem błaznów czy błaznem królów?
- Kto uczynił coś dla chleba, jeszcze więcej uczyni dla kielbasy.
- Jeśli rząd oszukuje poddanych, poddani rychło uczą się oszukiwać rząd.
- Wolność to odpowiedzialność, dlatego wielu jej unika.
- Wszyscy apelujemy o tolerancję. W stosunku do nas.
- Omijając trudy omijasz też tryumfy.
- Chcesz kogoś ośmieszyć, chwal go bez umiaru.
- Nie stwarzaj pozorów, bo pozory zaczną stwarzać ciebie.
- Najpospolitsza odmiana „prac syzyfowych” – nieróbstwo.
- Wybuchy śmiechu bywają groźniejsze niż wybuchy bomb.
- Nie ma innego wyjścia: albo się pisze kontrowersyjnie, albo nudnie.
- „Piszcie tak, aby było zwięzłe, wystrzałowo i strasznie!” – instruował dyktator autorów nowej konstytucji.
- Im więcej się mówi o szczęściu człowieka w ogóle, tym mniej go ma człowiek konkretny.
- Dbaj o interesy ludzkości, szczególnie zaś o jednego z jej reprezentantów – siebie samego. ■

Janina Wań

KROPELKA

– Znowu deszcz – Bartek miał już tego dosyć. – Najgorsza jest sobota. W tygodniu to chociaż jest szkoła. Fajnie, bo tam są koledzy, a w domu to... – w tym momencie trzaśnięcie drzwiami przerwało potok jego myśli. – No tak. Ola znowu pokłóciła się z mamą. Teraz pewnie odezwie się tata.

– Co to za hałas! We własnym domu nie można mieć spokoju! – tata nie kazał długo na siebie czekać.

– Bartek!... Bartek!! – instynkt wychowawczy mamy przelał się teraz z córki na syna. – Zabieraj swoje autka z kuchni!

Bartek niechętnie zszedł na dół po zabawki. Wracając na górę postanowił sobie, że jak będzie duży, to wsiądzie w samochód i pojedzie na koniec Świata!

– No i co się gapisz?! – pozdrowiła go po drodze, przez nie domknięte drzwi, siostra.

Bartek nie miał dziś ochoty nawet na kreskówki. Podszedł do mokrego okna, usiłując zobaczyć za nim cokolwiek... najlepiej dalekie kraje, pełne uśmiechniętych, szczęśliwych dzieci. Kraje były za

daleko, a wyobraźnia za leniwa. W końcu stanął przed moką szybą i zaczął wpatrywać się w zawiłą deszczową mozaikę.

– Wiesz? Ty też jesteś taka samotna, jak ja – powiedział do małej kropelki, toczącej się powoli po szybie.

Obok snuła się taka sama smętna kropelka... ale co to? Gdy kropelki się spotkały, nagle ożywiły się, zaczęły przyspieszać, tańczyć... a gdy dołączyły do nich jeszcze inne, to w końcu wylądowały na samym dole, prawie tarzając się ze śmiechu!

Bartek westchnął – ja też chciałbym spotkać taką drugą kropelkę.

Na ulicy trzasnęły drzwi od samochodu.

– Ktoś do nas przyjechał!? – chłopiec ucieszył się na myśl, że sobota nie będzie całkiem stracona.

Niestety. Samochód odjechał.

– To po co trząsał drzwiami? – Bartek przykleił czoło do szyby, żeby lepiej widzieć. Na dole



wyraźnie coś było. Coś stało przy furtce i skomlało, trzęsąc się z zimna.

– Ola... – chłopiec nieśmiało zaglądnął do pokoju siostry.

– Spadaj! Rozmawiam z Anką! – internetowa przyjaciółka Oli pokonała Bartka.

Chłopiec nawet nie próbował podejść do rodziców. Ukradkiem wymknął się z domu. Przy furtce stał mały piesek z wielkimi, zwisającymi prawie do ziemi śmiesznymi uszami.

Bartek przez chwilę wahał się. Piesek spojrzał na niego brązowymi oczyskami, zdziwiony tą niezwykłą sytuacją. Nie rozumiał, dlaczego zabrano go od mamy i kazano tutaj czekać. Potulnie pozwolił wziąć się na ręce i przytulić do mokrej, chłopięcej kurtki.

Mama skończyła właśnie zmywać w kuchni podłogę.

– No i coś ty narobił! – zbesztła syna, który znowu naniósł do domu błota. – Kto w ogóle pozwolił ci wychodzić z domu!? W dodatku w taki deszcz! A niech to... – nagle zaniemówiła.

Jeżeli ktoś chciałby wyobrazić sobie obraz smutku i rozpacz, to właśnie tak wyglądał teraz Bartek z pieskiem na rękach.

– O moje ty małeństwo... – chłopiec nie wiedział, czy mama powiedziała to do pieska, czy do niego, ale i tak zrobiło mu się przyjemnie.

– Ktoś chyba nam go podrzucił – zaczął naprędce się tłumaczyć. – Czy może na troszkę u nas zostać? – w kącikach jasnych oczu chłopca przyciały się dwie łezki.

– Pokaż no tego malucha – mama ostrożnie wzięła szczeniaczka na ręce. – Jakiś ty mokry – głos kobiety zrobił się delikatniejszy, bardziej czuły. – Trzeba go wysuszyć, bo się nam przeziębi.

Opatuliła malucha w ręcznik i uśmiechnęła się do synka.

– Przecież nie wyrzucimy go w taką pogodę. A ty ściągaj z siebie te mokre ciuchy, bo oboje będziecie zaraz kichać.

Bartek odetchnął z ulgą.

– Hurra! Będziemy mieć pieska! – zaczął skakać z radości. – Dziękuję ci mamus – wyszeptał dawno już zapomniane słowa.

Po chwili biegł do swojego pokoju tuląc popiskujące zawiniątko.

Gdy Ola zeszła do kuchni, mama siedziała jeszcze przy stole, osłupiała w niemym zachwycie.



Nina WAŃ – o sobie

Moje najprzyjemniejsze wspomnienia z dzieciństwa, to wieczorne czytanie książek. Mama czytała nam baśnie Andersena i braci Grimm, a ja i moje dwie siostry odgrywałyśmy bajkowe scenki podczas naszych dzieciennych zabaw. Wiersze Brzechwy znałyśmy prawie na pamięć, a gdy do czytania przyłączył się tata, pochłonęłyśmy większość bestsellerów Juliusza Verne i Henryka Sienkiewicza. Wraz z nauką w szkołach, ogólnokształcącej i muzycznej, pojawił się szkolny teatr i pierwsze występy na scenie. Lata szkoły średniej i studiów spędziłam w Krakowie, co zaowocowało moją jeszcze jedną pasją, miłością do tańca. Tutaj uczęszczałam na zajęcia do Studia Baletowego i trenowałam taniec towarzyski. Los skierował też moje kroki w stronę teatru. Przez pewien czas statystowałam na małej scenie Teatru im. Juliusza Słowackiego oraz byłam koordynatorką pracy artystycznej w Operze Krakowskiej. To było piękne. Miałam wówczas wolny wstęp na większość spektakli sceny operowej. W Krakowie miałam okazję poznać najbardziej niezwykłego Polaka naszych dziejów, Karola Wojtyłę, który w tamtych ciężkich czasach, już jako kardynał, odwiedzał naszą wspólnotę akademicką.

Po studiach wróciłam do mojego miasta rodzinnego, do Stalowej Woli. Na kilka lat wycofałam się z pracy zawodowej w szkole muzycznej, by pokosztować macierzyństwa czwórki ślicznych córeczek. Z tego okresu pozostał mi zbiorek kilku piosenek dla dzieci i utworów fortepianowych. Gdy córki porozchodziły się po różnych szkołach w poszukiwaniu własnych dróg życiowych, zaczęłam pisać drobne wierszyki, najczęściej były to zamawiane przez moje koleżanki okolicznościowe laurki. Bardzo tęskniłam za teatrem i tańcem. Tak więc, gdy zaczęłam pracować jako muzykoterapeutka z osobami niepełnosprawnymi fizycznie, „poszłam na całość” i założyłam teatr lalkowy „Michaśki”. Wtedy powstały pierwsze moje scenariusze teatralne oraz projekty lalek i dekoracji. Nie potrafiłam też obronić się przed miłością do tańca i od kilkunastu lat prowadzę dziecięce zespoły taneczne, w których spełniam się jako instruktor i choreograf.



– Ja tego błota nie naniosłam! – Ola zauważyła mokre ślady na podłodze. – I nie mam zamiaru tego sprzątać! – dodała.

Mama skwitowała opryskliwość córki życzliwym uśmiechem.

– Aaa tam... drobiazg.

Ola spojrzała podejrzliwie na mamę, zdziwiona, że rozmowa nie skończyła się, jak zwykle – kłótnią.

Poczuła się trochę niezręcznie, a chcąc jakoś ukryć swoje zmieszanie chwyciła za mopa i starła brudną kałużę.

– Co ja robię? – zastanawiała się idąc po schodach na górę.

– Bartek... ty nie wiesz, co się mamie stało? – zaglądnęła do pokoju brata.

Chłopiec odruchowo zerwał się z łóżka, starając się zasłonić sobą swój mały skarb.

– Nie bój się – rzuciła pogardliwie. – Co tam chowasz?

Spod mokrego ręcznika słychać było cichutki pisk.

– Czyś ty oszalał?! Szczura przywlokłeś do domu?! – Ola cofnęła się z odrazą.

– Nie, nie – Bartek delikatnie podniósł ręcznik.

Mały kłębuszek w brązowe łatki wybałuszył na dziewczynkę wilgotne oczy.

– O rany! Jaki śliczny. Skąd go masz? – Ola ściszyła nieco głos. – Matko... jaki milutki.

Przyklęknęła obok łóżka i zaczęła maleństwo delikatnie głaskać.

– Ktoś nam go podrzucił – Bartek miał wrażenie, że mur, jakim siostra kiedyś się od niego odgradziła, zaczyna nagle pękać.

– Ty... trzeba mu urządzić jakieś legowisko – Ola nagle wybiegła z pokoju. Po chwili wróciła, trzymając w ręku swój stary sweter.

– Może tu? – rozłożyła go obok biurka.

Po chwili oboje leżeli plackiem na dywanie śmiejąc się i obserwując, jak mały kokosi się na swetrze, obwąchując go i tarmosząc ząbkami.

– Ktoś tu chyba ma ochotę na kolację – mama od jakiegoś czasu stała nad nimi z miseczką pełną ciepłego mleka.

Teraz wszyscy troje siedzieli na podłodze śledząc każdy, nieporadny ruch malca.

– Jak można było pozbywać się takiego cudenka – Olę zdziwiła czyjaś decyzja.

– No wiesz... jak ktoś miał takich cudeniek z dziesięć, to może chciał się nimi z kimś podzielić – mama wyjaśniła dziwną zagadkę. Wszyscy wybuchli śmiechem.

– No tak. Człowiek tyra do wieczora, a tu ani kolacji, ani choćby ciepłej herbaty – tata wrócił właśnie z garażu i spochmurniał na widok pustej kuchni. – Każdy myśli tylko o sobie – westchnął na myśl o wiecznie zasmuconej żonie, synku, dla którego nigdy nie miał czasu i córce, która nie odzywała się do niego chyba już od pół roku. Nagle znieruchomiał.

– Czy tam coś się stało? – najwyraźniej słyszał wybuchy śmiechu, dochodzące z pokoju na górze.

– Tato! Tato! – Bartek pierwszy zauważył zatroskaną twarz ojca, zaglądającą do pokoju.

– Tatusiu... popatrz, jaki śliczny – Ola podeszła do taty, tuląc w rękach pocieszne maleństwo.

– Oleńko... – ojciec poczuł nagle uścisk w gardle. Na szczęście żona wyczuła delikatność sytuacji i wyratowała go z opresji.

– To trzeba chyba dać mu jakieś imię. Może... hm... – wszyscy zaczęli intensywnie myśleć.

– Może Kropelka? – Bartek przypomniał sobie smutną deszczową kropelkę spływającą po szybie.

Tata wziął delikatnie szczeniaczka na ręce i, nie wiadomo dlaczego, zaczął go dokładnie ze wszystkich stron oglądać.

– No taak... to imię z pewnością doskonale będzie do niej pasować! – uśmiechnął się pokazując wszystkim ogromną mokrą plamę na swojej koszuli.

Deszcz już prawie ustał, gdy rodzina zasiadła do kolacji. Każdy czuł się jakoś inaczej, niż zwykle. Tak, jakby jedna mała Kropelka uwolniła cały wodospad przykrości i nieporozumień, które odpłynęły gdzieś daleko i nigdy już nie wrócić... ■



KRAINA ZAMKÓW

Tarnopolszczyzna to prawdziwa kraina zamków. Wie o tym wielu Ukraińców. Ale dlaczego właśnie tutaj zachowało się aż tyle tych pięknych budowli? Zapewne dlatego, że od wieków było ich tutaj bardzo wiele. Za czasów Rzeczypospolitej Podole graniczyło z dzikim stepem, skąd każdego roku w stronę Galicji kierowali się Tatarzy, którzy niszczyli wszystko na swojej drodze. Zmuszało to miejscową szlachtę do wznoszenia nie tylko rezydencji, ale także różnego rodzaju budowli obronnych. W XVIII wieku praktycznie minęło niebezpieczeństwo tatarskich najazdów, a po włączeniu tych ziem do Imperium Rosyjskiego – całkowicie znikło. Jednak mimo tego, że mnóstwo obiektów obronnych celowo niszczone, wiele z nich przetrwało do dzisiaj.

Spróbujemy tym razem opowiedzieć o niektórych malowniczych zamkach Tarnopolszczyzny. Pierwszy z nich to zamek w wiosce Kudrynci, która znajduje się w rejonie borszczowskim. Cóż jest w nim takiego wyjątkowego? Zapewne to, że już pierwsze spojrzenie nań – wprawia w zachwyt, mimo że obecnie można mówić jedynie o jego ruinach.

Stoi zamek na wysokiej górze nad rzeką Zbrucz, której wody sprawiają, że jest on z tej strony niedostępny. Wzniesli go na początku XVII wiek szlachcice z rodu Herburtów. I chociaż nie był ten zamek ważnym elementem obrony Królestwa, tym niemniej w chwilach zagrożenia wielokrotnie dawał schronienie miejscowym mieszkańcom.

W swojej historii doświadczał także porażek – w 1648 roku podczas powstania Chmielnickiego Kozacy na czele z Maksymem Krzywonosem zdobyli kudryniecki zamek. W 1672 i w 1694 roku zdobywali go Turcy. Od XVIII wieku przechodził od jednego rodu do drugiego i utracił swoje znaczenie obronne. Od połowy XIX wieku miejscowi mieszkańcy zaczęli go rozbierać na materiały budowlane. Obecnie zamek oczekuje na gruntowne badania archeologiczne i na restaurację, a także na turystów, którzy w przeważającej większości nigdy o nim nie słyszeli...

Nie mniej interesujący jest zamek w Jazłowcu, w rejonie buczackim. Zamek zachował się w lepszym stanie niż jego „kolega” z Kudrywci i jest bardziej niż on znany. Prawdopodobnie ma to związek z tym, że

jednym z jego właścicieli był Jerzy Jazłowiecki – hetman koronny w latach 1550 – 1560.

Ogromne wrażenia sprawia przede wszystkim wielka centralna baszta – wjazdowa wieża, której wrota znajdują się na poziomie drugiego piętra i obecnie są niedostępne. Wcześniej był tutaj zwodzony most, który prowadził do zamkowego pałacu, znajdującego się niżej i zbudowanego w XVII wieku. Pałac zachwyca rozkosznymi portalami drzwiowymi, które swymi ozdobami nie ustępują tym, jakie zobaczyć można w renesansowych domach Lwowa.

Obecnie znajduje się tutaj żeński monaster, który został założony jeszcze w połowie XIX wieku a który zamknięto za czasów władzy radzieckiej.

Tuż obok zamku usytuowany jest również zrujnowany kościół pochodzący z XVI wieku, a jeszcze dalej stoi ormiańska cerkiew.

Na razie w zamku nie są prowadzone żadne prace restauracyjne, nie ma w nim żadnych ekspozycji. Mimo to warto go obejrzeć i nie tylko z powodu jego wysokich murów i wielkich baszt, które swoją potęgą przypominają fortecę w Chocimiu, ale również ze względu na otaczającą go przepiękną przyrodę.

W odległości 15 kilometrów od Jazłowca znajduje się wioska Złoty Potok a w niej mało znany zamek. Zadziwia wyjątkowo dobry stan, w którym zachowała się owa twierdza. Podobnie jak większość zamków na Podolu wzniesiono ją na przełomie XVI-XVII wieku. Ma ona kształt czworokąta. Na każdym rogu znajduje się baszta. Jest to forma typowa dla tamtych czasów. Ale mimo owej „typowości”, zamek jest niezwykle interesujący. Trzy baszty, mury i brama wjazdowa zachowały się niemal całkowicie, co nie może nie dziwić, bowiem przez wiele lat miejscowi mieszkańcy traktowali zamek jako swoisty „magazyn materiałów budowlanych”.

Na terenie twierdzy znajduje się pałac zbudowany w XVIII wieku, który przetrwał w bardzo dobrym stanie aż do połowy XX wieku. Jednak obecnie zarówno on, jak i cała twierdza, są niezwykle zniszczone.

Interesujący jest fakt, że schody prowadzące do pałacu wykonano z macew pochodzących z żydowskiego cmentarza.



Jazłowiec. Brama wjazdowa w głównej baszcie zamku

Można również zaglądnąć do głębokich zamkowych piwnic, których grube ściany robią wielkie wrażenie.

Tę twierdzę obronną można by stosunkowo dość łatwo odremontować i zapewne przyciągałaby ona nie mniej turystów, niż znane zamki w Zbarażu czy Kamieńcu Podolskim.

Zamek w Terebowli znany jest przede wszystkim z powodu słynnego oblężenia, któremu oparł się w 1675 roku. Wówczas to nieliczna załoga zamku, która składała się zaledwie z 300 osób, obroniła twierdzę mimo tego, że armia przeciwnika składała się z wielu tysięcy Turków. Z tym oblężeniem związana jest legenda, która opowiada o tym, jak to małżonka komendanta fortecy Jana Samuela Chrzanowskiego, Zofia Chrzanowska, groziła mu, iż jeśli podda zamek, to ona zabije jego i siebie nożem, który zawsze nosiła przy sobie. Kobieta mężnie i aktywnie pomagała obrońcom, odegrała ważną rolę w zwycięstwie nad wrogiem.

Sam zaś zamek pojawił się na górze panującej nad miastem jeszcze w czasach Rusi Kijowskiej. A kamienna forteca, którą można obecnie zobaczyć – została wzniesiona na początku XVII wieku. Budowla w formie trójkątnej jest obecnie stopniowo restaurowana. Na jej terenie pracują archeolodzy.

Główna wieża zamku, która miała podstawowe strategiczne znaczenie, zachowała się w nad podziw dobrym stanie.

W odległości dwóch kilometrów od Terebowli można zobaczyć piękny wzorzec sakralnej architektury obronnej – Pidgoriański Monaster. Jego mury prawie całkowicie legły w gruzy, baszty stopniowo rozsypują się, ale tym nie mniej raduje oko miejsce, w którym się znajduje. Ze szczytu góry rozpościera się przepiękna panorama okolicy.

Jak widać, Tarnopolszczyzna rzeczywiście kryje w sobie wiele historycznych ciekawostek turystycznych. Nie mniej interesujące zamki można znaleźć w Bereżanach, Skalacie, Czostkowie, Skale-Podolskiej, Sydorowie, Podzameczku, Buczaczu oraz w innych wioskach i miasteczkach tego Kraju. Co prawda ich stan nie zawsze sprawia najlepsze wrażenie. Trudno je porównywać z zachodnioeuropejskimi „pięknościami”. Tym nie mniej zajmują one dostojne miejsce w naszej historii i zasługują na zainteresowanie turystów i podróżników.

*Anton BARANOWSKI
Thum. D. Jaworska*



Złoty Potok. Mur i bastiony zamku



Terebowla. Największa baszta zamku



Kudrynci. Ruiny zamku